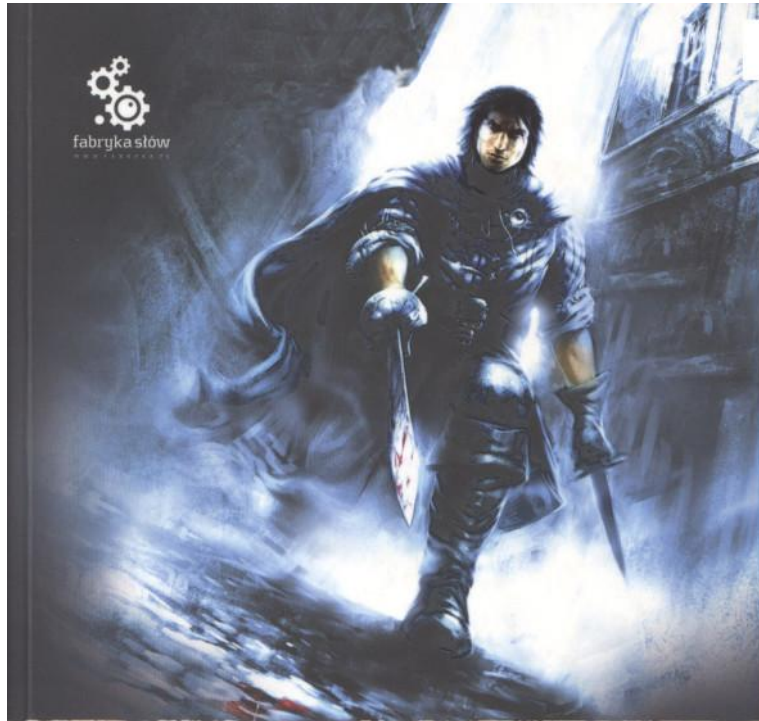




fabryka słów



ROBERT†
FORYS

POCZĄTEK NIESZCZĘŚĆ
KRÓLESTWA



ROBERT FORYS

POCZĄTEK NIESZCZĘĆ KRÓLESTWA



'Dla Tomasz' Wróblewskiego

Wszystkie postacie występujące w książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób prawdziwych jest czysto przypadkowe.

Prolog

Zygmunt Szeptycki wykrzywił cierpko usta na myśl o wszystkim, co bezpowrotnie utracił.



Przez chwilę nasłuchiwał, choć wiedział, że nie wychwyci ujadania czujnych psów, mrużenia kotów czy choćby chrobotu myszy. W obejściu panowała upiorna cisza. Zwierzęta pierwsze wyczuły zło, na długo przed tym, nim on, stary głupiec, dostrzegł prawdę.

Szlachcic oderwał spojrzenie od płonącej, na wpół stopionej świecy. Chwyił stojący na stole garniec i drżącą ręką nappełnił kubek gorzałką.

Czyżby Bóg ukarał go za wszystkie popełnione zbrodnie?

Owszem, nie przeczy, zabił wielu ludzi, więcej, niżli mógł spamiętać. Wbijał na pał, podkładał ogień pod cerkwie, biegał pijany krwią po ulicach miasteczek i wsi, gdy z rozkazu kniazia Jaremy brali odwet na pobunto-wanym chłopstwie. W tamtych strasznych dniach, gdy tylko z rzadka bywał trzeźwy, nie oszczędzał mężczyzn, kobiet ni dzieci.

Prychnął wściekle i jednym haustem osuszył kubek. W milczeniu smakował gorycz na języku, świadom, że ostatni raz kosztuje okowity.

Przeżegnał się zamasyście, wstał z krzesła i podszedł do kufra stojącego pod ścianą. Uniósł ciężkie wieko, sięgnął do wnętrza po czarną husarską szablę, zamachnął się żelazem raz i drugi, jakby dla uzyskania wyczucia. Następnie wolną dłonią wyciągnął masywną króciwę, sprawdził, czy na panewce jest proch, a potem zasadził pistolet za szeroki pas i zdecydowanym krokiem podszedł do drzwi. Uchylił je, wsunął się w mrok spowijający sień.

Przez dłuższą chwilę stał bez ruchu. Gdy oczy przyzwyczaiły się do ciemności, ruszył w kierunku bocznego korytarza odchodzącego od sieni.

Zatrzymał się przed sypialnią Tadeusza.

Mając wzgląd na kalectwo syna, Szeptycki kazał w drzwiach umieścić wizjer i zabronił zamykać je na klucz. Wystarczyło lekko pchnąć i droga stawała otworem.

Przekroczył próg i ciężkim krokiem podszedł do łoża. Zatrzymał się przy wezglowiu. Twarz Tadeusza była spokojna, nawet głębokie wgniecenie w czaszce, pozostałość po kozackim obuchu, nie wyglądało tak ponuro jak w świetle dziennym. Szlachcic przez kilkanaście oddechów patrzył w okaleczone oblicze, wypatrywał zła, które niczym czerw załęgło się w ciele jego dziecka. Zawahał się.

„A jeśli się mylę?”

Odrzucił tę wątpliwość. Diabeł przybiera zazwyczaj pozór niewinności, czyż nie ujrzał go na własne oczy!

Cofnął się myślami do ubiegłej nocy, kiedy to zbudził się o trzeciej nad ranem, zlany zimnym potem, z bijącym jak dzwon sercem. Koszmar był zawsze ten sam. Śnił mu się syn, taki, jakim był, nim rana odjęła mu rozum: piękny, młody, pełen radości życia; wyciągał doń ręce i próbował coś powiedzieć, poruszając bezgłośnie wargami. Z jego skroni, oczu i ust sączyła się krew, a palce sięgały ku ojcu w rozpaczliwym geście.

Stare przyzwyczajenie kazało szlachcicowi zawołać ochmistrza, lecz natychmiast przyszło bolesne otrzeźwienie, wszak oddany sługa nie żył od trzech tygodni. Znaleźli go rankiem w jego izbie, wiszącego na belce stropowej.

Ostatnimi czasy w tym domu zbyt często gościła kostucha.

Szeptycki otarł zimny pot z czoła.

Nagle uświadomił sobie, że nie czuje przy sobie kobiecego ciepła. Sięgnął dłonią ku miejscu, gdzie spała Sonka, i natrafił na pustkę. Co dziwniejsze, pościel była chłodna. Zaskoczony zmarszczył krzaczaste brwi. Wyciągnął rękę do stolika, by upewnić się w domysłach, blat był pusty, choć zwykle stał w tym miejscu dzbanek z ziołowym naparem.

Szeptycki z wdzięcznością pomyślał o dobroci żony, która z takim oddaniem zajmowała się pasierbem. Sonka wyuczyła się zielarstwa podczas pobytu w klasztorze. Warzone przez nią napary uśmierzały konwulsje i ataki dręczące Tadeusza. Również on sam wypijał co wieczór kubek mikstury, aby uciszyć własne nocne mary.

Wstąpił z łóżka, poprawił hajdawery wpijające się w rzyć. Ostrożnie stąpając, zbliżył się do stołu, po omacku odszukał świecę, po czym podszedł do pieca, otworzył żeliwne drzwiczki i przytknął do pełgających wciąż niebieskich płomyków długi knot.

Uzbrojony w wate, chybotliwe światło wyszedł do sieni i skierował się do sypialni zajmowanej przez syna. Izba ta należała niegdyś do jego pierwszej żony. Biedaczce zmarło się na wiosnę. Przez kilka miesięcy pokój stał pusty, lecz po ślubie Sonka umieściła w nim pasierba. Twierdziła, że wspomnienia związane z matką wpływają kojąco na jego gwałtowne nastroje. Coś musiało w tym być, gdyż Tadeusz zrobił się od tego czasu spokojniejszy.

Przez szparę nad progiem sączył się mdły blask.

Podjudzony nagłą, niezdrową pokusą Szeptycki zakradł się pod drzwi i bezgłośnie przesunął klapkę wizjera. Zamarł sparaliżowany widokiem błyszczących pośladków syna i pochylającej się nad jego łądzwiami swojej młodej żony.

Sonka odchyliła głowę, wysunęła język i koniuszkiem oblizała wilgotne usta, te same, które tak czule ucałowały męża przed snem. Następnie obróciła się tyłem do kochanka. Opierając się na kolanach i łokciach, wypięła zgrabny tyłeczek.

Szeptycki patrzył oniemiały, jak syn ukląkł między jej rozstawionymi nogami, lewą dłonią chwycił za biodro, a prawą nakierował pchnięcie.

Krzyknęła krótko.

Szlachcic zacisnął palce na framudze, nie zważając na drzazgi wbijające się pod skórę. Przymknął powieki w rozpaczliwej nadziei, że zaraz obudzi się w łóżu przy boku żony, i przygryzł policzek. Poczł trzeźwiący ból i słodki smak krwi na języku.

Otworzył oczy i jęknął bezgłośnie na widok twarzy syna. Ujrzał piętno samego diabła.

Zastył z przerażenia, niezdolny wykonać najdrobniejszego ruchu. Wszelka myśl, by wtargnąć do środka, zabić na miejscu wszeteczników, ustąpiła przed zwierzęcym strachem. Poruszając bezgłośnie wargami, modlił się z całego serca, aby pozostać niezauważonym. Jego prośba została wysłuchana. Tadeusz pochylił się nad plecami kochanki, przyciskając ją do siebie, a ruchy jego bioder przybrały na gwałtowności. Uderzał mocno, odbijając się łądzwiami od

gładkich pośladków, aż Sonka wydała z siebie długi, boleśnie przejmujący jęk.

Szeptycki nie pamiętał, jak wrócił do swego łóża. Przez długie godziny leżał, wpatrując się w ciemność, trząsł się i łkał.

Kiedy żona wróciła przed świtem, udał, że śpi kamiennym snem.

Rankiem, jakby nic się nie wydarzyło, pojechał do Warszawy. Wiele godzin przeleżał krzyżem w kościele, prosząc Boga o siłę i wybaczenie. Potem wypowiadał się i przyjął ostatnie namaszczenie. Rozporządził też całym swym majątkiem, zapisując dwór i wszelkie ruchomości klasztorowi.

Powrócił do domu tuż przed zmrokiem. Zjadł wieczerzę, siedząc przy jednym stole z żoną i synem. Wypatrywał oznak bezbożnej zażyłości tych dwojga najbliższych mu ludzi. Na próżno. Tego wieczora nie wypił nasennych ziół. Potem wystarczyło odczekać, aż wszyscy zasną.

Teraz zaś tkwił w ciemnościach, gotów uśmiercić pierworodnego syna.

Wahanie ustąpiło.

Uniósł szablę i ciął z całej siły. Rozległ się trzask pękającej czaszki, trysnęła zwykła ludzka krew. Tadeusz tylko cicho jęknął. Zamiast odoru piekielnej siarki powietrze wypełnił smród towarzyszący opróżnieniu pęcherza i kiszek.

Szeptycki wpatrywał się w drgające konwulsyjnie ciało, czując, jak piekące łyzy wypełniają mu oczy.

Diabeł się nie objawił. Czy to znaczyło, że nigdy go nie było? Czy oszalał? Zabił niewinnego i planował to samo uczynić z żoną?

Otarł łyzy wierzchem okrwawionej dłoni, po czym obrócił się plecami do trupa. Zastygł w bezruchu, oczekując, że Zły - jeśli naprawdę istnieje - nie pozwoli mu odejść. Jednak cisza trwała i trwała, zakłócana tylko odgłosem kapiących na deski ciężkich kropel.

Morderca chwiejnym krokiem ruszył do otwartych na oścież drzwi. Przekroczył próg i stanął jak wryty.

Czekała na niego. W mroku widział jedynie zarys kobiecej sylwetki.

- Tacy jak ty zawsze muszą wyrównać rachunki - odezwała się zmienionym, chrapliwym głosem.

Szeptycki odkrył z zaskoczeniem, że przepełnia go ulga. Oceniał sytuację ze spokojem pogodzonego ze śmiercią samobójcy, wystarczą trzy szybkie kroki i demon znajdzie się w zasięgu ostrza. Dopiero gdy napiął mięśnie, pojął, że nie jest w stanie rozkazywać własnemu ciału.

Z ciemności dobiegł go kpiący, okrutny śmiech.

Szabla wysunęła się ze sparaliżowanej dłoni, zadźwięczała o podłogę. Zaraz potem jego druga dłoń sięgnęła po tkwiącą za pasem króciwą. Sękate palce zacisnęły się na kolbie.

Szeptycki skupił wolę na odzyskaniu władzy nad zdradziecką kończyną. Jednak ciało odmówiło posłuszeństwa. Zupełnie jakby uczestniczył w jednym ze swych sennych koszmarów, skazany na bierną obserwację zachodzących zdarzeń.

Uzbrojona dłoń uniosła się do posiwiastej głowy. Otwór lufy wsparł się o skroń.

Palec dotknął chłodnego spustu.

Serce w piersi biło jak oszalałe. Zaciśnięte zęby zgrzytały o siebie, jakby rozdrabniały żwir, a po karku i plecach spływały strużki tłustego potu.

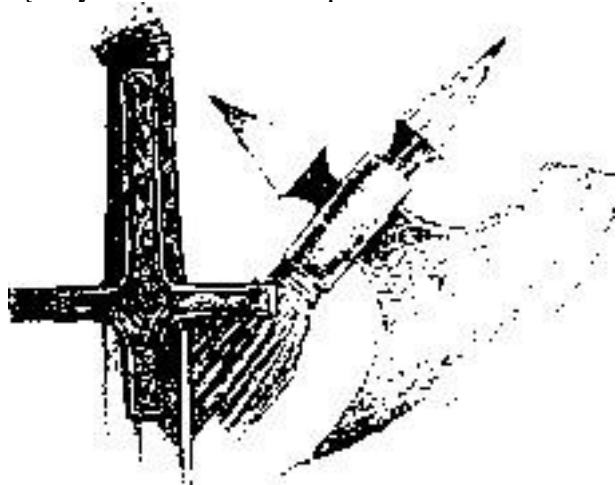
Pochłonięty wewnętrzną walką nie słyszał, że oddech Sonki staje się chrapliwy i przerywany.

Kobieta rozłożyła ręce i z jej ust popłynęły dźwięki, których nie mogło wydać ludzkie gardło.

Wtedy nacisnął spust.

Rozdział I

W głównej sali gospody Wiedeń było tłoczno i gwarno. Wielki kaflowy piec grzał pełną mocą. Goście, podpici i rozweseleni, wypełniali przestronne pomieszczenie śmiechem, rozmowami i zgiełkiem, dziewczki służebne uwijały się zwawo, donosząc na stoły parujące jadło, dzbany piwa czy kwarty gorzałki, a trzy młode ładaczniczki krążyły między podpitymi mężczyznami w nadziei upolowania klienta.



Zimnica panująca na zewnątrz sprawiała, że klienci wzdragali się na myśl o porzuceniu ciepłego pomieszczenia. Ci, których nagliła naturalna potrzeba, kręcili się niespokojnie w ławach, zerkając z niechęcią na tylne drzwi, za którymi czekał nieprzyjazny chłód wychodka.

Jedną z tych osób była wysoka, otyła kobieta rozmawiająca z arendarzem przy szynkwasiu. Korpulentny, łysiejący mężczyzna perorował coś zawzięcie, nie zwracając uwagi lub też nie chcąc dostrzec bólu wykrzywającego nalaną twarz i nerwowego podrygiwania słuchaczki. Ta naraz poczerwieniała, przerwała słowotok rozmówcy, wciskając mu w dłoń pękniętą sakiewkę. Pożegnała go pospiesznie nakreślonym w powietrzu znakiem krzyża i obróciła się na pięcie.

Szynkarz zważył trzos w dłoni, a jego wargi rozciągnął ironiczny uśmiech.

Przez chwilę wraz z siedzącymi przy stołach gośćmi obserwował, jak licząca ponad pięć stóp wzrostu zakonnica maszeruje do tylnego wyjścia z gracją flamandzkiego perszerona.

Niewiasta otworzyła drzwi i do izby wdarł się mroźny powiew. Na kilka oddechów niemal wszyscy klienci bezwiednie zerknęli w tamtą stronę, aby z tym większą gorliwością powrócić do jadła, trunków czy rozmów.

Nikt nie zwrócił uwagi na niepozorną postać, która podniosła się z ławy stojącej przy samej sieni i opuściła salę.



Odrzwia zamknęły się za jej plecami z nieprzyjemnym zgrzytem.

Siostra Matylda otrząsnęła się niczym pasterski pies i ruszyła truchtem do wychodka postawionego po przeciwnej stronie podwórza. Gęste błoto chlupotało pod niepoślednim ciężarem niewiasty, która z ulgą dopadła właściwych drzwi, niemal wrywając je z lichej futryny.

Rozejrzała się po pustej, tonącej w półmroku szopie gnojnej, podzielonej obyczajnie na dwie części: dla niewiast i mężczyzn.

Błyskawicznie rozpięła futro, podciągnęła habit i usadowiła się wygodnie na żerdzi.

Pograżona w błogostanie nie zwróciła uwagi na skrzypnięcie zawiasów i zakaptu-rzoną postać, która wsunęła się bezszelestnie do wnętrza wychodka; nim pojęła, że ktoś niepostrzeżenie zbliżył się do niej, minęło kilka długich chwil.

Kiedy zaskoczona spojrzała na drobną, zakutaną w płaszcz postać, błysnęło ostrze. Matylda uniosła odruchowo prawe ramię, by zablokować cios. Zbyt wolno.

Czyste, mocne cięcie dosięgło szyi, tnąc zaslonę podwójnego podbródka.

Zakonnica otworzyła usta do krzyku, jednak z rozplątanej krtani wydostało się tylko obrzydliwe rżenie. Puściła żerdź, unosząc lewą dłoń w desperackiej próbie zatamowania spływającej krwi. Wytrzeszczone oczy wbiły się w skrytą w cieniu twarz w niemej próbie poznania tożsamości mordercy.

Kaptur pochylił się ku Matyldzie i padło spod niego kilka wypowiedzianych szeptem słów.

W gasnących źrenicach błysnęło niedowierzenie.

Jedno silne pchnięcie dłonią strąciło ofiarę w dół klo-aczny.

Morderca patrzył jeszcze przez chwilę, jak ciężkie ciało zapada się w ściętych mrozem nieczystościach, po czym wytarł ostrze o płaszcz, skrył sztylet i bezszelestnie wymknął się na zewnątrz.

Porucznik Joachim Hirsz poprawił wysoki kołnierz wojskowego płaszcza. Dzień był chłodny, a wewnątrz szopy nie było wiele ciepłej niż na dworze.

Chuchnął w zziębnięte dłonie i ponownie spojrzał na leżącą w odchodach kobietę. Przez dłuższą chwilę przyglądał się zwłokom, rozmyślając z niechęcią o czekających go oględzinach ciała. Przesunął wzrok na dwóch parobków przysłanych mu do pomocy przez szynkarza. Obaj młodzi mężczyźni mieli nietęgę miny. Nietrudno było się domyślić czemu.

- Wyciągnijcie ją - polecił.

Spojrzeni po sobie z rezygnacją i z ociąganiem zrzucili odzienie. Przeszli na drugą stronę żerdzi, błyskając pośladekami, cienki lód pokrywający wierzchnią warstwę nieczystości natychmiast pękł pod ich ciężarem, a poruszone przez bosc stopy odchody wypuściły z sykiem ostro-kwaśny, duszący fetor. Szczęśliwie dla wszystkich kloaka musiała być czyszczona wczesną jesienią, więc gówna było tyle, że sięgało ledwie do łydek.

Hirsz w milczeniu obserwował młodzieńców, którzy ślizgając się na niepewnym gruncie, zmagali się z zeszywniałym cielskiem, aż wreszcie, sapiąc z wysiłku, wywlekli zwłoki z dołu kloacznego i złożyli je na podłodze.

Hirsz westchnął. Teraz czekała go najmniej przyjemna część roboty.

Ignorując smród, przykląkł i obszukał dłońmi odzienie zabitej. Zdumiony wyczuł skórzaną sakiewkę, wisiała na rzemieniach umocowanych do pasa habitu. Spróbował rozsypać węzeł, jednak zmarznięte palce utrudniały tę czynność. Sapnął z irytacją. Sięgnął do cholewy buta po sztylet i jednym zgrabnym cięciem uwolnił zakonnice od zbytecznych już dóbr doczesnych. Rozplątał sznurki mieszka i wysypał na dłoń trzy błyszczące monety. Sądząc po ciężarze woreczka, wewnątrz zostało ich znacznie więcej.

Z boku rozległo się zduszone sapnięcie.

Hirsz zorientował się, że młodzieńcy, wciąż nadzy, stoją przy nim i trzęsą się na zimnie, za to ich oczy gorzej na widok złota spoczywającego na jego dłoni. Joachim zerknął na monety i znów na oblepionych gównem parobków.

Skrzywił usta i rzucił im po czerwoności.

- To na wino, łaźnię i dziewczki.
- Dziękujemy, wielmożny panie - rzekli jednocześnie i podnieśli monety.
- A gęby na kłódkę - upomniał porucznik, choć tych dwóch wyglądało na dość

rozgarniętych.

- Będziemy milczeli jak grób, wielmożny panie - zapewnił solennie starszy. Naraz jego wzrok padł na zakonnice i chłopak pokraśniał na twarzy.

- Znaczy, chciałem rzec, no, tego, wielmożny panie...

Hirsz przerwał mu szybkim gestem dłoni.

- Zmykajcie!

Młodzieńcom nie trzeba było dwa razy powtarzać, migiem zebrali ubranie z desek i wybiegli na dwór.

Hirsz zaciekawiony zajął do sakiewki. Doliczył się co najmniej dwudziestu czerwonych złotych, całkiem ładna sumka, nie do pogardzenia dla każdego zbira w tym mieście. Schował trzos do kieszeni płaszcza i przystąpił do dalszego przeszukania ofiary. Przeszedł przez wierzchnie warstwy ubioru i dotarł do niewymownych części. Wśród nie najczystszej bielizny odnalazł przecięty ostrzem łańcuszek, a po chwili odkrył jeszcze złotą obrączkę, wciśniętą między fałdy zeszywniałego tłuszczu. Domyślił się, że zakonnica nosiła ją zawieszoną na szyi. Co dziwne, nie zdołał odszukać krzyżyka czy medalionu z Najświętszą Panienką lub podobizną któregoś ze świętych. Przez chwilę przypatrywał się obrączce, po czym schował klejnocik do wewnętrznej kieszeni kaftana.

Szczupłą, inteligentną twarz porucznika wykrzywił niepokój; doznał niemiłego przeczucia, że zatopienie i pozostawienie ofiary w nieczystościach nie było dziełem przypadku. Morderca chciał w ten sposób coś osiągnąć, być może nawet wyrazić.

Tylko co?

Odchylił głowę kobiety i ponownie obejrzał przecięte gardło. Jedno proste cięcie sięgające tętnicy. Poderżnięcie w ten sposób gardła nie jest czynnością prostą, zwłaszcza jeśli ofiarę chroniły dwa podbródki.

„Zatem robota profesjonalisty”.

Zacisnął usta w grymasie niezadowolenia. Dowiedziałyby się więcej, gdyby przeprowadzono sekcję, niestety, zbyt wielu ludzi widziało już trupa i przewiezienie ciała do domu felczera nie wchodziło w rachubę. Kościół stanowczo potępiał beczeszczenie zwłok, a prawo usłużnie karało za ów czyn gardłem. W tej sytuacji Hirsz wolał nie ryzykować.

Porucznik powstał i skierował się ku wyjściu. Na dziedzińcu panował ożywiony ruch, jako że rozpoczynał się sejm walny i cała służba uwijała się niczym w ukropie, aby przygotować austerię na przyjęcie szlachty. Z tego, co widział, większość gości do stolicy jeszcze nie dotarła. Przybysze będą zjeżdżać przez wiele dni, gdyż obrady mogły trwać ponad miesiąc, a ten sejm zapowiadał się na wyjątkowo długi i burzliwy.

Joachim przemierzył podwórze, ignorując zaciekawione spojrzenia, i wszedł do wnętrza karczmy. Jako że był jeszcze wczesny ranek, w sali zastał tylko kilku gości i szynkarza polerującego kontuar. Hirsz podszedł do niego, zdjął z głowy holenderski kapelusz z jednostronnie zagiętym rondem i rzucił go na ladę.

Mężczyzna spojrzął spod oka.

- Może coś na rozgrzanie, mości instygatorze? - zagaił pierwszy i nim porucznik zdołał odpowiedzieć, zgrabnym ruchem postawił na blacie kubek oraz kwartę gorzałki.

Hirsz wyraził aprobatę skinieniem głowy.

Karczmarz połał do pełna i ostry zapach żytniówki polechtał nozdrza. Porucznik podniósł ostrożnie kubek do ust, przechylił na raz - ognista struga spłynęła po przelyku, zatykając oddech.

- Mocna - rzekł z uznaniem, zanim chuchnął w pięść.

Jego wzrok spoczął na oberżyscie.

- Wiecie, co tu robiła, gospodarzu?

- Przyjechała partię trunku zamówić dla klasztoru - wyjaśnił pospiesznie arendarz. - Zakon niedawno przeniesiono z Ukrainy i siostrzyczki szukały uczciwego dostawcy. Zaprosiłem ją na zaplecze, by przy stawie i napitku omówić sprawę. Ostatecznie zamówiła dwie beczki wina oraz po beczce gorzałki i miodu.

Hirsz milczał, wcale nie zaskoczony. Sam w młodości był na nowicjacie u jezuitów i wiedział, że życie w niektórych zgromadzeniach daleko odbiegało od wzorców świętego Franciszka z Asyżu.

- Widzieliście kogoś podejrzanego?

Karczmarz podrapał się w zamyśleniu po łysinie.

- Nie, panie oficerze, choć Bóg mi świadkiem, wiele myślałem o tym od chwili, jak ujrzałem biedaczkę. Tu przychodzą uczciwi ludzie z pieniędzmi, nie byle jaka hołota. - Na pulchnym obliczu odmalowało się zmartwienie i po chwili gospodarz dodał z żalem: - Taki *cri-men* musi zepsuć interes.

- Wyszedł kto za nią, gdy udała się do ustępu?

- Nikt, panie oficerze.

Hirsz spojrzał nań nieufnie.

- Pewnyś tego?

- Jak tego, że tu stoję - zapewnił solennie szynkarz, uderzając się dla podkreślenia słów w pierś.

Hirsz podejrzewał, co mężczyzna ma na myśli, tylne drzwi były doskonale widoczne z za szynkwasu. Zagryzł dolną wargę i zamyślony rozejrzał się po sali, szukając jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Był pewien, że morderca musiał obserwować ofiarę, zapewne czekał, aż siostrzyczka załatwi kontrakt, i widział, jak wychodzi na podwórze. Porucznik zatrzymał spojrzenie na przejściu z sali do sieni. Hol był szeroki, udekorowany od góry masywnym rzeźbionym łukiem podtrzymywanym przez dwie kolumny.

„Musiał wymknąć się tędy”.

Wzrok Joachima spoczął na krótkiej ławie opartej o ścianę tuż przy lewym słupie. Wskazał palcem to miejsce.

- Siedział tam kto?

Czoło oberżysty przecięła głęboka zmarszczka.

- Ja tam nie wiem, ruch był wczoraj spory. Może po-sługaczki zapamiętały kogoś - dodał pospiesznie, czując na sobie niezadowolone spojrzenie instygatora. - Przywołać je, panie oficerze?

Hirsz skinął głową.

- Przesłucham je w twoim kantorku - zdecydował po krótkim namyśle.

- To ja zaprowadzę pana oficera - zaoferował usłużnie szynkarz, najwyraźniej rad, że porucznik zejdzie z widoku gościom.

Joachim zabrał ze sobą kubek i gorzałkę, po czym ruszył w ślad za gospodarzem.

Przeszli na tyły gospody. Kantor okazał się przestronnym pomieszczeniem, wypełnionym skromnym, lecz funkcjonalnym umeblowaniem. Hirsz podszedł do biurka stojącego pod oknem, postawił na blacie trunek i rozparł się na wyściełanym krześle. Następnie polecił karczmarzowi wprowadzić pojedynczo posługaczki.

Pierwsza z dziewczek, niska blondynka, widziała w przysieni chudego mężczyznę, miarkując z ubioru, zamożnego mieszczanina.

Kolejna, szczupła, zgrabna brunetka z myszką na lewym policzku, zaklinała się, że pił tam szlachcic, co więcej, pamiętała, że jegomość ów był przy tuszy i miał siwe wąsiska.

Trzecia zaś przysięgała na medalik spoczywający między dorodnymi piersiami, że

widziała młodzieńca o przyjemnym obliczu.

Następnie Joachim przesłuchał trzy zatrudnione w gospodzie ladacznice. Te zaś zgodnie zeznały, że przez cały wieczór ława przy wejściu stała pusta.

Kiedy ostatnia z niewiast opuściła kantorek, porucznik ze złością napełnił kubek gorzałką i upił solidny łyk.

Uspokoiwszy nieco nerwy, spojrzął na podwórze, skąd dochodziło szczekanie psów i pokrzykiwania woźnicy. Od strony Długiej na plac wjechała kareta i trzy okryte brezentem wozy w otoczeniu kilku szlachciców. Towarzystwo było przy broni, odziane w futra, a przy tym nadmiernie hałaśliwe.

Porucznik nie żywił złudzeń, ten sejm, jak i poprzednie, zejdzie na walce stronnictw, prywatnych klótniach posłów i senatorów oraz wzajemnych oskarżeniach o to, kto jest bardziej winny złego losu trapiącego królestwo.

Osuszył kubek do dna i podniósł się z krzesła. Przez krótką chwilę rozważał, czy nie zabrać ze sobą reszty gorzałki, lecz szybko odrzucił pokusę. Miał stanąć przed obliczem jego wielmożności, a to zawsze wymagało trzeźwego umysłu. Pożegnawszy się z szynkarzem, wyszedł z karczmy wprost na zatłoczoną ulicę. Przy Długiej stała większość lepszych karczm i gospód w stolicy, toteż ruch prawie tu nie zamierał.

Z wieży kościoła Pijarów rozbrzmiał dziesiąty dzwon.

Hirsz zaklął w duchu - był już spóźniony - szczęśliwie siedziba służby królewskiej znajdowała się niedaleko.

Gdy ruszył w kierunku Miodowej, pod podeszwami butów zachrząścił bruk, ułożony wprawdzie tylko na kawałku ulicy, od wylotu na plac Freta do kościoła Pijarów, co dawało ledwie kilkaset kroków nierównej wprawdzie, ale suchej nawierzchni. Wszelako i tak warszawscy rajcy mogli być z siebie dumni, gdyż mieszkańcy Paryża czy Berlina wciąż tonęli po kostki w błocie i gównie.

Gdy tylko skręcił w Miodową, otoczył go zapach drzewnego dymu i wypieków. Jeszcze za panowania ojca obecnego króla pobudowali się tu sprowadzeni z Torunia cukiernicy. Zwykle gdy zmierzał tą trasą, kupował jeden czy dwa miodowe pierniki. Tego ranka nie miał ochoty na słodkości, a żołądek ścisnął mu niepokój. Przedał się przez ciżbę przy straganach miodowników i skierował kroki ku siedzibie służby królewskiej.

Pałac zajmowany przez Jana Gembickiego nie wyglądał szczególnie okazale, jeśli mierzyć go względem innych rezydencji magnackich. Nieduży dwupiętrowy budynek ze skrzydłami opasany był murem z czterema bastionami w rogach.

Joachim minął gwardzistów stojących na posterunku i ruszył do głównego wejścia, tam na wartowni czuwało trzech kolejnych strażników. Nim udał się na piętro, złożył broń u sierżanta.

W sekretariacie zastał Johanna Guttera. Niski, chudy jak patyk Niemiec z miejsca obrzucił Hirsza nieprzyjaznym spojrzeniem. Porucznik odpowiedział tym samym. Obaj pamiętali czas, gdy Joachim nie cieszył się łaską jego wielmożności, wówczas to Gutter używał sobie do woli, przetrzymując go godzinami na korytarzu w oczekiwaniu na audiencję czy rozkazy.

Szczęśliwie czasy niełaski porucznik miał już za sobą, o czym Johann Gutter wiedział doskonale i świadomość ta odciskała bolesne piętno na jego łasicowatej twarzy. Poderwał się zza biurka i zniknął za dwuskrzydłowymi drzwiami gabinetu sekretarza koronnego. Hirsz złożył kapelusz i płaszcz na kanapie, gdzie zwykle siadali oczekujący na posłuchanie. Nim minęły dwie zdrowaś-ki, urzędnik pojawił się ponownie i oschłym gestem zaprosił instygatora do środka.

Jego wielmożność swoim zwyczajem przyjmował podwładnych, siedząc za olbrzymim biurkiem. Joachim spojrzął uważnie na tego pięćdziesięcioletniego duchownego. Ze szczupłego

oblicza trudno było cokolwiek wyczytać.

Za plecami Jana Gembickiego wisiał portret Jana Kazimierza w pozie marsowej. Monarcha odziany był w ozdobny półpancerz, a dłoń trzymał opartą o kosz ra-piera. Porucznik musiał przyznać, że artysta, kimkolwiek był, doskonale oddał pędzlem chimeryczny charakter monarchy. Zaciśnięte usta, czujne spojrzenie orzechowych oczu, zmarszczone czoło wiele mówiły o pamiętliwości i skłonności do gniewu.

Wcześniej przez długie lata w tym samym miejscu wisiał portret Władysława Wazy.

„Umarł król - niech żyje król”, jak mawiają Francuzi.

Sekretarz koronny wskazał gestem wolne krzesło.

- Spocznij, Joachimie - rzekł przyjaznym tonem.

Hirsz podwoił czujność, taka zażyłość w ustach jego wielmożności nie wróżyła nic dobrego. Dostojnik poczekał, aż oficer usadowi się na miejscu, następnie sięgnął po leżącą na blacie biurka książeczkę i położył ją przed porucznikiem.

- Znasz to?

Joachim spojrzał na okładkę. Tytuł brzmiał: *Compendium rad jmp Kanclerza*.

- Nie miałem okazji - stwierdził ostrożnie.

Gembicki wlepił wzrok w podkomendnego.

- A szkoda, bo to nader ciekawa lektura.

- Cóż jest przedmiotem owego dzieła? - Hirsz uznał, że czas okazać stosowne zainteresowanie.

Kąciki ust jego wielmożności uniosły się nieznacznie.

- Paszkwil na kanclerza Ossolińskiego i jego politykę szukania ugody z Chmielnickim.

Joachim z miejsca pojął, skąd ów uśmieszek. Królowa coraz rzadziej zgadzała się z wszechwładnym kanclerzem, Gembicki zaś gorliwie podzielał antypatie swej protektorki.

- Więc w czym rzecz, wasza wielmożność?

Sekretarz oparł łokcie o blat i splótł palce jak do modlitwy.

- W tym, poruczniku, że zawarte tu stwierdzenia uderzają pośrednio w majestat królewski.

- Oczywiście autor jest anonimowy - domyślił się Hirsz.

Gembicki skinął głową.

- Traktat wypuszczono do szlachty zaraz, jak tylko wojsko ruszało spod Zbaraża. Autor przedstawia się jako żołnierz walczący za ojczyznę, który widzi, jak jego przelana krew idzie na marne przez politykę dworu. Wytyka królowi, że za radą kanclerza zawarł haniebny pokój z kozactwem i chanem, oraz wzywa do jego odrzucenia. Zarzuca kanclerzowi doprowadzenie do buntu ko-zactwa przez szukanie wojny z Turcją. Obarcza go również odpowiedzialnością za klęskę piławiecką wskutek powierzenia dowództwa trzem nieudolnym regimentarzom. Sądząc po trafności spostrzeżeń, autor jest obeznany z tajnikami negocjacji rozejmowych w obozie zbaraskim i nader celnie trafia w nastroje szlachty.

Joachim obrzucił sekretarza zaskoczonym spojrzeniem.

„Sprawdza mnie?”

- Wasza wielmożność ma kogoś w podejrzeniu?

- Informatorzy wskazują na starostę łomżyńskiego, ale dowodów bezpośrednich brak.

Zręczny to gracz i powiadam ci, poruczniku, daleko zajdzie, o ile jakimś głupstwem karku sobie nie skręci. Nigdy nie działa jawnie, kieruje sprawami zza pleców swych Mazurów.

Hirsz zmarszczył brwi. O Hieronimie Radziejowskim ostatnimi laty było coraz głośniejsze, i to nie tylko z powodu burd, jakie wywoływał po gościach. A to niczym Tatar z watahą Mazurów Prusy Elektorskie najechał, miasto Pisz łupiąc, i kontrybucje od mieszczan ściągając, a

to znów o gwałt na szlachciance przez sąd sejmowy był pozwany. Jednak wszystkie te niecne sprawy uchodziły staroście płazem, a wyroki sądowe spływały po nim niczym woda po kaczce. Rzecz w tym, że Łomża potrafił bezbłędnie wyczuć, skąd wiatr wieje.

- Co mam zrobić?

- Otoczysz dyskretną opieką naszego starostę. Chcę wiedzieć, z kim się spotyka, do kogo posyła sługi z listami, kogo przyjmuje u siebie potajemnie. Muszę to wszystko wiedzieć, nim Wiśniowiecki i Janusz Radziwiłł na sejm zjadą.

Zamilkł i obdarzył Joachima ciężkim spojrzeniem, jakby mocował się z myślami.

- To, co ci teraz powiem, to rzecz najwyższej poufności - rzekł wreszcie. - Dotarły do mnie pogłoski, że Wiśniowiecki nad rokoszem zamyśla. Z wojskiem prywatnym w kierunku Warszawy podąża. Niespiesznie, jakby na coś czekał. Jest przy nim poseł z Siedmiogrodu. Inny właśnie przekroczył granice wielkiego księstwa w drodze do Radziwiłła. Również z Wiednia nadeszło ostrzeżenie, jakoby księżę Rakoczy gotów był, jak tylko śniegi stopnieją na przełęczach, na Kraków uderzyć i swego syna koronować, jeśli tylko Wiśniowiecki w Koronie, a Radziwiłł na Litwie bunt podniosą.

Hirsz uniósł brew. Nie myślał, że sprawy przybrały aż tak zły obrót. W Warszawie zebrało się już kilkadziesiąt tysięcy szabel. Wśród przybyłej szlachty było wielu uciekinierów z Ukrainy. Ludzie ci żądali od sejmu rekompensaty za utracone dobra. Jeśli pogłoski mówiły prawdę, siedzieli na beczce prochu.

- Zrobię, co w mej mocy, wasza wielmożność - zapewnił.

- A zatem to już wszystko, poruczniku - rzekł Gembicki i zagłębił wzrok w leżących przed nim papierach.

Hirsz podniósł się z krzesła i wyszedł z gabinetu.

Żegnany wrogim spojrzeniem Johanna Guttera, opuścił sekretariat, po czym zszedł na parter, gdzie odebrał broń od królewskich gwardzistów.

Gdy znalazł się przed bramą, omal nie wpadł pod koła rozpędzonej karety zmierzającej w stronę stojącego u zbiegu Miodowej i Senatorskiej Pałacu Prymasowskiego. Zaklął, wycierając płaszcz z błota.

Szybkim krokiem doszedł do uliczki Kapitulnej, rozdzielającej na pół niewielką jurydykę biskupów krakowskich. Po przejściu kilkadziesiątu kroków był już na Podwalu, skrzyżowaniu w lewo, ku wznoszącej się na wysokość dwu pięter czworobocznej bryle Bramy Pobocznej, i po chwili znalazł się za murami Starej Warszawy.

Na Wąskim Dunaju, przy straganach rzemieślników i sprzedawców żywności, panował niemiłosierny tłok. Miało się wrażenie, że Warszawa już teraz dusi się pod natłokiem sejmowych gości. Miasto, które liczyło niespełna dziesięć tysięcy stałych mieszkańców, musiało w swych murach na czas kilku tygodni przyjąć kilka-kroć większą liczbę przybyszy z całej Rzeczypospolitej. Co gorsza, kto tylko znaczniejszy, a nieposiadający własnego dworu w stolicy, chciał zaraz kwaterować przy samym rynku lub w sąsiednich ulicach.

By ominąć gwarną cizbę, porucznik skrzyżował w cienisty zaułek w południowej pierzei ulicy. Z miejsca uderzył go w nozdrza smród wylewanych z okien nieczystości i gnijących kuchennych odpadków. Przyłożył rękaw płaszcza do twarzy i szybkim krokiem przemknął między podwórkami czynszówek. Po kilku zdrowaśkach dotarł do Pivnej i stanął u głównego wejścia do kamienicy Katarzyny Tarskiej.

Wbiegł po schodkach i trzykroć uderzył pięścią w drzwi. Po chwili usłyszał odgłos kroków po drugiej stronie. W wizjerze błysnęło znajome mu czarne oko. Rozległ się zgrzyt odsuwanej rygla i drzwi stanęły otworem.

Urszula, zaufana pokojowa pięknej metresy, przywitała porucznika, uśmiechając się

zalotnie.

Hirsz odwzajemnił uśmiech i wszedł do środka.

- Jest Katarzyna?

- Pani jest w alkowie. Ale nie w humorze. Kazała nikogo nie przyjmować, choćby i sam król przyszedł, no, ale waszmości to przecież nie dotyczy.

Hirsz westchnął.

- Cóż się znowu stało?

Urszula pokręciła głową.

- Nie wiem, ale musi coś złego. Wróciła do domu z rana, cała we łzach. Nic nie chciała rzec, tylko skryła się zaraz w sypialni. Przyniosłam grzane wino i poczęłam delikatnie wypytywać, lecz wyrzuciła mnie i o mało co nie trafiła kielichem.

Joachim poczuł niepokój. Wspiął się po schodach na pierwsze piętro i skierował do alkowy. Wszedł bez pukania. Tarska leżała na wielkim łożu z baldachimem, szlochała.

Uniósł brwi, rzadko widywał ją płaczącą. Tak naprawdę to tylko raz, cztery lata wcześniej, gdy przyszedł ją aresztować. W ręku miał dowód na to, że zamordowała swego męża wraz z pasierbem. Teraz byli kochankami i wiernymi przyjaciółmi.

Katarzyna uniosła twarz znad poduszki. Jak zwykle olśniewała urodą, a napuchnięte oczy i zaczerwienione policzki tylko dodawały jej w oczach Joachima uroku. Szybko się opanowała, otarła wierzchem dłoni łzy i usiadła na krawędzi łoża, zanurzając nagie stopy w perskim kobiercu. Uwodzicielskim gestem poprawiła rude, kręcone włosy.

- Dziś potrzebuję być sama, Joachimie - rzekła lekko zachrypniętym głosem.

Zignorował to żądanie. Podeszedł do łoża i usiadł przy kochance. Przez chwilę siedzieli w ciszy.

- Co się stało? - zapytał, przerywając przedłużające się milczenie.

Piękne zielone oczy wypełniał smutek.

- Byłam u Adama, źle z nim. Lekarze nie dają dużych nadziei.

Joachim wiedział, że Katarzyna mówi o swym dawnym protektorze i kochanku, marszałku Kazanowskim.

O ile bowiem Hirsz, nie denuncjując pięknej mieszczki, dał jej drugie życie, o tyle Adam Kazanowski nadał temu życiu nową treść.

Marszałek nadworny i przyjaciel z lat młodzieńczych Władysława Wazy był postacią nader barwną. Człowiek gruntownie wykształcony, koneser sztuki, a przy tym sybaryta, w swym przepięknym pałacu stojącym przy Krakowskim Przedmieściu trzymał harem odwiedzany przez króla i zaprzyjaźnionych senatorów. Katarzyna zaczęła swą karierę metresy od udziału w owych spotkaniach. Szybko też zdobyła uznanie panów senatorów i dostojników dworskich. Sam Kazanowski rozkochał się w niej bez pamięci. Podarował dom w Starej Warszawie, gdzie gościł niemal każdej nocy. Plotka głosiła, że rozważał nawet rozwód ze swą żoną, Elżbietą ze Słuszków. Powabna pani marszałkowa, sama mając romanse na sumieniu, mogła tolerować miłosne apetyty męża, lecz nie poważne uczucie zagrażające jej pozycji. Udała się po pomoc do króla Władysława. Ten zaś potrzebował na Litwie poparcia Słuszków w konflikcie z Januszem Radziwiłłem i wielka polityka stanęła na drodze miłości - tak przynajmniej brzmiała romantyczna wersja całej historii.

Awantura, jaką rozpętała poniżona we własnym mniemaniu Katarzyna, tygodniami odbijała się głośnym echem w plotkarskim światku stolicy. Marszałek godzinami wyczekiwał w karecie pod jej kamienicą, słał posłańców z kosztownościami, zapewniał o miłości. Wszystko to bez skutku. Katarzyna zapałała się w swej dumie i rychło znalazła pocieszenie w ramionach innych panów senatorów.

Jeśliby się zastanowić nad nazwiskami polityków uszczęśliwianych przez piękną metresę, byli wśród nich sami opozycjoniści wobec dworu królewskiego. Hirsz już dawno powziął podejrzenia, że informacje uzyskane przez Katarzynę w alkowach kochanków nie trafiają wyłącznie do jego uszu.

- Wezwał mnie do siebie, być może ostatni raz - wyszeptała roztrzęsionym głosem. Naraz zastygła i spojrzała z lękiem, świadoma, iż powiedziała zbyt wiele, jednak Joachim nie wyraził zaskoczenia czy gniewu. Katarzyna niemal podskoczyła ze wzburzenia. - Wiedziałeś, łotrze - syknęła gniewnie, jakby to on oszukiwał ją przez cały ten czas.

- Domyślałem się - przyznał. - Póki marszałek jest stronnikiem dworu, wasz układ był akceptowalny, choć gdyby twój przyjaciel porzucił sprawę króla, musiałbym działać. Szczęśliwie problem wkrótce sam się rozwiąże.

- Szczęśliwie - wycedziła Tarska. - Jak możesz tak mówić? Adam zawsze był wierny królowi.

- Ale Władysławowi, a nie jego bratu, zwłaszcza w obliczu nowych okoliczności. Katarzyna zastygła niczym czujne zwierzątko.

- Co masz na myśli?

Hirsz przez kilka uderzeń serca rozważał, na ile może wtajemniczyć ją w tajne machinacje. Doszedł do wniosku, że powinna mieć świadomość, w co się wpakowała.

- Jak myślisz, jak by się zachował Kazanowski, gdyby się dowiedział, że jego żona rozkłada nogi przed Jego Wysokością? Tu nie Paryż, gdzie ministrowie sami wpychają swe małżonki do królewskiego łóża w nadziei na łaskę.

- Skąd to wiesz?

Wzruszył ramionami.

- Takie mam zajęcie - odparł krótko, lecz widząc znany mu doskonale błysk w jej oczach, dodał twardym tonem: - Nie pojedziesz do niego i nic mu nie powiesz.

- Oczywiście, Joachimie - zgodziła się słodkim głosem. Za słodkim.

Chwycił ją za ramię. Szarpnęła rękę, próbując wyswobodzić się z mocnego uścisku. Porucznik pochylił się ku niej.

- Powiadam ci, będziesz trzymała buźkę zamkniętą na kłódkę, a Kazanowski odda ducha nieświadom, że żonka przyprawia mu królewskie poroże. Rozumiesz?

Nie odpowiedziała, więc zacisnęła mocniej palce, Tarska jęknęła z bólu i przestała się opierać. Spojrzała nań zażawionymi oczami.

- Rozumiem. Będzie, jak pragniesz.

Hirsz rozluźnił chwyt, uniósł dłoń, chcąc pogłaskać ją po włosach, jednak Katarzyna gniewnie odepchnęła rękę i popatrzyła z wyrzutem, rozcierając ramię.

- Będę miała siniaka, co cię opętało?

- To dla twego dobra - wyjaśnił cierpliwie. - Kazanowska to niebezpieczna kobieta.

Wszyscy wiedzą, jak cię nienawidzi.

- Dlatego nie poważy się. Poza tym mam wpływowych przyjaciół.

Hirsz westchnął, słysząc, jak bardzo Katarzyna przecenia swe siły.

- Ona sama może i nie, lecz rozsierzony Jan Kazimierz jest zdolny do wszelkiej podłości. Tu zaś gra idzie nawet nie o honor, lecz o jeden z największych majątków w Rzeczypospolitej. Urzędy, starostwa, całe to legendarne bogactwo zgromadzone przez Kazanowskiego. Wielu potężnych panów będzie chciało coś wyrwać dla siebie.

Zamilkł i spojrzał na Katarzynę spod oka.

- Zapisze ci coś?

Wydęła kształtne usteczka, wciąż naburmuszona.

- Co nieco. W imię starej przyjaźni.
- Majątek czy gotowiznę?
- To i to - odparła niechętnie.
- Zrezygnujesz ze wszystkiego prócz gotowizny i klejnotów, a i te musisz dostać, nim

Kazanowski wyzionie ducha.

- Jak możesz!

Hirsz przygwoździł kochankę wzrokiem.

- Majątek nie utrzymasz, zaraz najadą cię zbrojnie, i tak wszystko przepadnie. Jeśli chodzi zaś o gotowiznę, to Kazanowska przy testamencie nie dopuści, byś otrzymała złamany grosz ze skarbcza. Jeśli staremu pozostało choć trochę z dawnego rozumu, zabezpieczy cię jeszcze przed śmiercią.

Katarzyna nic nie powiedziała, tylko zmrużyła oczy.

Ponownie wyciągnął dłoń do jej policzka i uśmiechnął się szerokim, łajdackim uśmiechem.

- ' - Nie gniewaj się już - poprosił.

Tym razem nie wzbraniała się przed dotykiem.

Palce musnęły idealnie skrojone usta, zsunęły się wzdłuż szyi na dekolt, odnajdując kształtne krągłości, i wślizgnęły pod jedwabie.

- Nie mam dziś ochoty, Joachimie - ostudziła jego zapędy. - Jeśli chcesz, to przywołam Urszulę.

Hirsza zatkało.

- Urszulę? - zapytał krótko, obawiając się, że zdradzi go ton głosu.

Katarzyna zmierzyła go pobłażliwym wzrokiem.

- Myślałeś, że nie wiem, jak spędzasz wieczory, gdy przychodzisz tu, a mnie nie ma w domu?

- A więc wiesz? - mruknął, gdyż nic mądrzejszego nie przyszło mu do głowy. -

Powiedziała ci?

- Nie musiała. Robiła to z mego polecenia, choć nie trzeba było jej zbytnio zachęcać.

Joachim nie potrafił ukryć zdumienia.

- Ale czemu?

- Nie chciałam, byś czuł się samotny i odrzucony, gdy ja jestem z innymi mężczyznami.

Hirsz wiedział, że Katarzyna chce, aby te słowa go zraniły.

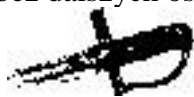
„I, cholera, udało jej się to”.

Zacisnął usta i cofnął dłoń spod jedwabiów. Poczul się nagle zmęczony całą tą nieustanną szarpaniną.

- Zawołać ją? - spytała zimno.

- Nie trzeba - odparł bez gniewu, zrzucił odzienie i wyciągnął się na łożu. Zamknął oczy, wdychając woń francuskich pachnidła.

Minęło kilka chwil i Katarzyna położyła się obok niego. Przysunął się bliżej, przywierając do jej pleców i miękkich pośladków, objął ramieniem. Leżeli tak wtuleni w siebie, bez dalszych oskarżeń, złości czy niepotrzebnych oczekiwań. Aż przyszedł czuły sen.



Zbudził go koszmar: ten, w którym ma znów sześć lat, siedzi skulony na poddaszu i patrzy przez szparę w deskach, a szwedzcy żołnierze prowadzą jego matkę ulicą w stronę zamku. Wtedy widział ją ostatni raz.

Przez chwilę wpatrywał się w spływające z baldachimu muślinowe kotary, wsłuchując się w odgłos walącego w piersi serca. Wierzchem dłoni otarł pot zraszający czoło. Wsparł się na łokciach i spojrzał na leżącą u jego boku Katarzynę; spłaszczone piersi unosiły się w rytm spokojnego oddechu. Przesunął dłonią po swym ramieniu, wyczuwając pod opuszkami palców gęsią skórę. To uświadomiło mu panujący w komnacie chłód.

Spojrzał w kierunku kominka, ogień niemal przygasł. Delikatnie naciągnął kołdrę na ponętne krągłości. Powoli, tak by nie zbudzić kochanki, przesunął się na krawędź łóżka i odsunął zasłonę z koronek. Opuścił stopy na gęsty kobierzec i wstał, słysząc cichuteńkie skrzypienie łoża.

Podszedł do kominka, przykucnął i sięgnął po pogrzebacz. Rozgarnął popiół, odkrywając nieco niebiesko--żółtych płomyczków, następnie podłożył kilka suchych szczap. Ogień rzucił się łapczywie na nową zdobycz.

Joachim przez chwilę rozkoszował się przyjemnym ciepłem, następnie spojrzał na tarczę gdańskiego zegara. Wysoki na trzy łokcie mechanizm wydawał ciche tykanie, świadectwo nieustannego ruchu setek zapadek i kół zębatych, napędzanych przez potężną sprężynę. Wskazówki wskazywały kwadrans po trzeciej. Godzinę demonów.

Znów ogarnął go niesprecyzowany niepokój.

Wstał i podszedł do stolika z trunkami. Napełnił puchar, zaczerpnął głęboki łyk wina. W ustach i po przełyku rozpląnął się cierpki, trzeźwiący posmak.

Odetchnął głęboko, całkiem już zrzucając z siebie widmowe okowy koszmarne snu.

Spojrzał w wielkie lustro obejmujące niemal trzecią część ściany. Wszystko w tym przedmiocie było najlepszego gatunku, od szkła aż po kunsztownie zdobioną ramę. Niechybnie był to kolejny prezent od któregoś z bogatych kochanków.

Popijając wino, przyglądał się sobie w zamyśleniu. Szczupła twarz, okolona ciemnymi włosami. Rzymski nos i mocna szczęka, domagająca się już brzytwy. Opuścił spojrzenie niżej, na szeroką, naznaczoną bliznami pierś. Pomimo przekroczonej trzydziestki nie miał na sobie ni grama zbędnego tłuszczu. Muskularne barki, silne ręce nawykłe do robienia bronią, płaski, umięśniony brzuch. Przez krótką chwilę skupił uwagę na wilgotnych genitaliach, a potem spojrzał w odbicie kochanki śpiącej na łożu. Przyglądał jej się przez moment, po czym jego wzrok spoczął na skórzanym kaftanie wiszącym na oparciu krzesła. Odstawił pusty kielich, obrócił się i podszedł do ubrania. Sięgnął do bocznej kieszeni.

Odnalazł obrączkę należącą do zamordowanej zakonnicy, zacisnął dłoń na klejnociku i wyjął rękę. Przez kilka uderzeń serca wpatrywał się w zaciśniętą pięść, po czym rozwarł palce, pozwalając, by obrączka opadła w dół. Trzymany w dwóch palcach cienki łańcuszek naprężył się, gdy złoty krążek podskoczył raz i drugi na uwięzi.

W gładkiej, lśniącej powierzchni odbijał się blask buzującego w kominku ognia. Obrączka stawała się coraz bardziej rozmazana, nierzeczywista.

Czoło porucznika przecięła głęboka pionowa zmarszczka. Pod ociężałymi powiekami pojawiło się zmęczenie. Zamknął oczy, nie wiedząc kiedy.

Znalazł się w owalnym, oświetlonym świecami pomieszczeniu. Na wyłożonej kobiercem podłodze klęczeli nadzy ludzie, przeważnie niewiasty, choć dostrzegł też kilku mężczyzn. Wszyscy skupieni wokół podwyższenia, na którym stało krzesło z wysokim oparciem. Ktoś na nim siedział. Postać nosiła długą czarną szatę, a jej oblicze skrywał kaptur. U obutych stóp klęczała naga dziewczynka.

Wizja utrzymała się nie więcej niż trzy oddechy, po czym lustrzana tafla rozpadła się na setki tnących umysł okruchów.

Zachwiał się i by utrzymać równowagę, oparł dłoń o poręcz krzesła.

Odczekał chwilę, aż ból ustąpił, otworzył oczy, wziął głęboki wdech. Gdy przymknął

usta, poczuł na języku słodki smak krwi.

Wizje potrafią zabijać - to była pierwsza zasada, którą poznał, gdy objawiły się te zdolności.

Dotarło do niego, że ponownie zaciska pięść. Rozwarł dłoń. Ujrzał niepozorne kółko, nic więcej. Wrażenie niezwykłości minęło. Czy to była tylko mara? Początek obłądu, który często przydarzał się takim jak on? Ostatecznie ile może znieść umysł.

Potrząsnął głową, jakby chciał przegnać tę straszną myśl.

Z półmroku dobiegł go spokojny oddech Katarzyny i naraz uświadomił sobie, że nie słyszy tykania zegara. Uniósł oczy i spojrzał na zastygłe wskazówki. Mechanizm zatrzymał się na trzeciej dwadzieścia.

Potrzebował pomocy medium, i to potężnego.

Mimowolnie wzdrygnął się na myśl o czekającej go rozmowie.

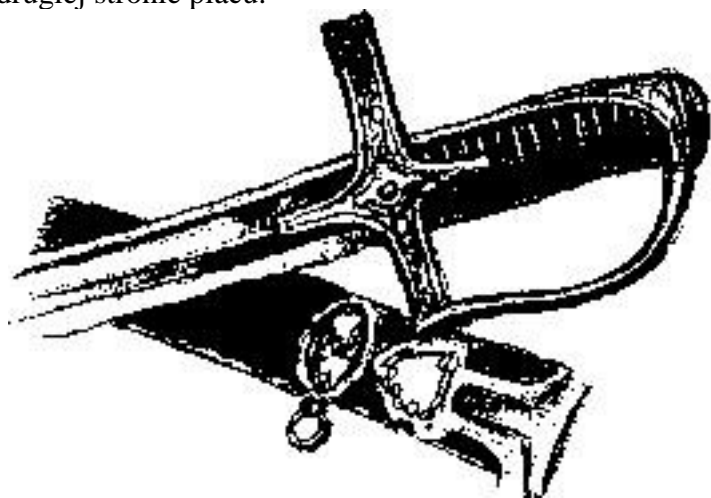
Schował obrączkę do kieszeni kaftana. Napełnił puchar winem i opróżnił go jednym haustem. Trunek rozpuścił węzeł zaciśnięty w żołądku.

Ubrał się w ciszy i wyszedł z alkowy, nie budząc Katarzyny czy Urszuli. Wybrał drogę przez podwórze. Pożegnało go senne warczenie psa.

Zamknął za sobą furtę na klucz i zanurzył się w głęboki mrok.

Rozdział II

Zimny wiatr wciskał się pod podbity futrem płaszcz, przyprawiając Joachima o dreszcze. Porucznik, przestępując z nogi na nogę, przeklinał w myślach psią służbę. Cofnął się bardziej w załom parkanu okalającego żupę solną i znudzonym spojrzeniem objął posesję znajdującą się po drugiej stronie placu.



Dwór Hieronima Radziejowskiego nie robił większego wrażenia ani swym rozmiarem, ani ciesielską robotą, ot, zwykłe dworzyszczce, jakich w Warszawie wiele. Jednak Hirsz wiedział doskonale, że nie blask budynku jest ważny, lecz sąsiedztwo, a to było znakomite. Rezydencja od strony zamku stykała się bowiem ze wspaniałym pałacem Koniecpolskich, a od posesji należących do Sobieskich i Denhoffów czy olbrzymiego pałacu kanclerza Ossolińskiego oddzielało ją tylko Krakowskie Przedmieście. Czyż mogło być lepsze świadectwo, że ambicje właściciela dworu sięgają wyżej niż tylko sprawowanie urzędu starosty łomżyńskiego i sochaczewskie-go?

Radziejowski pomimo niedostatku bogactw znalazł sposób na spełnienie swych pragnień, sięgnął mianowicie po poparcie tych, o których dotąd nikt poważnie w polityce nie myślał. Po mazowiecką szlachtę. Sprawił, że biedni zaściankowi Mazurzy, nienawidzący fanatycznie innowierców, Żydów i wszelkiej innej obcości, odnaleźli w nim swego przedstawiciela i wyraziciela poglądów. Ludzie, którzy częstokroć sami chodzili za pługiem i tylko posiadanie herbu różniło ich od chłopstwa, poczuli się naraz ważni, mający wpływ na los ojczyzny, nawet jeśli ów wpływ miał się uwidocznić wyłącznie przez wywyższenie tego, który im przewodził.

Nieudolnie przeprowadzona przez Jana Kazimierza wyprawa Zborowska i zawarte po niej traktaty z Chmielnickim i chanem tatarskim stworzyły Łomży niepowtarzalną szansę. Król i kanclerz pragnęli przeforsować na sejmie zatwierdzenie postanowień traktatowych, do tego zaś potrzebowali poparcia posłów z Mazowsza i stojącego w ich cieniu starosty łomżyńskiego.

Hałas towarzyszący otwieraniu bramy osadzonej w wysokim parkanie wyrwał Joachima z rozmyślań. Z posesji Radziejowskiego wytoczyła się czarna kareta zaprzęzona w sześć koni. W obstawie jechało wierzchem pięciu zbrojnych, którymi dowodził mikry szlachcic o twarzy przystrojonej obwisłymi wąsiskami. Porucznik znał owego człowieka - przed dwoma laty miał z nim krwawy zatarg tu, w stolicy - cofnął się więc pod ścianę, by nie zostać rozpoznanym.

Gdy powóz skręcał w stronę Zakroczymia, w nie-zasłoniętym oknie mignęła postać Katarzyny wtulonej w objęcia magnata. Joachim poczuł naraz ukłucie w piersi. Tarska sama zaproponowała pomoc w szpiegowaniu poczynań Łomży, co zrazu wydawało się znakomitym pomysłem, a na pewno lepszym niż wystawanie na mrozie i obijanie sobie tyłka w siodle. Dziś

nie był już tego taki pewien. Zaklął w duchu i splunął ze złością pod nogi, teraz mógł tylko z zaciętym wyrazem twarzy odprowadzać wzrokiem oddalający się traktem powóz.

Odczekał chwilę, nim szybkim krokiem ruszył ulicą prowadzącą do klasztoru. Mieszkające tu zakonnice po wybuchu powstania uciekły z Ukrainy, szukając schronienia w stolicy. Zaraz też znalazły możnego protektora i darczyńcę w osobie kanclerza Ossolińskiego, który to osadził siostry na swych prywatnych gruntach.

Choć Hirsz nie był człowiekiem przesadnie religijnym, zbrodnia dokonana na zakonnicę wzbudziła w nim odrazę. Jeśli podłożem morderstwa nie był rabunek, a ten motyw porucznik wykluczył, w grę wchodziły dwa odwieczne czynniki pchające człowieka do zbrodni: szaleństwo lub zemsta. Koronną przesłanką podważającą koncepcję szaleństwa był już sam sposób dokonania zbrodni. Atak nastąpił w chwili, gdy ofiara miała ograniczoną swobodę ruchów, morderca zachował ostrożność, nie zostawił śladów, a także zadbał, aby nikt go nie widział na miejscu zdarzenia. Czy tak się zachowuje szaleniec? Pozostawał więc motyw zemsty. Tylko kto mógł jej szukać na zakonnicę przybyłej do miasta ledwie kilka miesięcy wcześniej?

Na skrzyżowaniu zatrzymał się, przepuszczając wozy z deskami zmierzające do klasztornej bramy. Gdy ostatni pojazd minął go z turkotem kół podskakujących na po-żłobionej koleinami drodze, Hirsz ruszył w ślad za nim.

Wrota otworzyły się z jękiem i wozy wtoczyły się na dziedziniec. Joachim skwapliwie skorzystał z okazji i podczepił się pod furmankę zamykającą kolumnę.

Zabieg ten nie uszedł uwagi stojącego przy bramie księdza. Niski, kościsty, wciąż młody mężczyzna obrzucił intruza wrogim spojrzeniem i choć kulał na lewą nogę, ruszył ku porucznikowi z energią koguta gotowego bronić kurnika.

- Czego tu szukacie! - rzekł nieuprzejmym tonem, w którym pobrzmiwał obcy akcent.
- To miejsce odosobnienia, bożym służebnicom przysposobione.

- Joachim Hirsz, instygator w służbie pana starosty.

Ksiądz zatrzymał się i bacznie przyjrzał przybyszowi.

- Zatem niechybnie przyszedłeś waszmość w sprawie tego nieszczęśliwego wypadku siostry Matyldy.

Hirsz spojrział w oczy duchownemu.

- W żadnym wypadku nie nazwałbym tego, co się stało, wypadkiem, wielebny ojcze.

W odpowiedzi duchowny machnął tylko ręką w geście, którego znaczenia Joachim odgadnąć nie zdołał.

- Brat Mieczysław Rytel z Towarzystwa Jezusowego, jestem tutejszym kapelanem i spowiednikiem. Pozwól, waszmość, za mną, spytam wielebną, czy znajdzie dla ciebie czas.

Nim Hirsz zdołał zaprezentować zdziwienie, jezuita obrócił się na zdrowej nodze i, zaskakująco chyżym jak na kuternogę krokiem, skierował się ku zabudowaniom klasztornym.

Weszli do nisko sklepionej sieni, a stamtąd za pośrednictwem korytarza dotarli na wewnętrzny dziedziniec. Kilkadziesiąt kroków wystarczyło, aby Joachim znalazł się w innym świecie: ciszy, ukojenia i spokoju. Gwar miejskiego życia, problemy z Katarzyną, nieustanne ryzyko towarzyszące służbie królewskiej - wszystko to naraz traciło na znaczeniu, stawało się odległym wspomnieniem.

Przechodząc pod cienistymi arkadami, widział krzątające się w milczeniu siostry odziane w barwy nowicjatu. Dziewczęta nieśmiało, acz z widocznym zainteresowaniem zerkały na nieznanego mężczyznę. Hirsz skrzywił się, jakby rozgryzł ziarnko gorczycy - mógł tylko ubolewać nad zwyczajem oddawania młodszych córek do klasztorów, za których grubymi murami często ładne kobiety powoli więdły.

Z dziedzińca weszli do niewielkiej przyklasztornej kapliczki. Przed progiem porucznik

zdjął kapelusz. Na ścianie na wprost drzwi wisiało malowidło przedstawiające patronkę zgromadzenia w towarzystwie aniołów. Pod świętym obrazem stały trzy rzędy klęczników i były to jedyne sprzęty w pomieszczeniu.

- Waszmość racz tu zaczekać. Matka Joanna jest w klauzurze, a tam wstęp obcym wzbroniony.

- Oczywiście, ojciec - odparł Hirsz, popatrzył w ślad za kapłanem znikającym za kolejnymi solidnymi drzwiami i przewidując, że będzie musiał poświęcić cierpliwość, oparł się o ścianę.

Rzeczywiście minęło dobre pół godziny, nim drzwi klauzury otworzyły się ponownie i do kaplicy wkroczył ojciec Rytel, prowadząc wysoką, szczupłą kobietę. Miała ładną, choć nieco za surową twarz i znakomitą figurę, której walorów nie był w stanie ukryć krój habitu. Gdy podeszła bliżej, Joachim dostrzegł wokół kącików ust i oczu przełożonej drobne zmarszczki, w niczym jednak niezakłócające pierwszego, miłego wrażenia.

Przywitała gościa skinieniem głowy, a czujne brązowe oczy zmierzyły Hirsza przenikliwym spojrzeniem.

- Czym mogę pomóc, panie oficerze? - głos miała wyniosły, nawykły do wydawania poleceń, choć miękkie zaciągnięcie łagodziło nieco wrażenie surowości.

Porucznik uklonił się.

- Joachim Hirsz, instygator w służbie imć pana starosty. Wybacz, matko wielebna, że zakłócam spokój zgromadzenia.

Zakonnica poprawiła długie, szerokie rękawy i złożyła dłonie jak do modlitwy.

- Spodziewałam się wizyty kogoś... - zawahała się, mierząc porucznika od butów po czuprynę - takiego.

Hirsz zmilczał tę uwagę, nie wiedząc za bardzo, czy to komplement, czy wręcz przeciwnie.

- Czy siostra Matylda mogła mieć wrogów? - zapytał wprost, nie siląc się na podchody. Matka wielebna ściągnęła brwi.

- Nie, to niemożliwe. Skupiamy się tu, w klasztorze, na modlitwie i trudzie pracy codziennej, przez którą zdobywamy środki do naszego skromnego i ubożego życia.

„I po to były wam potrzebne beczki wina i kilka garnców gorzałki”.

- Czy to z polecenia wielebnej matki siostra Matylda udała się do gospody?

- Jesteśmy w Warszawie od niedawna, mości oficerze, i sposobimy się do zimy. Pan kanclerz, niech błogosławi mu Najświętsza Panienska, hojnie obdarzył nas gotowizną, lecz w tym mieście panuje wielka drożyzna i ciężko znaleźć dobry towar za uczciwą cenę.

Hirsz przyjął takie wyjaśnienie. Rzeczywiście, przez wojnę ceny żywności i trunków poszły blisko trzykrotnie w górę, a sejm dodatkowo pogorszył sprawę.

- Czy siostra Matylda często opuszczała mury klasztorne?

- Tu, w Warszawie, i owszem, dość często. Obowiązki intendentki zmuszały ją do porzucania naszego błogosławionego odosobnienia. Dawniej miałyśmy zaufanych dostawców, tutaj trzeba wszystko zaczynać od początku.

- Zapewne posiada wielebna matka listę owych dostawców.

Wbiła weń zdumione spojrzenie.

- Oczywiście, panie oficerze, chyba nie podejrzewasz waszmość, że któryś z tych dobrych chrześcijan mógł popełnić tak straszliwy czyn.

Hirsz zadziwił się, słysząc tak naiwną opinię.

- Zwykle zbrodnie popełniają ludzie, których nigdy byśmy o takie potworności nie podejrzewali, proszę wielebnej matki.

Przeorysza załamała ręce jakby pod ciężarem samego tylko napomnienia o ludzkich grzechach.

- Niech zatem Bóg się zlituje nad ich duszami - rzekła twardym, dźwięcznym głosem, w którym ucho Hir-sza nie wychwyciło należytą nuty miłosierdzia. Porucznik sięgnął do kieszeni płaszcza i wyjął skórzany worek.

- Znalazłem to przy zmarłej, dlatego myślę, że nie szło tu o rabunek.

Wychwycił szybką wymianę spojrzeń między przeoryszą a stojącym z boku spowiednikiem. Zakonnica przejęła okrwawioną sakiewkę i z malującym się na obliczu obrzydzeniem zajrzała do środka. Gdy uniosła wzrok, Joachim dostrzegł w jej oczach podejrzliwość.

- Czy to wszystko?

Hirsz wychwycił nutkę fałszu w pozornie obojętnym pytaniu.

- Tak, wielebna.

Odniosł wrażenie, że przeorysza chce zapytać o coś jeszcze. Zamiast tego zacisnęła usta w wąską kreskę. Zapadła krępująca cisza.

- Ma pan jeszcze jakieś pytania, mości instygatorze? - przerwał ją milczący do tej pory Rytel.

- Nie, ojczce.

- Listę, o którą waszmość prosisz, dostarczę osobiście pod wskazany adres.

- Nie trzeba, ojczce, mogę poczekać lub przyjść po nią osobiście. Może jutro?

Kapłan posłał mu chłodny uśmiech.

- Ucieczka z Ukrainy i porzucenie dawnego klasztoru i tak zaburzyły dotychczasowy rytm życia sióstr. Staramy się więc z siostrą Joanną, by przebywające wśród nas nowicjuszki miały jak najmniejszy kontakt z mężczyznami. Takie wizyty mogą budzić w ich czystych duszach grzeszne myśli.

Porucznik uśmiechnął się nieszczerze.

- Oczywiście, ojczce wielebny, oczywiście.

- Zatem chodźmy i zostawmy siostrę Joannę w jej modlitwie.

Rzeczywiście przeorysza stała nieruchomo z zamkniętymi oczami i wzniesioną ku górze twarzą. Wyglądała, jakby zapadła w letarg.

Kapłan wyciągnął rękę i ujął Hirsza delikatnie pod łokieć. W milczeniu opuścili pomieszczenie, spowiednik zamknął za nimi drzwi i dopiero wówczas puścił rękę porucznika. Pochylił się i wyszeptał z przejęciem:

- Siostra Joanna to święta kobieta, gdy zapada w głęboką modlitwę, widzi i słyszy więcej niż przeciętny człowiek. Rozmawia z aniołem pańskim, podobnie jak niegdyś sama święta patronka.

Hirsz udał nabożne zaskoczenie.

- Och, naprawdę?

Rytel wbił zaszklony wzrok w porucznika.

- To błogosławieństwo może być świadkiem takiego uświęcenia.

Joachim skinął tylko głową. Rzadko miał okazję spotykać się z prawdziwie żarliwą wiarą.

Kapłan zaprowadził go wprost do furty klasztornej. Tam Joachim przekazał mu adres swej kwatery, pożegnał się i wyszedł na smaganą zimnym wiatrem ulicę. Kiedy tylko za jego plecami rozległ się trzask zasuwanych rygli, sięgnął do wewnętrznej kieszeni, odnajdując palcami niepozorną obrączkę.

Szybkim krokiem ruszył w kierunku zejścia nad Wisłę. Pogrążony w rozmyślaniach nie spostrzegł rudowłosego młodzieńca obserwującego klasztor z drugiej strony ulicy.

Droga ku przeprawie była zatłoczona przez ludzi, zwierzęta i wozy z towarami.

Hirsz zostawił po prawej przytułek braci dominikanów i dotarł do placu zwanego mostowym. Niegdyś w tym miejscu zaczynało się wejście na drewnianą przeprawę postawioną jeszcze za czasów ostatniego z Jagiellonów. Niestety, konstrukcja została zniszczona przez potężną krę na początku wieku. Od tego czasu żaden z królów czy sejmów mimo wielkich planów nie podjął się wybudowania stałego połączenia z Pragą i Hirsz podejrzewał, że upłynie jeszcze wiele wody w Wiśle, nim Rzeczpospolita przeznaczy środki na ten cel. Obecnie na błotnistym, zrytym racicami i kołami kawałku ziemi wyrosło targowisko. W powietrzu rozlegały się nawoływania handlarzy, przekleństwa woźniców, ryki zwierząt rzeźnych.

Joachim wy dostał się z tłumu i ruszył nad rzekę, gdzie w miejscu zniszczonego mostu powstała przeprawa promowa.

Jako że łód nie skuł jeszcze Wisły, łodzie wciąż kursowały pomiędzy brzegami, przewożąc towary i pasażerów. Porucznik wkroczył na wyłożone zbutwiały deskami nadbrzeże. Przy pomocy cumowała tylko jedna łódź - reszta była na wodzie lub oczekiwała na załadunek po praskiej stronie. Dwóch mężczyzn na klęczkach smołowało pokład. Przewoźnik, barczysty mężczyzna

0 siwiejącej czuprynie, dostrzegłszy pasażera, powstał

1 skinął głową.

- Pochwalony.

- Pochwalony - odparł Hirsz.

Przewoźnik wskazał czarnym od smoły paluchem na cztery puste ławy.

- Trzeba będzie zaczekać, panie, na innych.

- Poczekam. Stało się co?

- Pień, psia mać, uderzył, wielki kawał. Było już ciemno i chłopak nie dojrzał na czas.

Joachim sięgnął do sakiewki i uiścił opłatę bez targowania. Ceny za przewóz ustalane były niezależnie od przewoźników; ci byli jedynie wolnymi najmitami. Monopol na prowadzenie przeprawy należał bowiem do rodziny Gizów, ta zaś wykupiła ów przywilej jeszcze za czasów króla Zygmunta.

Porucznik wszedł na pokład, zasiadł na jednej z ław dla pasażerów i otulił się szczelniej płaszczem, chroniąc się przed ciągnącym od wody chłodem.

Nie minęło kilka pacierzy i do łodzi podeszło dwóch mężczyzn. Odziani byli w długie kozuchy, a na głowach nosili ciepłe baranie czapy. Joachim spojrział na nich jedynie przelotnie. Wysocy i barczyści, o mocnych szczękach i zimnych oczach. Emanowała od nich groźna aura cechująca ludzi trudniących się na co dzień twardą profesją. Nim wsiedli na pokład, obrzucili Hirsza przeciągłymi spojrzeniami. Następnie zasiedli na ławach, tyłem do rzeki. Joachim nie rozpoznawał ich twarzy, wywnioskował więc, że ma do czynienia z oprychami z prawego brzegu Wisły.

Praga od dziesiątków lat uchodziła za istne gniazdo przestępczości i nierządu, zaś szerzący się tam występki stały się przysłowiowe. Połowa gruntów praskich należała do biskupów kamienieckich, a ci, na co dzień urzędując w Kamieńcu Podolskim, nie mieli szans skutecznie gospodarzyć w portowym miasteczku, przez które przewijali się flisacy, szkutnicy i wszelkiego rodzaju ludzie wolni, odważni, ceniący swobodę.

- Płyńcie już, ziąb od wody ciągnie - zwrócił się do przewoźnika jeden z osiłków.

Stary zerknął na bandziorów spode łba, lecz rozsądnie nie oponował. Dał znak młodzieńcowi, by ten odepchnął drągiem łódź od pomostu, a sam chwycił wiosła w dłonie.

- Zaczekajcie, dobry człowieku - naraz od nadbrzeża dobiegł ich zasapany głosik.

Hirsz spojrział przez ramię i ujrzał niskiego, korpulentnego jegomościa zmierzającego

szybkim krokiem w stronę łodzi. Mężczyzna dotarł do krańca pomostu i z impetem wskoczył na pokład. Prom zachybotał się niebezpiecznie.

Grubasek otarł spływający spod futrzanej czapy pot i usiadł przy poruczniku z głośnym sapnięciem. Nosił się jak drobny kupiec albo zamożny rzemieślnik. Być może wybierał się na drugi brzeg w interesach lub też chciał odwiedzić któryś z praskich burdeli, gdzie za pieniądze można było zaznać każdego rodzaju rozpusty.

Oprychy wymienili między sobą krótkie porozumiewawcze spojrzenia i dla Joachima stało się jasnym, że ci dwaj zwęszyli właśnie łatwy zarobek. Gdy tylko łódź dotarła do połowy rzeki, ten siedzący bliżej tłustoszka sięgnął pod kozuch i wyjął nóż o długim ostrzu, w rękę jego kompana zaś pojawił się czekanik. Nożownik obrócił się twarzą do przewoźnika.

- Płyń tam. - Wskazał ostrzem na łachę porośniętą gęstwiną bezlistnych krzewów. Wiosła zastygły w pół ruchu. Również chłopak na dziobie przestał pracować drągiem.
- Robotę przez was stracę - jęknął przewoźnik.
- Powiesz, że bałeś się o życie - odpowiedział zbir z czekanikiem. - Wysadzisz nas tam razem z tym tłustym parchem, a potem zapomnisz, że coś widziałeś.

Korpulentny jegomość zbladł i przetoczył spojrzeniem po otaczającej łódź lodowatej wodzie, jakby rozważał ucieczkę wpław. Nagle jego wzrok spoczął na poruczniku.

Nożownik wychwycił to natychmiast, jego wąskie wargi rozciągnął okrutny uśmieszek, a zimne oczy wpiły się w Joachima.

- To dotyczy również ciebie, pludraku, pojmujesz?

Porucznik westchnął boleśnie w duchu. Po prawdzie mało obchodził go los pechowego jegomościa. Jednak co innego udać, że się nie widzi czegoś z daleka, a co innego, gdy *crimen* dzieje się tuż obok. Ponadto obawiał się, że grubasek w przyływie paniki lub odwagi zacznie się szamotać i wtedy wszyscy wylądują w rzece.

Hirsz uniósł głowę, a w jego oczach pojawił się lodowaty błysk, jednocześnie dłońmi odgarnął poły płaszcza, odsłaniając flintpas z króćcami. Palce zacisnęły się na inkrustowanych srebrem kolbach.

Nożownik sapnął zaskoczony.

Zerknął na dzielącą ich ławę, jakby rozważał, czy zdoła doskoczyć i zadać pchnięcie.

Ocena wypadła negatywnie. Rozluźnił barki, schował nóż i roześmiał się ochryple.

- Co też, panie, na żartach się nie wyznajecie?

Na te słowa drugi ze zbirów również ukrył broń i naraz wszyscy stali się najlepszymi przyjaciółmi.

Hirsz uniósł kąciki ust w cierpkim grymasie.

- Płyńcie, dobry człowieku, do przystani - zwrócił się do przewoźnika, który z entuzjazmem zaczął wykonywać polecenie.

Porucznik aż do samej Pragi nie zdjął dłoni z pistoletów. Gdy tylko łódź przybiła do brzegu, korpulentny jegomość przeskoczył przez burtę i wtopił się w tłum pasażerów oczekujących na przeprawę. Hirsz zmarszczył brew na tak jawny brak wdzięczności, miał jednak inne sprawy na głowie niż rozmyślanie o małości ludzkiej kondycji. Odczekał, aż zbiry oddalą się od promu, i dopiero wówczas pożegnał się z przewoźnikiem.

Pokonawszy piaszczystą plażę, skierował się szeroką, pociętą koleinami ulicą ku rynekowi. Miasteczko liczyło łącznie nieco ponad sto solidnych domostw i dzieliło się na część biskupią i magnacką. Oba majątki nie stanowiły zwartego obszaru. Grunta kościelne przenikały się z należącymi do Adama Kazanowskiego. Marszałek już ponad dziesięć lat wcześniej wyczuł tu złoty interes i zaczął wykupywać tereny od drobnych właścicieli. Biskupstwo zareagowało zakazem sprzedaży ziemi szlachcie, lecz i tak Kazanowski ostatecznie zdołał zgromadzić w swej

jurydyce blisko połowę ziemi.

Ulica wychodziła bezpośrednio na rynek targowy, gdzie znajdowały się najważniejsze budowle Pragi: siedziba burmistrza i ławy miejskiej oraz karczmy. Nad parterową, drewnianą zabudową dominowały dwie wieże kościoła Bernardynów.

Hirsz szybkim krokiem skierował się ku południowej pierzei placu. Wkroczył w wąski zaułek, przy którym stało kilkanaście składów kupieckich, na jego krańcu, przy skrzyżowaniu z drogą na Skaryszew, znalazł tawernę

0 połatanym spadzistym dachu. Parterowy budynek już na pierwszy rzut oka nie budził zaufania. Przywodził na myśl raczej zwykłą mordownię niż porządne przyrynkowe austerie. W oknach lokalu błyszczało światło.

Porucznik przeciął opustoszałą uliczkę i wszedł do gospody przez zaskakująco solidne drzwi. Za progiem rozejrzał się po pojedynczej kwadratowej sali, jej wnętrze nie odbiegało wystrojem od innych tego rodzaju miejsc, nawet szynkarz - wielki brzuchacz z tatuażami pokrywającymi odsłonięte przedramiona - był jakby wycięty z szablonu. Pod piecem siedziały znudzone półnagie dziwki.

Joachim doliczył się blisko dwóch dziesiątek gości, jeśli się dobrze zastanowić, zawsze tych samych. Ignorując zaciekawione spojrzenia, ruszył wprost do karczmarza i zatrzymał się przy ladzie.

Mężczyzna spojrzał nań spode łba.

- Jest matka?
- U siebie - odparł wielkolud nosowym głosem

1 uniósł deskę lady tak, by porucznik mógł przejść na drugą stronę.

Hirsz znał drogę. Odgarnął brudną szmatę zasłaniającą wejście na zaplecze i znalazł się w ciemnym korytarzu. Było tam kilkoro drzwi. Wiedział, które ma wybrać, nacisnął więc klamkę i wszedł bez pukania.

W niewielkiej izbie zastał kobietę o kruczych włosach i korpulentnym ciele, odzianą w czarną, pozbawioną ozdób sukienkę. Siedziała na krześle, za stołem, który wypełniał czwartą część klitki. W izbie nie było okien, jedynym źródłem światła była świeca stojąca w rogu grubego blatu. O dziwo, nikły płomień zapewniał wystarczająco dużo blasku, by Joachim mógł widzieć sylwetkę wiedźmy.

Ciemne oczy bynajmniej nie zaskoczonej nagłym wtargnięciem kobiety wpiły się badawczo w intruza.

- Czego chcesz? - warknęła.
- Tego, co zwykle, odpowiedzi - wyjaśnił spokojnie, niezrażony chłodnym przyjęciem.
- Odpowiedzi, których szukasz, zwykle drogo kosztują. Ostatnim razem o mało nie uciekła. Wiesz, co by się wówczas stało.

Hirsz wzruszył ramionami. Wiedźma mogła narzekać do woli, lecz wiedział, że nie odmówi mu pomocy. Ostatnimi czasy z Pragi wypędzono cztery kobiety oskarżone o praktykowanie magii, ot, spędzały płody, ważyły mikstury i maści lecznicze. Hirsz miał świadomość, że żadna z oskarżonych nie parała się czarami na poważnie, co najwyżej potrafiły rzucić lub zdjąć niespecjalnie szkodliwy urok. Jediną prawdziwą wiedźmą po tej stronie rzeki była siedząca przed nim niewiasta.

Póki świadczyła mu przysługi, chroniła ją dyskretna opieka Tajnej Kancelarii.

Wyciągnął z sakiewki dziesięć czerwonych złotych i ułożył z nich na blacie zgrabny stosik. Kobieta wbiła wzrok w monety. Wydatne usta rozciągnął nieokreślony grymas. Po chwili drobne, pulchne dłonie zgarnęły zapłatę.

Spojrzeli sobie w oczy.

- Wie, że tu jesteś. Strzeż się pokus, poruczniku.

Zmroził go dreszcz.

Wiedźma wstała z brzękiem zawieszonych u pasa kluczy, ze świecznikiem w dłoni podeszła do ściany i nacisnęła niewidoczny dla Hirsza element. Po krótkiej chwili ściana przesunęła się z cichym skrzypieniem i oczom porucznika ukazało się przejście ze schodami prowadzącymi w dół.

Ruszył za przewodniczką. Stopnie były wąskie i strome. Gdy dotarli do piwnicy, napotkali obite srebrną blachą drzwi, zaopatrzone w przesuwany wizjer.

Wiedźma odpięła od pasa klucze, kolejno przekreśliła je w zamkach i otworzyła drzwi na oścież. Weszła pierwsza. Hirsz musiał pochylić głowę, przechodząc pod niską ościeżnicą.

Znaleźli się w przestronnym, niemal pustym pomieszczeniu. Pierwszym uczuciem, jakiego doznał Joachim, było zimno, panująca tu temperatura była niższa niż ta na dworze. Chłód zdawał się zupełnie nie przeszkadzać siedzącej na pryczy nagiej kobiecie. Jej skóra, włosy, sutki miały mleczną barwę. Również runo podbrzusza było białe jak łabędzi puch. Na szyi nosiła srebrną obrozę, przytwierdzoną do ściany łańcuchem.

Uniosła głowę i wbiła nieruchome źrenice w twarz porucznika. Była więcej niż ładna.

- Zostaw nas samych - rzucił w kierunku wiedźmy.

W jej oczach błysnęła podejrzliwość, jednak opuściła piwnicę, choć uczyniła to z wyraźną niechęcią.

Joachim poczekał, aż drzwi zamkną się z trzaskiem. Upewniwszy się wpierw, że nie są obserwowani, stanął w odległości pięciu kroków od pryczy.

Albinoska uśmiechnęła się z ironią, płynnym ruchem zeszła z łóżka i ruszyła do mężczyzny. Ciężkie, jędrne piersi zakołysały się w rytm kroków. Metr od Hirsza zatrzymał ją naprężony łańcuch.

Joachim opuścił wzrok ku płaskiemu brzuchowi i linii smukłych, mocnych ud. Bezwiednie westchnął, a z ust wykwitł obłoczek pary. Uniósł głowę i napotkał wyblakłe źrenice; jeśli oczy są oknami duszy, to w tych zagnieździło się coś bardzo starego.

Spojrzała nad jego barkiem na drzwi.

- Suka obawia się, że ulegniesz pokusie - stwierdziła wzgardliwym tonem.

Chwyciła piersi i uniosła je ku twarzy Joachima, następnie zsunęła dłonie wzdłuż talii i bioder aż do pokrywających łono jasnych włosów.

- To wszystko może być twoje - wyszeptowała kuszącym głosem. - Zabij ją, a spełnię każdą twą zachciankę, każde pragnienie.

- Nie igraj ze mną - ostrzegł ją twardym, spokojnym głosem. - Zapłaciłem za ciebie złotem. Zapłacę drugie tyle, by cię ukarano za zuchwałość.

Blade usta ponownie rozciągnął płytki uśmiech.

- Jesteś złym chłopcem, poruczniku. Ciekawe, czy to wina wychowania, czy też charakteru?

- Dość o mnie - warknął.

Sięgnął do kieszeni i wyjął łańcuszek z zawieszoną na nim złotą obrączką. Puszczony swobodnie wisiorok za-kołysał się gwałtownie, niczym wahadełko różdżkarza.

W czerwonych oczach błysnęła ciekawość, szybko skryta za zasłoną długich rzęs.

- Mogę? - Kobieta wyciągnęła ku niemu rękę.

Zachowując ostrożność, złożył wisiorok w zagłębieniu dłoni, która od razu zacisnęła się w pięść. Alabastrowe ciało wyprężyło się, napinając ogniwa łańcucha, a źrenice uciekły w głąb czaszki.

- Ktoś pobłogosławił ten przedmiot - głos był głęboki i chrapliwy.

- Należał do zakonnicy - wyznał.

Z ust sukuba wydobył się obłąkańczy chichot, a Hirsz wzdrygnął się mimo woli.

- Nie o takim błogosławieństwie mówię, poruczniku.

Właśnie tego się obawiał.

- Zatem zły duch?

Białowłosa nie odpowiedziała od razu. Chwilę trwało, nim rozluźniła mięśnie i mogła spojrzeć mu wprost w oczy. Bezradnym gestem rozłożyła ręce.

- Jeśli tak, to nie wyczuwam w tym przedmiocie duchowej emanacji. Błogosławieństwo dał człowiek.

Hirsz uniósł brew.

- Jesteś pewna? Miałem widzenie. Coś na kształt czarnej mszy. Nadzy ludzi klęczący wokół tronu, na którym siedziała zamaskowana postać.

Zmysłowe wargi sukuba rozciągnął lubieżny uśmiešek.

- Sam najlepiej wiesz, że wizje nigdy nie niosą prostych odpowiedzi. Umysł potrafi płatać figle, poruczniku. Być może to tylko twoje pragnienia.

Hirsz wbił w białowłosą badawcze spojrzenie. Nie wychwycił na jej obliczu śladu fałszu, choć z takimi istotami nigdy nic nie wiadomo. Był rozczerowany, nie tego oczekiwał.

Bezwiednie opuścił spojrzenie wzdłuż łagodnych krzywizn alabastrowych piersi, zmierzając ku krągłoś-ciom brzucha. Gdyby tylko zechciał, mógłby ją mieć, przyciągnąć do siebie i... Szarpnięcie zakłęcia chroniącego przed urokiem podziałało niczym kotwica wbita w mózg. Hirsz zorientował się, że bezwiednie przechylił ciało, skracając niebezpiecznie dzielący ich dystans. Wyprostował się.

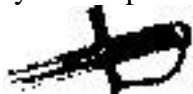
W bezdusznych oczach błysnęło rozczerowanie.

Oparł dłoń na rękojeści sztyletu tkwiącego w pochwie u pasa.

Wytrzymała jego spojrzenie. Wzruszyła ramionami i rozwarła palce.

- Wierz mi lub nie, poruczniku, w tej obrączce nie ma nic magicznego.

Zachowując ostrożność, odebrał wisiołek i schował do kieszeni. Bez słowa odwrócił się i wyszedł z piwnicy.



Gintras Millke przystanął u wylotu krótkiego, wąskiego zaułka, obserwując, jak instygator wchodzi do tawerny.

Przez chwilę rozważał, czy nie powinien również wejść do lokalu. Szybko odrzucił tę pokusę. Jeśli w środku było niewielu gości, zostałyby niechybnie dostrzeżony przez oficera, a ten zapewne nie uwierzyłby w podobny zbieg okoliczności. Grubasek nasunął czapę na uszy, gdyż wraz ze zmrokiem nadciągał chłód. Ruch na ulicy, przy której stała tawerna, był niewielki - raptem kilkunastu przechodniów i jeden załadowany drewnem wóz. Doskonałe miejsce, by wykonać zlecenie.

Naraz poderwał głowę. Wyczuł szarpnięcie mocy. Spojrzał na tawernę spod zmarszczonego czoła. Impuls musiał pochodzić stamtąd. Gintras wysunął szpiczasty język i oblizwał nerwowo wargi, postanowił, że gdy zakończy sprawę z instygatorem, przyjrzy się bliżej temu miejscu.

Nagle zza pleców dobiegło go mlaskanie błota. Obrócił się i ujrzał dwóch zbirów spotkanych na łodzi, stali w przeciwległym wylocie zaułka. Dziwne, był pewien, że zgubił ich przy słodowni.

Ten z czekanem stanął na czatach, a nożownik ruszył w stronę pana Millke.

Na widok paniki malującej się na twarzy tłuscioszka wargi oprycha rozciągnął paskudny

uśmiech. Nie padły żądania czy groźby. Podszedł szybkim krokiem i uderzył ostrzem. Celował w szyję krótkim bocznym pchnięciem.

Chciał zabić.

Grubasek błyskawicznie zbliżył się o pół kroku do napastnika i zablokował lewym przedramieniem uzbrojoną rękę. Skróciwszy dystans, znalazł się między ramionami bandyty. Przekreślił prawy nadgarstek, ukryty w rękawie sztylet wsunął się w dłoń. Pchnął.

Osilek stęknął boleśnie. Nie wierzył w to, co się stało, Gintras zaś cofnął się, patrząc, jak oprych zatacza się w tył i pada na ziemię. Z przeciętego kozucha sączyła się ciemna, gęsta krew.

Drugi ze zbirów runął na Millkego z gardłowym warknięciem. Był równie zaskoczony, co wściekły. To go zgubiło. Zbyt wiele uwagi skupił na zakrwawionym sztylcie i gdy pojął swój błąd, było już za późno; Gintras uderzył z lewej ręki. Drugi, bliźniaczy sztylet wbił się w oczodół oprycha ze zgrzytem stali ocierającej się o kość.

Powietrze zapaskudził smród opróżnianych kiszek, ostatni ślad, jaki pozostawił po sobie bandzior na tym świecie.

Millke uwolnił ostrze i rozejrzał się wokół. W gęstniejącym mroku nie dostrzegł nikogo, kto mógłby podnieść alarm, przeszukał więc ubrania zbirów, by upozorować napad - znalazł dwa trójniki i parę groszy - i załatwiwszy, co trzeba, otarł ostrza o ubranie jednookiego.

Prostując się, poczuł ciasnotę w kroku, jak zawsze, gdy zabijał. Nagle tknęła go kusząca myśl, nie, dwie myśli, które z każdym uderzeniem serca nabierały konkretnych kształtów. Tu, na Pradze, można było kupić każdy rodzaj usług. Rzecz jasna, za odpowiednią cenę.

Gintras uśmiechnął się szeroko. Postawił wysoki, obsyty gronostajem kołnierz i ruszył szybkim krokiem w kierunku rynku.



W sali panował półmrok rozjaśniany przez płonący w palenisku ogień. Pod ścianą tkwiło kilka mocno znudzonych dziwek, czekających, aż któryś z gości zapłaci za ich ciała. Klientów było jednak jak na lekarstwo, ledwie kilkunastu mężczyzn. Wszyscy oni unieśli głowy, gdy tylko nowy gość przekroczył próg praskiej mordowni.

Gintras, ignorując natarczywe spojrzenia dziwek i klientów, z miejsca skierował się do szynkasu, za którym stał wielki mężczyzna po pięćdziesiątce, o barach portowego tragarza i siwych włosach. Na grubo ciosanej, zrytej zmarszczkami twarzy malowało się niedowierzanie wywołane widokiem niecodziennego gościa, który różnym krokiem zmierzał w jego stronę.

Uwadze Millkego nie uszło, że jeden z bliżej siedzących mężczyzn chciał powstać z ławy, lecz wystarczył jeden rzut oka oberżysty, by zrezygnował z tego zamiaru.

W ponurych źrenicach szynkarza odbijało się niezdecydowanie. Gintras przypuszczał, że właśnie zastanawia się, gdzie najlepiej będzie pozbyć się jego ciała. Pan Millke oparł pulchne dłonie o porysowaną ladę, na wprost dwakroć większych dłoni, i rozpromienił twarz w uśmiechu.

Gospodarz zamrugał oczami. Zbójczą mordę oblekła szczerza konsternacja.

- Co ty, człowieku, tu robisz? Życie ci zbrzydło?

Gintras bynajmniej nie zraził się tak zimnym przyjęciem.

- Szukam ludzi do roboty - oznajmił z entuzjazmem.

Drab zmrużył oczy, uśmiechnął się drwiąco i pochylił ku dziwnemu klientowi.

- A czyja wyglądam na ekonoma?

Pan Millke uznał pytanie za czysto retoryczne. Bez lęku spojrział w oczy górującemu nad nim mężczyźnie. Coś w jego wzroku musiało dać oberżystę do myślenia, gdyż naraz spoważniał, wyprostował plecy, po czym objął gościa badawczym wejrzeniem.

- Robota poważna?

- Śmiertelnie - odparł Gintras.

Szynkarz chrząknął i uniósł głowę. Przez chwilę rozglądał się po sali. Ostatecznie skinął głową na mężczyznę siedzącego przy piecu, który podniósł się od razu kocim ruchem z ławy i podszedł do szynkwasu. Znak, że obserwował przybysza od początku.

Millke szybko ocenił go w myślach. Typek wyglądał na takiego, co niejedno ma już na sumieniu, wysoki, chudy, o długich ramionach, co przydawało się w walce na noże. Oblicze mężczyzny szpeciły ślady po przebytej ospie.

Gospodarz spojrział znacząco na Gintrasa.

- Jest robota - zakomunikował krótko ospowatemu.
- Mokra?
- Jak Wisła - rzekł Millke.
- Ktoś charakterny?
- Nie bardzo, ale szlachcic. - Gintras powstrzymał uśmiech cisnący się na usta.
- Gdzie kwateruje nieboszczyk? - zapytał oprych.
- W Nowej Warszawie.

Mężczyzna zmrużył oczy, jakby coś rozważał.

- Dziesięć złotych dla mnie i po pięć dla dwóch ludzi, co ich na robotę wezmę - zażądał po chwili.

Millke obruszył się.

- Przecież mówię, że nie charakterny. Po co aż trzech?

Bandyta zbył protest wzruszeniem ramion i odsunął się od lady.

- Nie pasuje, znajdź sobie kogo inszego - rzekł twardym tonem.

Gintras powstrzymał go gestem dłoni.

- Niech będzie - zgodził się z udawaną niechęcią.
- Usiądźmy, trzeba omówić sprawę przy dzbanie piwa. - Opryszek uśmiechnął się

bezcelnie, a szynkarz spojrział pytająco na Gintrasa.

Pan Millke potwierdził zamówienie niedbałym gestem.

- Zaraz dojdę, mam tu jeszcze słówko - zapewnił najemnika.

Odczekał, aż ten przechwyci podany mu przez szynkarza napitek i wróci na swe dawne miejsce, następnie pochylił się konspiracyjnie nad ladą.

- Szukam dziewczki - przeszedł z miejsca do rzeczy.

Gospodarz uniósł brew w doskonale udawanym zdumieniu i spojrział ostentacyjnie na wyczekujące pod ścianą kurwy.

- A te co, chłopcy?
- Młodszych szukam - wyjaśnił Gintras spokojnie.

Zapadła chwila ciszy. Szynkarz potarł z namysłem szczecinę na kwadratowej szczęcie.

- Trzymam taką na zapleczu. Nie miała jeszcze krwi miesięcznej. Chętna i posłuszna.
- Doskonale - odparł pan Millke z zadowoleniem. - Jak załatwię sprawę, przyjdę ją

obejrzeć. Jeśli jest taka, jak zapewniasz, zapłacę za całą noc. Pamiętaj tylko, żeby ją domyć.

Szynkarz uśmiechnął się, ukazując przetrzebione uzębienie.

- Będzie czysta jak do świętej komunii.

Gintras odsunął się od lady i spojrział na ławę pod piecem. Najęty zbir i jego dwaj kompani doili opłacone przez klienta piwo, rozmawiając i zerkając co rusz w kierunku szynkwasu. Zapewne roili sobie, że los zesłał im dar z nieba. Frajera, co go będą mogli oskubać lub nawet zarżnąć, gdy nadarzy się okazja. Pan Millke przywołał przyjazny uśmiech na swą szczerą, puciołowatą twarz.

Wiedźma nie zadawała pytań, choć bez wątpienia dostrzegła konsternację malującą się na

twarży porucznika. Joachim zresztą nie był skory do zwierzeń.

Wyszedł z tawerny tylnymi drzwiami. Przez chwilę stał nieruchomo, pozwalając, by zimny wiatr rozwiewał mu włosy, a następnie nałożył kapelusz i skierował się ku rzece. Gdy dotarł do najbliższego zaułka, natknął się na okrwawione trupy znanych sobie oprychów. Zatrzymał się i sięgnął po króciwę. Upewniwszy się, że zabójca nie kryje się w mroku, przykucnął i uważniej przyjrzał się ranom. Pojedyncze pchnięcia, oba śmiertelne. Robota zawodowca.

Ciała jeszcze dobrze nie ostygły. Ponownie omiół spojrzeniem zaułek.

Zastanowił się, czy zgłosić to morderstwo do miejscowego hutmana. Odrzucił zaraz tę myśl. Brał coraz większy ziąb, a on był głodny. Tym dwóm i tak już nic nie mogło pomóc. Zamierzał wstać, gdy dostrzegł na ziemi odcisk buta, zakonserwowany przez wieczorny przymrozek.

Hirsz ściągnął brwi.

Wiedział, że coś mu umyka. Myśl na tyle ważna, by wzbudzić w nim instynktowy niepokój. Sapnął skonfundowany. Wyprostował się, zlustrował po raz ostatni zaułek i szybkim krokiem ruszył w kierunku przeprawy.

Rozdział III



Zdało się, że cała Warszawa wyległa przed mury, by powitać bohaterskiego obrońcę Zbaraża.

Nawet pogoda dostosowała się do wymogów tak uroczystego dnia. Chłód zelżał, a słońce świeciło jasno na tle błękitnego, wolnego od chmur nieba. Grudniowe promienie odbijały się niesfornymi błyskami od stojącego na kolumnie złoczonego posągu króla Zygmunta i miedzianej kopuły wieńczącej Bramę Krakowską.

Hirsz zmrużył oczy oślepiiony przez jeden z takich refleksów. Gdy czarne plamki ustąpiły, przesunął spojrzeniem po gapiach gęsto oblepiających mury miejskie. A to było jeszcze nic w porównaniu z niezmiernym tłumem zapełniającym rynek przedmiejski. Zgromadzili się tam wszyscy: szlachta, duchowieństwo, mieszczenie, a nawet nieco chłopów zwabionych dziwowiskiem.

Instygator królewski wraz z Mrocziem obserwowali tłum z poddasza domu stojącego przy zachodniej pierzei placu. Dzięki narożnemu usytuowaniu budynku mogli cieszyć się doskonałym widokiem na plac, mury i Zamek Królewski. Właśnie ruch na zamkowych fortyfikacjach przykuł uwagę porucznika. Hirsz przesunął trzymaną przy oku lunetę wzdłuż bastionów, obserwując dworzan, którzy wylegli na tarasy i balkony. Nigdzie nie dostrzegł pary monarszej, ta zapewne postanowiła zaoszczędzić sobie widoku własnych poddanych tryumfalnie witających najzagorzalszego przeciwnika Ich Królewskich Mości.

Odsunął perspektywę od oka i odłożył na szeroki parapet.

- Witają go jak samego Zbawiciela - mruknął, patrząc na podekscytowaną cizbę.
- Dziwisz im się? Wiśniowiecki przynajmniej coś robi - rzekł wachmistrz.

Hirsz spojrzał nań z ukosa.

- Czyżbyś teraz zaczął popierać partię wojenną? - zapytał zgryźliwym tonem.

Mroczek wzruszył ramionami.

- A jeśli nawet tak, to co? Jak tak dalej pójdzie, król jegomość przesra nie tylko Ukrainę, ale i własny tron, a być może i całą Rzeczpospolitą na dokładkę.

Porucznik rozejrzał się czujnie, bardziej z odruchu niżli z rzeczywistej potrzeby; prócz nich na poddaszu nie było żywej duszy. Dom należał bowiem do Baltazara Czerpaka, kupca warszawskiego i tajnego konfidenta służby królewskiej, który robił właśnie złoty interes w swych dwóch kramach rozstawionych na placu, sprzedając gorące jadlo i gorzałkę zziębniętym gapiom.

Hirsz podrapał się po porośniętej gęstą szczecina szczęce.

- Na mój rozum to tylko bicie piany. Jeszcze przed Świętem Narodzenia Pańskiego

sejm zatwierdzi to, co postanowi senat wraz z królem, i cała ta farsa się skończy. Kanclerz i król kupią co znaczniejszych senatorów obietnicami urzędów i starostw po Kazanowskim. Panowie bracia pogardlują, a potem i tak podpiszą pakt Zborowski.

- Skąd te wieści? - zainteresował się wachmistrz.

- Od Katarzyny. Nasz przyjaciel Radziejowski robi się gadatliwy po winie i igraszkach. Twierdzi, że ci z opozycjonistów, którzy mienia się nieprzekupnymi, czynią to, tylko by podbić cenę. Powstrzymuje się od wymawiania nazwisk, lecz nietrudno się domyślić.

Mroczek ściągnął brwi.

- Radziejowski i jemu podobni, tak, w to uwierzę, lecz co do Wiśniowieckiego i Radziwiłła... - Wachmistrz pokręcił głową, wyraźnie nie dowierzając.

- Janusz Radziwiłł zapewne nie - zgodził się Hirsz. - Tacy jak on niczego nie potrzebują ani od króla, ani chyba od nikogo innego na świecie. Ma on swoją Litwę i choćby tu świat się kończył, trzymać ją będzie. Jednak nasz drogi Jarema utracił niemal cały majątek, a król ma coś, czego kniaź nadzwyczaj pożąda.

- Cóż to jest?

- Buława hetmańska i nowe starostwa w rekompensacie za utracone Zadnieprze.

- Buława jest dożywotnia, a obaj hetmani żyją, choć są w niewoli - zaprotestował

Mroczek.

- To król obieca mu ją tymczasowo. Zważ przecież, hetman Potocki stary jest i przez ciągle pijaństwo wyniszczony. Czy to pewne, że jeszcze wróci z Krymu żywy?

- Obyś miał rację, Joachimie. Wiesz, jak ludzie odczytują po gospodach łacińskie inicjały króla?

Hirsz uniósł brew.

- Początek Nieszczęść Królestwa - odparł wachmistrz z kwaśnym uśmiechem i wskazał palcem na tłum kłębiący się w dole. - A ci tam widzą w Wiśniowieckim kogoś, kto ich od tych nieszczęść wyratuje.

Porucznik obdarzył przyjaciela uważnym spojrzeniem.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- To, że czasem człowiek jest niesiony nurtem wydarzeń i nim się obejrzy, oczekiwania innych zapędzą go do miejsca, z którego nie ma już odwrotu.

Dalszą rozmowę przerwała nagła wrzawa podniesiona przez ludzi stojących bliżej wyjazdu z Krakowskiego Przedmieścia.

Hirsz gołym okiem spojrzał w kierunku dworu Gniewoszków. Posiadłość należąca do pana łowczego koronnego stała u zbiegu dwóch ulic, na które kilkaset kroków wcześniej rozwidła się szeroki Trakt Krakowski. Przez jedno z tych wąskich gardeł, to bliższe pałacowi Kazanowskich, wlewał się właśnie na plac strumień zbrojnych.

Książę jechał na przedzie, odziany w zbroję, a z jego barków spływał wspaniały płaszcz. Towarzyszył mu chorąży ze sztandarem regimentarza.

- Pomyślałby kto, że sam król jedzie. Brakuje tylko paziów rzucających monety - rzekł z przekąsem Hirsz.

Tym razem Mroczek nie dał się wciągnąć w dyskusję, pochłonięty podziwianiem widowiska.

A było zaiste na co patrzeć.

Jeśli kniaź Jarema chciał pokazać parze monarszej swą potęgę i popularność, osiągnął pełny sukces. Nijak nie można było dostrzec zubożenia księcia na skutek utraty większości dóbr ukraińskich. Z samego wojska towarzyszyła mu chorągiew jazdy, regiment piechoty i kilkuset zbrojnych sług. Wszyscy dobrze okryci, przy lśniącej w promieniach słońca broni.

Porucznik sięgnął po lunetę, ponownie przyłożył do oka i poregulował ostrość obrazu. Jego zainteresowanie skupiło się na grupie oficerów i dworzan. Po chwili wypatrzył mężczyznę dosiadającego siwą klacz. Jeździec miał na sobie madziarski strój: długi, obszerny, ozdobiony licznymi pętlcami i sznurkami, zwany bekieszą.

Hirsz podał perspektywę wachmistrzowi.

- To ten na siwej klaczy.

Mroczek przyłożył przyrząd do oka i spojrzął we wskazanym kierunku. Przez zdrową przypatrywał się mężczyźnie.

- Nawet się psubrat nie kryje. To już jawny policzek dla króla - ocenił, zwracając lunetę.

Z tym stwierdzeniem Joachim nie mógł się nie zgodzić. Janusz Radziwiłł i książę Jarema nader chętnie widzieliby na tronie Zygmunta Rakoczego.

Wachmistrz popatrzył na porucznika ciemnymi oczami.

- Wciąż myślisz, Joachimie, że wszystko rozejdzie się po kościach. Ja tu krew i rokosz czuję.

Hirsz nie odpowiedział, spod zmarszczonych brwi obserwował rozentuzjasmowany tłum. Wraz ze zbliżaniem się orszaku do Bramy Krakowskiej aplauz i wiwaty narastały, przeradzając się w huk przywołujący na myśl zbliżającą się nawałnicę. Ludzie cisnęli się do księcia, nie pozwalając przejechać wierzchowcowi. Każdy chciał dotknąć choćby strzemienia bohatera, rzec słowo czy zostać obdarzonym spojrzeniem magnata. Wiśniowiecki ścisnął zaś owe wyciągnięte ku niemu ręce, doskonale wczuwając się w rolę wybawcy ojczyzny.

Przez Bramę Krakowską wyszła na plac Bernardyński procesja senatorów.

Głównie opozycyjni, ocenił porucznik. Z tak bliskiej odległości widział doskonale ich pokraśniałe z zadowolenia oblicza, gdy i na nich spłynęły owacje zachwyconego tłumu.

Dopiero stojąc w obliczu równych mu panów, książę Jarema zsiadł z konia i zbliżył się ku delegatom. Gdy wylewne uściski dobiegły końca, dostojna grupa oddaliła się wśród niemilkających wiwatów do zamku, gdzie znajdowały się sale sejmu i senatu. Oznaczało to zakończenie widowiska, przynajmniej dla Hirsza. Resztą żmudnej pracy zajmą się szpiedzy ulokowani w tłumie.

- Zbieramy się stąd, Tomaszu.

Wachmistrz skinął głową i sięgnął po przerzuconą przez poręcz krzesła podbitą futrem delię. Joachim zapakował lunetę do futerału, a potem naciągnął na grzbiet wojskowy płaszcz.

Opuścili poddasze wąskimi schodami i przez tylną sień wyszli na Podwale; od Kolumny Zygmunta aż do Pałacu Prymasowskiego przy Senatorskiej roilo się od ludzi.

Uścisnęli się na pożegnanie, po czym porucznik przedarł się przez tłum za Bramę Krakowską i znalazł się na ulicy Grodzkiej. Torując sobie drogę łokciami przez ciżbę gapiów zapełniających wejście na przedni dziedziniec zamku, dotarł do Świętojańskiej. Tam było już luźniej. Skręcił w prawo tuż przed Kolegiatą, przemknął arkadowym przejściem i ruszył szybkim krokiem w kierunku przewężenia łączącego zamek ze świątynią. Dotarłszy do muru cmentarza przy Kanonii, skręcił w Jezuicką. Uliczka, choć usytuowana w bezpośredniej bliskości rynku, była nader zaciszna i urokliwa. Mieszkało tu głównie duchowieństwo, i to najwyższej rangi. Po stronie wschodniej miał swój pałac sam biskup poznański, po zachodniej zaś niemal połowę pierzei zajmowały budynki kolegium Zgromadzenia Towarzystwa Jezusowego i tam też porucznik skierował swe kroki. Korzystając z bocznych drzwi, wszedł do jednej z kamienic i nie-nagabywany dotarł na piętro.

W sekretariacie napotkał nieznanego sobie, przystojnego młodzieńca o niewątpliwie południowym pochodzeniu. Zakonnik spojrzął na porucznika znad grubego tomiska, w którym

właśnie zapisywał rządki cyfr.

- W czym mogę pomóc? - posługiwał się poprawną polszczyzną, choć z silnym obcym akcentem.

- Ja do ojca Krzysztofa - oświadczył Hirsz.

- Byłeś pan umówiony?

- Nie, lecz *professi* na pewno mnie przyjmie - odparł porucznik swobodnym tonem. -

Proszę mu przekazać, że przyszedł Joachim Hirsz.

Na uderzenie serca ze śniadego oblicza opadła wystudiowana maska, sekretarz zmierzył przybysza szacującym spojrzeniem, odłożył gęsie pióro do kałamarza, podniósł się zza biurka i ruszył do dwuskrzydłowych drzwi. Zniknął za nimi, aby powrócić po niespełna dwóch zdrowaśkach.

- Ojciec Krzysztof przyjmie waszmość pana - rzekł miodnym głosem, otwierając na oścież podwoje.

Hirsz wkroczył do obszernego gabinetu. W pomieszczeniu było jasno za sprawą wielkich okien wychodzących na kamienicę biskupią. Już sama ta lokalizacja mówiła wiele o pozycji siedzącego za masywnym biurkiem człowieka. Ojciec Krzysztof zamknął trzymane w dłoniach wolumin i odłożył go na blat. Jowialne, rumiane oblicze o wysokim, odsłoniętym przez łysinę czole zwróciło się ku gościowi. Zza garbatego nosa, pamiętki po źle zrosniętym złamaniu, spojrzały na Joachima łagodne błękitne oczy.

Jezuita podniósł się zza biurka i wyszedł naprzeciw niespodziewanego gościa. Pomimo swych ponad sześćdziesięciu wiosen prezentował się krzepko i zdrowo, pod czarną suknią rysowały się masywne barki, przynależne raczej żołnierzowi niż osobie duchownej.

Uściskali się serdecznie.

- Witaj, Joachimie, co też cię sprowadza do starego człowieka? - zagrzmiął zakonnik głębokim, przyjemnym dla ucha głosem.

- Słyszałem, żeście, ojcze, powrócili ze Śląska, i pomyślałem, że to dobra okazja, aby was odwiedzić.

- Kłamca z ciebie, Joachimku - rzekł z przyganą ojciec Krzysztof i jednocześnie, jakby sam sobie przecząc, przyjaźnie klepnął porucznika w ramię. - Siadaj, młodzieńcze - wskazał stojące przy biurku krzesło.

Hirsz umościł się na wygodnym siedzisku. W tym czasie gospodarz wyjął z kredensu dwa kielichy i gąsior z napitkiem, po czym obszedł biurko i zasiadł na swym miejscu.

- Miód od braci dominikanów - wyjaśnił z dumą, stawiając na blacie pucharki, następnie odkorkował gąsior i z wprawą napełnił naczynia ciemnym trunkiem. - Dostałem go od ich przeora w podzięcie za drobną przysługę u dworu - pochwalił się, unosząc kielich do toastu.

Hirsz rozumiał doskonale zachwyty w głosie zakonnika. Miody sycone przez warszawskich dominikanów cieszyły się zasłużoną sławą, a co lepsze roczniki osiągały paskarskie ceny na rynku.

- Za twą pomyślność, drogi synu.

- I za twą, ojcze - dodał od serca Joachim.

Przechylili pucharki. Trunek pachniał wyśmienicie, a smakował jeszcze lepiej. Jezuita otarł usta wierzchem dłoni i rozparł się wygodnie na krześle.

- A teraz mów prawdę, co cię sprowadza, Joachimie?

Hirsz błysnął uśmiechem.

- Rzeczywiście mam małą sprawę do ojca.

- Słucham zatem.

- Chodzi o brata Mieczysława Rytla, członka waszego szacownego zgromadzenia.

Obecnie jest spowiednikiem w...

Jezuita przerwał porucznikowi gwałtownym gestem dłoni, a ciepłe oczy straciły naraz cały swój przyjazny wyraz.

- Czemu interesujesz się bratem Mieczysławem?

Hirsz wzruszył lekko ramionami.

- Niedawno zamordowano jedną z siostr, po prostu jestem ciekaw.

Grymas na obliczu ojca Krzysztofa wskazywał, że nie zadowolilo go podobne niedopowiedzenie.

- Czy jest o coś podejrzany? - zapytał oschłym tonem.

Hirsz nie krył zaskoczenia przebiegiem rozmowy.

- Nie, kieruje mną ciekawość. Muszę przyznać, że poruszam się w tej sprawie na oślep i badam każdy wątek. Tak jak mnie niegdyś uczyłeś, ojczec.

Oblicze zakonnika wygładziło się.

- A więc pamiętasz nasze rozmowy? - w głosie mężczyzny zabrzmiała ledwie słyszalna nutka nostalgii.

- Jakże mógłbym zapomnieć.

Stary człowiek skinął głową.

- Mogłeś być dobrym jezuitą, Joachimie. W tych trudnych czasach potrzebujemy ludzi o twoich zaletach. Tu, w Rzeczypospolitej, prawa stoją na drodze naszej misji - stwierdził z żalem - lecz w sąsiednich krainach plenimy wszelką herezję i poskramiamy wpływy szatana w imię Pańskie.

- Wiesz, ojczec, że brak w moim sercu należytej niechęci do kacerzy - odparł uprzejmie Hirsz.

Jezuita zmarszczył posiwiałe, krzaczaste brwi.

- Tak, wiem - przyznał z namysłem. - To jest twoja największa słabość, synu. Zawsze próbujesz pogodzić rzeczy nie do pogodzenia.

Prawdziwość tej oceny boleśnie ugodziła Joachima w serce, zadbał jednak, by jego oblicze pozostało całkowicie bez wyrazu.

- To była jedna z dwóch przyczyn, dla których nie naciskałem na ciebie, byś podjął śluby - przyznał zakonnik.

- A ta druga?

- Oczywiście kobiety. Kiedy mając osiemnaście lat, uwiodłeś żonę rektora szkoły kolegiackiej, wiedziałem już, że z tej słabości nie wyleczą cię żadne różgi.

Hirsz roześmiał się serdecznie na wspomnienie nauk, jakie odbywał w łóżu pani rektorowej.

Ojciec Krzysztof ograniczył się tylko do uniesienia kącików ust.

- Powróćmy jednak do brata Mieczysława. Co chcesz wiedzieć?

- Wszystko, co możesz mi powiedzieć, ojczec.

Zakonnik oderwał masywne plecy od oparcia i pochylił się nad biurkiem, opierając ciężar ciała na łokciach.

- Mam jeden warunek - oznajmił.

- Tak.

- Jeśli wykryjesz cokolwiek, co mogłoby zaszkodzić naszemu zgromadzeniu, chcę wiedzieć o tym, nim poinformujesz swego przełożonego.

Porucznik spojrział bacznie na swego dawnego preceptora. Nagle poprzednie gesty i słowa rozmówcy nabrały nowego znaczenia.

- Jeśli wykryję fakty dotyczące zakonu, pan starosta dowie się o nich po tobie, ojczec -

zadeklarował.

- Mówiąc o twym przełożonym, miałem na myśli raczej Jana Gembickiego - rzekł z przekąsem jezuita.

Hirsz nawet nie był specjalnie zaskoczony wiedzą posiadaną przez zakonnik.

Towarzystwo Jezusowe miało przy dworze królewskim wielkie wpływy i potrafiło je doskonale wykorzystywać. Sam tylko fakt, że od czasów Piotra Skargi większość zamkowych kaznodziejów rekrutowała się z tego zgromadzenia, dawał jezuitom nieformalny wgląd w sprawy państwowe. Również te tajne.

- Zgoda, ojcze, masz moje słowo w tej sprawie.

- To mi starcza, chłopcze.

Ojciec Krzysztof z namysłem pogładził palcami szczękę.

- Brata Rytla wyznaczono do roli spowiednika z powodu niepokojących sygnałów, jakie doszły do naszego zgromadzenia.

Hirsz pochylił się ku rozmówcy.

- Sygnałów?

W błękitnych oczach zebrały się miniaturowe burze.

- O herezji i wszeteczeństwie mającym jakoby występować w zgromadzeniu sióstr.

- Jakiego rodzaju? - Joachimowi zrobiło się gorąco.

- Bractwo wolnego ducha.

Porucznik sięgnął w głąb pamięci, by odszukać przeczytane lub zasłyszane wiadomości o tej doktrynie.

- O ile się nie mylę - zaczął ostrożnie - herezja ta zakłada istnienie osób, które osiągnęły stan przeobóstwienia. W ten sposób nie obowiązują ich już prawa moralne. Są wolni od wszelkiego grzechu, a zatem mogą czynić, co chcą, bez obawy o osąd boski po śmierci.

Ojciec Krzysztof pokiwał głową z widocznym ukontentowaniem.

- Przyznam, że zaimponowałeś mi swą wiedzą, synu. To mało znana i prymitywna herezja. Zwykle wyznający ją grzesznicy wykorzystują ją jedynie do usprawiedliwienia orgii, w których tak ochoczo uczestniczą. Skoro nie istnieje odpowiedzialność przed Stwórcą, dozwolony jest każdy, nawet najohydniejszy rodzaj wszeteczeństwa. Nad tymi potępieńcami sprawuje władzę oblubieniec lub oblubienica Pana, jak ich nazywają ci bluźniercy. Na kilkaset opisanych przez Święte Oficjum przypadków owej herezji większość oblubieńców to zwyczajni oszuści, zwodzący owieczki pańskie na ścieżkę rozpusty dla zaspokojenia swych cielesnych żądz. Nietrudno sobie wyobrazić, do jakich bezceństw dochodzi wśród tych grzeszników - głos zakonnik grzmiał najświętszym oburzeniem.

Wyobraźnia porucznika zadziałała nader skutecznie.

- Ma ojciec taką księgę? - zainteresował się.

Zakonnik jakby go nie dosłyszał, całkiem pochłonięty wygłaszaną perorą.

- W kilku przypadkach w sprawę zamieszany był zły duch, który za pośrednictwem oblubienca kierował kacerzami. Wtedy też dochodziło rychło do ohydnych zbrodni, a nawet zbiorowych samobójstw.

- Jak się dowiedzieliście?

- To był donos - przyznał niechętnie ojciec Krzysztof - na tyle przekonujący, że postanowiliśmy go sprawdzić. Jak wiesz, byłem w tym czasie na Śląsku i mój poprzednik na tym stanowisku wyznaczył do tego zadania brata Mieczysława. Podobno sprawdził się on już w podobnych przypadkach w Czechach.

Zakonnik przerwał dla zaczerpnięcia powietrza.

- Tam jednak mógł stosować wobec podejrzanych bezpośrednio środki nacisku w celu

pozyskania dowodów winy. W Rzeczypospolitej krępuje nas złe prawo i mój poprzednik zdecydował się posłużyć bardziej subtelnymi metodami. Polecono więc brata Rytla jako odpowiednią osobę na funkcję spowiednika u sióstr.

- Co się z nim stało?
- Z kim?
- Z poprzednim spowiednikiem?
- Umarł na krótko przed tym, jak zgromadzenie opuściło Ukrainę.
- To była naturalna śmierć?
- Tak mówią - odparł z przekąsem ojciec Krzysztof - ale to samo mówiono o zgonie

mego poprzednika.

- A temu co się stało?
- Oficjalnie zatrzymanie serca.
- A naprawdę?

Jezuita zamilkł na krótką chwilę.

- Podejrzewam samobójstwo, i to najpodlejszego rodzaju.

Hirsz wytrzeszczył oczy.

- Powiesił się?

Zakonnik skinął głową.

- Oczywiście to tylko pogłoski. Jak wspominałem, nie było mnie wówczas w

Warszawie. Prawda, jaka by nie była, spoczywa teraz kilka stóp pod ziemią.

Joachim nie dał po sobie poznać, jak bardzo zaniepokoiła go wieść o kolejnych trupach związanych z tą sprawą.

- Domyślam się, że brat Rytel nie odkrył rzeczonej herezji.
- Donos okazał się fałszywy - przyznał jezuita.
- To co wciąż robi w klasztorze? Zapewne przydałby się wam do pilniejszych zadań,

tych przecież nigdy nie brakuje, nieprawdaż, ojcze?

Stary zakonnik uśmiechnął się.

- Już jako dziecko byłeś niezwykle bystry, Joachimie. Oczywiście masz rację, po objęciu obecnego stanowiska postanowiłem odwołać brata Mieczysława z klasztoru. Niestety, siostra Joanna interweniowała u kanclerza Ossolińskiego, by brat Rytel pozostał nadal na swej posłudze. Kanclerz monitował w tej sprawie u naszego prefekta i uzyskał zgodę. Musiałem się podporządkować, w Towarzystwie Jezusowym wszyscy jesteśmy skromnymi żołnierzami matki Kościoła.

Hirsz przywołał obraz przeoryszy. Czy ta zimna, władcza niewiasta naprawdę nie domyślała się prawdziwej roli nowego spowiednika? Joachim szczerze w to powątpiewał.

- Przeorysza nie sprawiła na mnie wrażenia głupiej ani tym bardziej miłosiernej - zdobył się na szczerłość.

Ojciec Krzysztof wykrzywił usta w grymasie, w którym zawarł cały wachlarz niedomówień.

- Prawda? - rzucił cierpko. - Dlatego jeśli brat Rytel jest zamieszany w cokolwiek, co mogłoby zaszkodzić reputacji Towarzystwa Jezusowego, chcę wiedzieć o tym pierwszy. I tak mamy już ciągle kłopoty z heretykami. Arianie, kalwini, luteranie, prawosławni - wszyscy pewni opieki Radziwiłłów, Leszczyńskich, Kisielów plenią się w tym kraju niczym myszy w spichrzu, w którym brak łownego kota. Kpią z prawowiernej wiary! - Pięść zakonnika uderzyła z hukiem o biurko, a ostatnie słowa brzmiały, jakby ojciec Krzysztof rozgryzał żwir.

Hirsz niemal drgnął, widząc w błękitnych oczach ogień, który z łatwością mógłby podpalić stosy. Bardzo wiele stosów.

- Masz, ojcze, moje słowo - przyrzekł zduszonym głosem.

Stosy przygasły, w ich miejsce wróciła poprzednia łagodność. Zakonnik spojrział w dno pucharów i pokraś-niał na pulchnej twarzy.

- Ja miałem językiem, a tu sucho, wybacz staremu.

Dolał miodu.

Pili w milczeniu, smakując mocny trunek, każdy pogrążony we własnych myślach. Potem powspominali dawne dzieje. Upływający na rozmowie czas odmierzały kolejne opróżnione pucharki.

Gdy Joachim podniósł się do wyjścia, miał już mocno w czubie. Ojciec Krzysztof również powstał zza biurka. Wyściskali się z pijacką wylewnością i porucznik opuścił gabinet swego dawnego preceptora. Na odchodnym Hirsz skinął głową sekretarzowi, z satysfakcją odnotowując oburzenie malujące się na obliczu młodego zakonnika.

Wesoło pogwizdując, wyszedł na ulicę i nieco zbyt sztywnym krokiem ruszył w stronę swej kwatery na Nowym Mieście. Przez chwilę poczuł pokusę, by sprawdzić, czy Katarzyna jest tej nocy w domu. Jednak obawa, że mógłby jej nie zastać, powstrzymała go przed realizacją zamiaru. Poza tym miał ostatnią okazję, by dobrze się wyspać.

Od jutra zaczynało się wielkie polowanie.

Rozdział IV

W winiarni panował ścisk. Klienci, mieszczenie i szlachta, siedzieli pospołu w ławach, w przyjaznej na pozór komitywie. Jednak i tu, podobnie jak w całej sejmowej Warszawie, wyczuwało się podskórne napięcie.



Na wypadek gdyby w którymś z podchmielonych łbów zrodziła się nadmierna fantazja, pod ścianą stało trzech barczystych osiłków. Ich szef, olbrzymi drab o łysej czaszce i grubym karku, warował nieco dalej, przy schodach prowadzących na półpiętro. Za długim kontuarem uwijał się wysoki, chudy szynkarz odziany w całkiem czysty fartuch. Matyjasa Połuby, właściciela lokalu, nigdzie nie było widać.

Winiarnia, mimo że położona za murami miasta, cieszyła się sporą renomą. Działo się tak nie tyle za sprawą serwowanego tu węgryzna czy świeżego jadła, choć te były doprawdy znakomite, ile dzięki innym dostępnym tu delicjom. Na pięterku znajdował się bowiem mały, lecz zacny burdelik, ot, pięć izb, ale za to przyjmujące w nich dziewczki - pierwsza klasa. Niestety, piekielnie drogie.

Mroczek był tu parę razy, gdy mógł się pochwalić pełniejszą sakiewką. Obecnie wołał w męskiej potrzebie odwiedzać dziewczynki pracujące u Kosina. Tamte może i gorzej pachniały, ale za to dawały na kredyt, a żołąd znów opóźniał się blisko dwa miesiące.

Niewesołe rozmyślania przerwał odgłos otwieranych w sieni drzwi. Wachmistrz, zajmujący dobry punkt obserwacyjny w rogu sali, przyjrzał się czterem przybyszom, jednym z nich był wysłannik Rakoczego. Towarzyszył mu oficer i dwóch żołnierzy kniazia Wiśniowiec-kiego.

W przeciwieństwie do Mroczka Madziar nie miał raczej kłopotów z groszem, zaglądał tu regularnie co drugi wieczór, często zostając na noc. Z początku podobna ostentacja wydała się wachmistrzowi głupio nieostrożną, rozważywszy jednak chłodno całą rzecz, docenił chytryść tego konceptu. Wiśniowiecki musiał doskonale zdawać sobie sprawę, że tu, w Warszawie, on i towarzyszący mu ludzie są pod ciągłą obserwacją. Gdyby więc poseł księcia Rakoczego zachodził do gospody po zmroku, tylnym wejściem lub wysyłał posłańca, rychło by to odkryto. A tak zjawiał się jawnie, głównymi drzwiami, i była to już całkiem inna rzecz.

Mroczek zmrugał oczy, rozpoznając w dowódcy eskorty Marka Gedyszyńskiego, rotmistrza w chorągwi, która z rozkazu kniazia Jaremy ściagała go po Ukrainie za czasów, gdy przestawał z niesławnym Samuelem Łaszczem. Za tamtych dni wachmistrz przyjrzał się dobrze wszystkim oficerom i podoficerom biorącym udział w pościgu. Przez blisko trzy tygodnie

podjazdów, zasadzek i mylenia tropów miał na to dość czasu.

Wysoki, barczysty szlachcic rozejrzał się po zadymionej sali, zatrzymując dłużej wzrok na usługujących dziewczkach. Mroczek zgarbił się i pochylił głowę, wpatrując się w dno kufła; choć wąpił, by oficer dostrzegł go w tłumie gości, wołał zachować ostrożność.

Madziar rzekł coś do rotmistrza, następnie ruszył żwawym krokiem ku szefowi ochrony. Ten z miejsca dostrzegł nowego gościa, nabity kark drgnął w płytkim ukłonie, a zakazana morda wyszczerzyła się w przymilnym uśmiechu. Poseł powiedział parę słów, na co osilek pokiwał gorliwie głową i wskazał najdalej położoną od wejścia część sali, gdzie znajdowały się trzy boksy ogrodzone wysokimi drewnianymi przegrodami. Pomieszczenia te przeznaczone były dla klientów, którzy nie życzyli sobie zasiadać na widoku. Sąsiedztwo pałaców, kościołów czy klasztorów sprawiało, że rzadko kiedy stały wolne. Łysol szybkim krokiem podszedł do środkowego boksu, odsunął nieco kotarę i zerknął do wnętrza. Widać nie działo się tam nic specjalnie zdrożnego, gdyż wsadził łeb głębiej, a zaraz potem powrócił do Madziara i szepnął mu coś do ucha.

Nie upłynęły trzy zdrowaśki, jak zza zasłonki wysunęła się dziewczka. Młódka była ładna, nawet bardzo, choć mierzyła dobre sześć stóp wzrostu, a zatem była wyższa niż większość obecnych w lokalu mężczyzn. Przy mocnej budowie ciała Stwórcza obdarzył pannicę zaskakująco proporcjonalną figurą. Do tego dochodziła szeroka, przyjemna twarz, wielkie brązowe oczy patrzące spod wyskubanych w łuk brwi, wydatne, lecz nie wulgarne usta. Włosy barwy dojrzalego orzecha, splecione w gruby warkocz, spływały między łopatkami aż do rozłożystych bioder.

Nim kotara zakryła wnętrze boksu, wprawne oko wachmistrza wychwyciło czerń sutanny.

Dziewka poprawiła fryzurę, wygładziła nieco pomiętą fioletową suknię i podeszła do Madziara. Ten rzekł coś do niej, znać coś miłego, gdyż młódka posłała mu promienny uśmiech, po czym zaprowadziła mężczyznę na piętro.

Mroczek odprowadził wzrokiem zgrabny, kołyszący się zadek dziewczki, a potem znów skupił uwagę na przybocznych wysłannika Rakoczego, którzy zdążyli dopaść już kontuaru i właśnie zamawiali coś u szynka-rza. Wachmistrz postanowił wykorzystać okazję, aby się wymknąć, dopił więc duszkiem resztę wina i podniósł się z ławy. Z pochyloną głową ruszył do drzwi, zerkając kątem oka na Gedyszyńskiego, ten nawet nie spojrzał w jego stronę.

Na dworze uderzył weń chłodny wiatr. Mroczek otrząsnął się i szybkim krokiem ruszył w stronę zachodniej odnogi Krakowskiego Przedmieścia. Stamtąd aż do kościoła Wizytek rozciągał się kwartał drewnianych zabudowań, zamieszkiwany głównie przez rzemieślników i drobnych kupców, choć nie brakło również paru znamienitszych postaci. Przepuścił wóz z suszonym sianem i wykorzystał tę chwilę, aby upewnić się, czy nie ciągnie za sobą ogona. Przeskoczył rynsztok i wszedł w jeden z zaułków, gdzie czekał porucznik. Wyglądał na zziębniętego i mocno nieszczęśliwego - bez wątpienia sam wolałby siedzieć w ciepłej winiarni, niżli wystawać na zimnie - niestety, jego twarz mogła być znana obsłudze. Hirsz obrzucił swego wachmistrza złym wzrokiem.

- Długo ci to zajęło - burknął.

Mroczek wzruszył ramionami, z trudem tłumiąc rodzące się w piersi beknięcie, wspomnienie po dopitym w pośpiechu węgrynie.

- Za to chyba wiem, jak to robią.

Porucznik spojrzał nań pytająco.

- Znów wybrał tę samą dziewczkę - oznajmił wachmistrz.

- Tę wielką?

- Nie inaczej. Mówią na nią Marta.

- Może po prostu wpadła mu w oko - stwierdził Hirsz.
Tomasz potrząsnął głową.
- Na mój wdech to ona jest łącznikiem między posłem a Połubą.
Joachim zamyślił się i potarł dłonią podbródek.
- Zatem zaczniemy od tych dwojga. Trzeba to uczynić dyskretnie, póki nie zdobędziemy dowodów, działamy poza prawem.
Usta Mrocza wykrzywił złowieszczy uśmiech.
- Chyba wiem, jak zrobić to tak, by nikt nam nie przeszkadzał.



Maksym Birkut stał nieruchomo przy niewielkim oknie na szczycie wieży dzwonnicy kościoła Ojców Reformatorów, skąd miał doskonały widok na ulokowany po drugiej stronie ulicy Senatorskiej dwór Janusza Radziwiłła.

Posesję otaczał wysoki parkan z zamkniętą dwuskrzydłową bramą, przy której pełnili wartę uzbrojeni strażnicy. Dwór był drewniany, jednopiętrowy, przykryty stromym czterospadowym dachem i choć prezentował się solidnie, nie miał przecież porównania do pałaców Kazanowskich, Koniecpolskich czy Ossolińskich. Jednak tamci senatorowie byli ściśle związani z dworem i przez dziesięciolecia czerpali garściami z łask kolejnych Wazów. Janusz Radziwiłł zaś, wzorem swego ojca Krzysztofa, za życia wielkiego hetmana litewskiego, nigdy nie chciał przyjąć roli biernego wykonawcy woli królewskiej.

Birkut spojrzął na obszerny plac przed budynkiem.

- Co więc proponujesz?

- Jest Ślepek? - rzucił Hirsz.

Birkut spojrzął na obszerny plac przed budynkiem. Każdy wolny kawałek gruntu zajmowały szare namioty szeregowych żołnierzy i czeladzi. W wąskich przejściach między nimi panował ścisk. W przejrzystym powietrzu snuły się leniwie smużki dymu z ognisk i przenośnych piecyków. Maksym z grubszą oceniał liczbę wojska towarzyszącego Radziwiłłowi na przeszło trzy setki, w tym kilkudziesięciu szkockich gwardzistów. Słyszał też od porucznika, że dwa razy tyle żołnierzy stanęło obozem kilkanaście mil od stolicy.

Wjazdowi Janusza Radziwiłła nie towarzyszyły podobne emocje, jakich Birkut był świadkiem w przypadku tryumfu kniazia Jaremy; szlachta i zaciężni mieszkańcy stolicy nie żywili bowiem sympatii do chytrego Litwina, jak go określano powszechnie w Koronie. Choć obaj magnaci okazali się w tym ciężkim dla ojczyzny roku doskonałymi wodzami, to Wiśniowieckiego kochano, Radziwiłła zaś darzono co najwyżej niechętnym szacunkiem. Niemały wpływ na ów stan rzeczy miał ciężki i okrutny charakter hetmana polnego; w podległym mu wojsku nie zdarzały się ruchawki, a każde nieposłuszeństwo karano gardłem bez względu na urodzenie. Dodatkową wrogość katolickiej szlachty budziło innowierstwo księcia. Szczególny zapal w oczernianiu Radziwiłła w oczach panów braci cechował niektórych biskupów, zazwyczaj powiązanych z tronem. Janusz Radziwiłł urodził się bowiem w wierze kalwińskiej i, podobnie jak jego potężny ojciec, nigdy nie zamierzał od niej odstępować, ni to dla opinii ludzkiej, ni dla zyskania łask królewskich.

Zamyślony Birkut o mało nie przegapił niepozornego, korpulentnego człowieczka zmierzającego od strony arsenału ku bramie wjazdowej. Jegomość miał na sobie luźny, obszywany futrem płaszcz o kołyszających się rozpiętych połach, spod których wystawał wcale pokaźny brzuszek. Szedł krokiem energicznym, zadziwiająco sprężystym u człowieka podobnej tuszy.

Nagle człowiek ten uniósł głowę i spojrzął na wieżę kościoła.

Kozak instynktownie skulił się za żalodem okna, choć przecież nieznajomy nie mógł dostrzec go z ulicy. Rzeczywiście grubasek odwrócił wzrok i z obojętną miną ruszył wzdłuż parkanu do bramy. Wartownicy wpuścili go bez problemów na dziedziniec.

Birkut skupił się, by zapamiętać owalne oblicze, i ze zdumieniem stwierdził, że wszelkie szczegóły rozmywają się w jego pamięci. Zmarszczył szerokie czoło; wszak chlubił się nienaganną pamięcią. Za dużo dziwek, gorzałki, za mało snu, skonstatował. Spojrzał w niebo. Słońce, słabo połyskujące zza kotary chmur, opadało ku horyzontowi. Wkrótce zmieni go Mroczek, a on będzie mógł odespać zarwaną w zamtuzie noc.



Gintras Millke przez krótką chwilę rozglądał się po zatłoczonym do granic możliwości podwórku. Taka ilość wojska i czeladzi nadawała dworowi wygląd bardziej obozu wojennego niż podmiejskiej rezydencji magnackiej. Z trudem pohamował pokusę, by raz jeszcze spojrzeć na kościelną wieżę. Uśmiechnął się do siebie i energicznym krokiem ruszył w kierunku budynku. Przez nikogo nienagabywany przedostał się aż pod samą komnatę księcia, pod którą wartę pełniło dwóch szkockich gwardzistów. Widać, że był tu znany i oczekiwany, jeden ze strażników skinął mu bowiem głową na powitanie i otworzył drzwi.

Pocieszony tą myślą ponownie skupił się na obserwacji ulicy.

Gintras wkroczył do obszernego gabinetu, którego wystrój był raczej skromny, podobnie jak i cała stołeczna siedziba hetmana. Książę uniósł głowę znad rozłożonych na olbrzymim biurku papierów i spojrzął na sługę.

Choć przecież Janusz Radziwiłł nie miał jeszcze czterdziestu lat, to nieumiarkowanie w jedzeniu i piciu odcisnęło piętno na jego szerokim obliczu. Głębokie bruzdy na wysokim, odsłoniętym przez przerzedzone włosy czole i nieco obwisłe policzki nadawały mu wygląd znacznie starszego, tylko duże ciemne oczy, skryte pod krzaczastymi brwiami, błyszcząły niczym wypolerowane kamienie.

Dopiero po trzech długich oddechach Gintras odwrócił wzrok.

- Przyjrzałeś się temu Hirszowi? - zapytał hetman, nie prosząc, by gość. spoczął.

- Tak, wasza miłość.

- I co miarkujesz?

Millke wzruszył ramionami.

- To zawodowiec, zna miasto. Ma pod komendą kilku ludzi, na oko niegorszych charakterników, jeden z nich obserwuje właśnie dwór z wieży kościoła Reformatorów. - Gintras przez krótką chwilę napawał się widokiem zaskoczenia malującym się na obliczu hetmana, po czym zachęcony gestem mówił dalej: - Słowem: robota trudna, lecz przecież to nic nowego, wasza miłość.

Twarz hetmana stężała na chwilę.

- To niebezpieczny człowiek - rzekł głuchym tonem, jakby starał się zapanować nad głosem. - Kilka lat temu zatrudniłem go w pewnej sprawie. Wykazał się wówczas zadziwiającą skutecznością.

Gintras próbował niegdyś dowiedzieć się czegoś o tamtej sprawie sprzed lat i badał pogłoski o tajemniczych wydarzeniach, jakie rozegrały się w Kiejdanach. Rzecz dotyczyła jedynej córki hetmana i jakiejś kobiety, ponoć kochanicy księcia. Jednak wszyscy świadkowie, z którymi rozmawiał, milczeli jak zakłęci.

- Tu jest na swoim terenie - kontynuował Radziwiłł, nie dostrzegając chwili zamyślenia u swego rozmówcy - musisz być zatem szczególnie przeznany.

- Przeznany to moje drugie imię, wasza miłość.

Hetman spojrział na Gintrasa zmrużonymi oczami.

- Może wyda ci się interesującym, Millke - podjął po dłuższej chwili - gdy dowiesz się, że myśl o zatrudnieniu ciebie przyszła mi do głowy po spotkaniu z tym oficerem.

Uznałem, że przyda mi się człowiek o zdolnościach podobnych do tych, jakie posiada mości Hirsz. Z tej przyczyny wydostałem cię spod katowskiego miecza.

„Och, to było celne”.

Gintras przyoblekł twarz w wystudiowaną maskę uniżoności.

- Zawsze pamiętam o łaskawości waszej miłości.
- I słusznie, Millke, i słusznie, bo ostatnio mam jej w sobie bardzo niewiele, słuchaj więc uważnie.

Gintras pochylił się lekko, by zaznaczyć swe zainteresowanie.

- Przez minione lata poświęciłem niemało środków, by zdobyć informacje o tym człowieku - ciągnął hetman. - Urodził się w Rydze i tam wychowywał do szóstego roku życia. Mój agent odszukał ludzi, którzy znali jego matkę. Była czarownicą. Po wkroczeniu Szwedów do miasta została zadenuncjowana przez miejscowego pastora. Aresztowano ją, wytoczono proces i spalono na stosie.

Millke popatrzył na księcia szczerze zaciekawiony.

- Chłopak zniknął w dniu aresztowania matki. Próbowano ponoć go szukać, ale Szwedzi mieli co innego na głowie niż uganianie się za jakimś bachorem. Mój człowiek dowiedział się również, że kochankiem owej kobiety był oficer litewskiego garnizonu. W dniu kapitulacji miasta on również zniknął bez śladu. Kazałem przeszukać archiwa, lecz nie znaleziono jego nazwiska na liście oficerów wykupionych z niewoli.

Radziwiłł przerwał dla zaczerpnięcia oddechu.

- W następnym roku nazwisko owego oficera wypłynęło jako dowódcy chorągwi lekkiej jazdy w armii, z którą mój ojciec obronił Mittawę przed Gustawem Adolfem - w głosie hetmana rozbrzmiała nieskrywana duma. - Potem szlachcic ten stał się klientem domu Sapiehów. Mój człowiek odnalazł jego rodzinę. Oficer umarł przed laty, lecz wdowa wciąż żyje i doskonale pamięta chłopca. Nie mieli własnego potomstwa, więc przygarnęli dzieciaka, by wychować jak swojego. Chłopak wyznawał obrządek luterański, zatem ochrzczili go na katolika zgodnie ze swoją wiarą. Wkrótce jednak z dzieciakiem zaczęły dziać się niepokojące rzeczy.

- Pojawiły się dziedziczne zdolności - wtrącił Gintras, domyślając się reszty.

Hetman przytaknął nieznacznie.

- Bez wątplenia. Niewiasta ta twierdziła, że jeszcze przed śmiercią męża wymogła na nim, by oddał wyrostka na wychowanie do jezuitów w Wilnie.

Hetman wzdrygnął się, jakby sama wzmianka o Towarzystwie Jezusowym przyprawiała go o dreszcze.

- Dalej trop się urywa. Oficer o nazwisku Hirsz wypływa nagle kilkanaście lat później tu, w Warszawie. Szybki, choć nie spektakularny awans na instygatora starosty Grzybowskiego.

- W sam raz dla człowieka chcącego pozostać w cieniu - ocenił Gintras.

Hetman kiwnął głową z aprobatą.

- Sam bym tego lepiej nie ujął, panie Millke.

- Czy wasza miłość ma szczególne życzenia co do osoby tego człowieka?

Wyraz twarzy hetmana mógł w tej chwili budzić grozę.

- Chcę, aby przed śmiercią wiedział, komu ją zawdzięcza.

Gintras powstrzymał się przed okazaniem niezadowolenia. Jak masz kogoś zabić, zrób to, a nie gadaj, bo inaczej sam skończysz z ostrzem w trzewiach.

- Da się zrobić, wasza miłość - rzekł krótko.

- To już wszystko, Millke - oznajmił Radziwiłł i spojrzął w okno, wyraźnie zamyślony. Gintras uklonił się, na wypadek gdyby jego odbicie było widoczne w szybie, i wyszedł na korytarz.

Szkoci zamknęli za nim drzwi.

Pożegnał wartowników krótkim skinieniem głowy, następnie ruszył korytarzem do tylnego wyjścia. Na zapleczu dworu kręciło się ledwie kilku czeladnych. Millke przeciął na ukos podwórze i wkroczył w prześwit między płotem a drewnią. Za wąskim przejściem rozciągał się sad, przez który wąską, wijącą się między drzewami ścieżką można było dojść do bocznej furty. Gintras zerknął z żalem na swoje nowe skórzane buty.

Za bramą natychmiast przywitał go wilgotny, nieprzyjemny wiatr. Millke rozejrzał się po krótkim zaułku dochodzącym do głównej ulicy i ruszył wolnym krokiem, rozmyślając, jak wykonać rozkaz księcia i jednocześnie wyjść z tego cało. Pan Gintras Millke był bowiem człowiekiem ostrożnym, ważącym każdy ruch i ceniącym swe życie, a dotychczasowe doświadczenia nauczyły go, że rzecz dziś korzystna czy zgoła konieczna nie zawsze taką okazuje się w przyszłości.

„A takich jak ja zawsze można poświęcić w imię wyższych racji”.

Już tylko z tej przyczyny pomyśl, by zamordować królewskiego oficera podczas trwania sejmu, był wystarczająco niepokojący. Do tego dochodziło jeszcze idiotyczne życzenie księcia. W innym razie mógłby po prostu użyć rusznicy, albo jeszcze lepiej myśliwskiej kuszy, cicho i bezpiecznie, a tak trzeba będzie załatwić rzecz ostrzem, i to raczej krótkim. Gintras zmarszczył czoło na myśl o takim rozwiązaniu. W przeszłości miał okazję zetknąć się z ludźmi Tajnej Kancelarii. Na pamiątkę owego krótkiego, acz gwałtownego spotkania została mu długa blizna na lewym boku.

Cóż jednak zrobić? Pan każe, sługa musi, o czym dobitnie przypomniał mu Janusz Radziwiłł.

Millke doszedł do wylotu zaułka, zatrzymał się i rozejrzał bacznie po ulicy. Nikt z przechodniów, woźniców czy straganiarzy nie zwrócił nań uwagi.

Następnie omiół wzrokiem dachy drewnianych domów. Nigdzie nie dostrzegł szpicli, czy to królewskich, czy hetmańskich. Przy czym ci drudzy niepokoiili go o wiele bardziej. Janusz Radziwiłł był człowiekiem religijnym, Gintras zaś hołdował rozrywkom, które w żaden sposób nie mogły zyskać zrozumienia w oczach hetmana.

Pan Millke uśmiechnął się pod nosem na myśl o dziewczynce oczekującej nań w piwnicy i energicznym krokiem skierował się w stronę przeprawy na Pragę.

Iwan Hańcza splunął na ziemię i wytarł plwocinę podeszwą buta. Prawą dłoń zacisnął na krzyżu zwisającym pod kaftanem i delią. Odziedziczony po prababce krucyfiks dosłownie przył nagą skórę.



Kozak z ponurą miną wpatrywał się w plecy oddalającego się jegomościa.

„Chędożony zaklinacz, nie może być inaczej”.

Hańcza przez kilka oddechów rozważał, czy aby nie powinien śledzić mężczyzny. Rozkaz Hirsza był jednak wyraźny: nie odstępować stanowiska i mieć baczenie na każdego, kto od zaplecza przybywa do Radziwiłła. Taka dosłowna interpretacja rozkazu bardzo mu odpowiadała. W przeszłości spotkał już na swej drodze paru czarowników. Ten tutaj wyglądał zaś Hańczy na

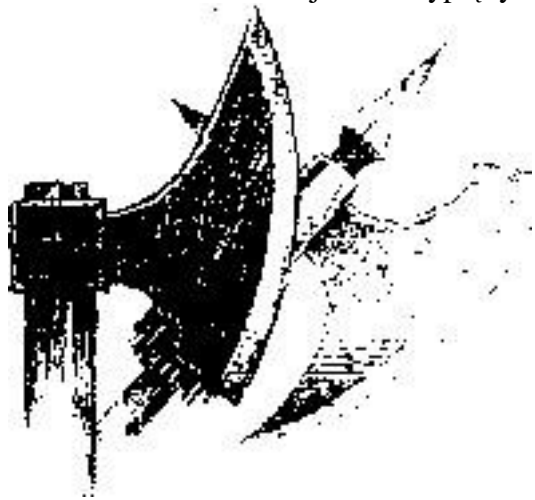
wyjatkowo wrednego.

Zaklinacz skręcił w boczną uliczkę i Iwan stracił go na dobre z oczu. Pieczenie pod krzyżem ustało, pozostawiając po sobie lekkie swędzenie.

Kozak podrapał palcami podrażnioną skórę i z ulgą skupił się na obserwacji zaułka.

Rozdział V

Hieronim Radziejowski wyprężył ciało i wyrzucił z siebie cuchnący winem jęk.



Katarzyna z trudem powstrzymała się przed okazaniem niezadowolenia: przyśpieszyła oddech, poruszyła rytmicznie biodrami, a z jej rozchylnych ust uniosło się kilka melodyjnych westchnień. Nie za wiele. Ostatecznie nie była pierwszą lepszą ulicznicą. Gdy tylko Łomża rozluźnił pośladki, rozplotła nogi na jego biodrach i delikatnym, acz stanowczym ruchem zepchnęła z siebie kochanka, który przetoczył się o ciężale na plecy, mrużąc z zadowoleniem.

Tarska uniosła się i usiadła na krawędzi łoża. Jej wypielęgnowane stopy zanurzyły się w miękkim wschodnim kobiercu. Wstała z gracją, po czym naga i spocona podeszła do szafki, na której stała misa z wodą. Obok srebrnego naczynia leżała ściereczka z aksamitu. Miłośnica zmoczyła tkaninę i dokładnie wytarła podbrzusze.

Woda była wciąż gorąca. Pan starosta nie okazał się tej nocy wytrwałym kochankiem.

„Dobrze, że nie zebrało mu się na bardziej finezyjne igraszki”, pomyślała z ulgą i wrzuciła lepką szmatkę do wody. Poprawiła włosy opadające niesfornie na oczy i przez ramię spojrzała na kochanka. Hieronim spał już, z szeroko rozrzuconymi nogami, pośrodku olbrzymiego łoża. Masywna, bujnie owłosiona pierś unosiła się w rytm chrapliwego oddechu. Katarzyna przeniosła wzrok niżej, wzdłuż wypukłości niewielkiego brzuszka, do kępy gęstych włosów, zatrzymując spojrzenie na grubym, wilgotnym robaku spoczywającym między kolumnami ud.

Radziejowski był czerstwym, silnym mężczyzną o urodzie mogącej zawrócić w głowie porządnej niewieście. Chwalić Boga, Tarska nie należała do tego rodzaju kobiet.

Czując się nieco czystsza, otworzyła srebrny kuferek, w którym trzymała pachnidła, maści na urodę oraz specyfiki chroniące przed zajściem w ciążę. Tych ostatnich nie musiała po prawdzie stosować, gdyż medycy twierdzili, że nie będzie mieć już więcej dzieci, jednak sam fakt znajdowania się w puzdrze takich środków wystarczył, by Radziejowski doń nie zaglądał. Łomża, jak większość mężczyzn, był bowiem w tych sprawach cudownie fałszywy. Lubił wlewać w nią nasienie, lecz wszelkim związanym z tym kłopotem nie zaprzętał sobie głowy. Wolał udawać niewiedzę, ostatecznie był przecież człowiekiem szczerzej wiary i gorliwym katolikiem.

Tarska odnalazła zatrask i odblokowała zapadkę. U spodu kufereka wysunął się przemyślnie skryty schowek.

Wyjęła zeń drewnianą skrzyneczkę i ukrywając ją w dłoni, skierowała się z powrotem do

łóża. Zdjęła przewieszony przez poręcz szlafrok z jedwabiu i nałożyła na siebie. Delikatna tkanina przylgnęła przyjemnie do nagiej skóry. Katarzyna przez dłuższą chwilę wpatrywała się w kochanka. Z jego rozwartych ust na zadbaną bródkę ściekała strużka śliny. Całe popołudnie i wieczór starosta spędził na uczcie u Sapiehy, gdzie pito nader obficie, było zatem mało prawdopodobne, by zawracał jej głowę jeszcze tej nocy.

Rozejrzała się po alkowie, oświetlonej przez płomienie w kominku oraz pięć grubych świec osadzonych w zdobnym kandelabrze. Radziejowski rozrzucił ubranie po całym pomieszczeniu. Kaftan, który ją interesował, leżał, ciśnięty byle jak, przy samym łożu.

Przykucnęła i nie spuszczać oka z chrapiącego Łomży, sięgnęła do spodniej warstwy okrycia. Smukłe, zwinne palce bez trudu odnalazły kieszonkę, a w niej ukryty kawałek metalu. Był to klucz, dość ciężki, pozbawiony zdobień. Otworzyła puzderko wypełnione woskiem i z wielką starannością odcisnęła kształt w miękkiej substancji.

Zamknęła pojemniczek. Wylała dokładnie klucz, odłożyła na miejsce, po czym powróciła do kuferka i schowała puzderko do schowka.

Odetchnęła, rozluźniając mięśnie ramion. Zbliżyła się do okna, oparła dłonie o szeroki parapet. Za szybą panowała chłodna późnojesienna noc. Teraz gdy napięcie opadło, poczuła się bardzo samotna. Spojrzała w jasny księżyc.

„Co teraz robisz, Joachimie?”

Księżyc świecił jaśniej, niż powinien.

Hirsz oderwał wzrok od pogrążonego w ciemnościach placu Bernardyńskiego i spojrzał na zegar wieży zamkowej. Oświetlona przez srebrny blask tarcza mechanizmu wskazywała trzecią nad ranem.

„Paskudna pora na paskudną robotę”.

Rozprostował skulone pod wpływem chłodu barki i obrócił twarz w kierunku Podwala, gdzie stał Dom Gdański. Masywny zarys piętrowego gmachu odcinał się głęboką czernią na tle jasnej nocy. Porucznik opuścił wzrok na wymarłą ulicę biegnącą wzdłuż muru miejskiego; w sejmowej Warszawie tylko tak późną porą można było usłyszeć podobną pustkę oraz ciszę. Ponownie uniósł głowę i spojrzał na tkwiącego na kolumnie Zygmunta Wazę. Stary król, trzymając w dłoniach miecz i krzyż, patrzył na pogrążone we śnie miasto.

Hirsz otulił się szczelniej płaszczem i naciągnął głębiej na uszy futrzaną czapkę, którą przezornie założył zamiast kapelusza, po czym z lekkim zniecierpliwieniem zerknął na Podwale. Tym razem jego oczekiwanie zostało nagrodzone.

Tomasz Mroczek wyłonił się z cienia po przeciwnej stronie ulicy i szybkim krokiem podszedł do porucznika.

- Uczta dopiero się skończyła - oznajmił. - Z tego, co udało mi się wypatrzeć przez lunetę, wszyscy zalegli, pijani w trupa. Iwan na wszelki wypadek został na wieży.

Joachim skinął głową, wyrażając aprobatę. Wszystko szło po ich myśli.

„Gdyby nie ten cholerny księżyc”.

Omiótł wzrokiem opustoszały plac, zatrzymując się dłużej na lampie wiszącej nad drzwiami kościoła Bernardynów. Nikły blask starczał ledwie na oświetlenie zaryglowanych wrót świątyni. Nieco dalej, po tej samej stronie co świątynia, z mroku wyzierała potężna bryła pałacu marszałka Kazanowskiego. Fortyfikacje i większa część budynku tonęły w ciemnościach. Tylko w jednym z olbrzymich okien na piętrze paliło się światło. Być może właśnie w owej komnacie dożywał swoich dni stary rajfur i przyjaciel nieodżałowanego króla Władysława.

- Idziemy - rzucił krótko do wachmistrza.

Wybrali drogę wzdłuż zachodniej pierzei placu, gdzie stały zamknięte na noc kramy i warsztaty. Minęli wąski zaułek prowadzący na Kozią i przemknęli wzdłuż płotu otaczającego

dwór Gniewoszków. Gdzieś z terenu posesji imię łowczego koronnego dobiegło ich szczekanie psa: krótkie i z obowiązku. Przecieli biegnącą na tyłach posesji uliczkę, która łączyła obie odnogi Krakowskiego Przedmieścia ze stromym zejściem nad Wisłę.

Milcząc, przemierzali ciasne, kręte zaułki, aż dotarli do celu: pod front piętrowego budynku. Hirsz zatrzymał się w jednym z głębokich cieni. Ściągnął brwi, nieprzyjemnie zaskoczony. W izbie na piętrze świeciła się lampa. Stłumiony przez zasłonięte kotary blask przenikał na zewnątrz rozrzedzoną mgiełką. Przez chwilę rozważał, czy nie zaczekać, aż winiarz położy się spać. Odrzucił tę myśl. Był już wystarczająco przemarznięty, a Warszawa w czasie trwania sejmiku zasypiała praktycznie tylko na te kilka późnonocnych godzin.

- Są we dwójkę. - Birkut wychylił się z ciemności; Joachim nieustannie przyłapywał się na zdumieniu, jak ktoś tak potężny może poruszać się równie bezgłośnie.

Hirsz spojrział przelotnie na główne drzwi prowadzące do domu; były solidne i zaopatrzone w trudne do sforsowania zamki. Wymienił z wachmistrem porozumiewawcze spojrzenia. Po tylu wspólnie spędzonych latach to wystarczało. Mroczek skinął potakująco głową.

Birkut znów ukrył się w mroku, a oni dwaj skierowali się do tylnego wejścia. Joachim ściągnął z dłoni skórzane rękawiczki, sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza po zestaw wytrychów. Otwarcie prostego zamka zajęło mu nieco ponad dwie zdrowaśki.

Odblokowany mechanizm wydał cichy trzask i drzwi otworzyły się z ledwie uchwytnym skrzypieniem zawiasów. Weszli ostrożnie do ciemnej sieni. Hirsz czekał, aż wachmistrz zamknie za sobą odrzwia. Przez chwilę nasłuchiwał. Nic nie wskazywało, by domownicy usłyszeli ich wtargnięcie.

Zmrużył oczy. Kilkanaście kroków przed sobą dostrzegł zarys schodów, oświetlonych przez mglistą księżycową poświatę.

Rozpiął poły płaszcza i sięgnął po umocowane przy skórzanym pasie *volto*. Przez kilkadziesiąt uderzeń serca przyglądał się białemu obliczu o głębokich migdałowych oczach. Wenecki symbol karnawału i w Rzeczypospolitej przyjął się znakomicie. *Volto*, które trzymał w dłoniach, było wyjątkowe w swej straszliwej urodzie. Niemal pieszczołliwie musnął palcami wycięcia na usta. Subtelny grymas warg, oddany z artyzmem przez anonimowego rzemieślnika, napawał grozą. Hirsz zdobył tę wspaniałą maskę, gdy kilka lat wcześniej powracał z Rzymu. Wówczas to zatrzymał się na krótki pobyt w Wenecji, aby przypatrzeć się sławnym zapustom.

Od tego czasu dla wielu ludzi maska była ostatnim obliczem, jakie ujrzeli przed nagłą śmiercią.

Naciągnął *volto* na twarz i ruszył w kierunku schodów, stawiając ostrożnie kroki. Zatrzymał się przy pierwszym stopniu. Droga na piętro również tonęła w mroku, widać winiarz oszczędzał na oliwie do lamp. Hirsz skłął w duchu skąpstwo gospodarza.

Wyciągnął rękę i oparł dłoń o ścianę dla zachowania równowagi. Ruszyli ostrożnie na górę. Czuł na karku wilgotny oddech Mroczka i przy każdym kroku zastanawiał się, czy kolejny stopień zaskrzypi pod niebagatelnym ciężarem wachmistrza. O dziwo, nic takiego nie nastąpiło. Gdy dotarł do szczytu schodów, wychylił głowę za narożnik i rozejrzał się po korytarzu. Piętro oświetlała niewielka lampka zawieszona pod sufitem.

Obrócił głowę do Mroczka.

Za smutnej twarzy czarnego arlekina spoglądały nań ciemne jamy oczu.

- Drzwi są kilkanaście kroków po prawej, mogą być zamknięte - poinformował go szeptem.

Czarna maska poruszyła się w górę i w dół, a jedynym dźwiękiem, jaki usłyszał porucznik, było ciche tarcie wysuwanego z pochwy ostrza. Do celu dotarli bez jednego

skrzypnięcia podłogi.

Hirsz uniósł maskę i wytarł wierzchem dłoni krople potu na nosie. Następnie pochylił się i przytknął ucho do drzwi. Usłyszał sapanie mężczyzny przetykane dźwięcznymi kobiecymi jękami; melodia stara jak świat.

Wolną dłoń położył delikatnie na klamce i ostrożnie nacisnął. Rozległo się ciche pyknięcie odblokowywanej zapadki. Nasunął maskę na twarz i sięgnął po sztylet, drugą dłonią pchnął drzwi.

Dwa rozanielone oblicza zwróciły się ku zamaskowanym intruzom.

Matyjas Połuba znieruchomiał w pół ruchu, wytrzeszczył oczy, a potem ześlizgnął się z imponujących krągło-ści, bijąc w oczy sterczącą dumnie włócznią. Dziewka natomiast wydała z siebie cienki pisk i błyskawicznie chwyciła za nakrycie, aby osłonić nagość. Szarpnięcie omal nie strąciło drobnego kochanka na podłogę.

Hirsz dopadł Słowaka w kilku susach, chwycił za wątłe ramię. Matyjas Połuba szarpnął się, lecz silny cios w podbródek pozbawił go przytomności.

Jednocześnie Mroczek doskoczył do ladacznicy i chwycił za gardło, w sam czas, by zatamować rodzący się krzyk.

- Zamknij mordę - ostrzegł ją z właściwym sobie urokiem, przysuwając długie, lśniące ostrze do policzka.

Wytrzeszczyła nań oczy i zastygła w bezruchu, co dobrze świadczyło o jej rozsądku. Hirsz odetchnął w duchu z ulgą. Ludzie potrafili pod wpływem paniki stawić zdumiewający opór. Oczywiście do momentu, nim ich zabito. Szczerze pragnął uniknąć związanego z tym bałaganu.

Chwycił winiarza pod pachy i ściągnął na podłogę.

Gdy ponownie uniósł głowę, zamarł, widząc, że Mroczek - trzymając niedbale ostrze majchra przy gardle dziewczki - wolną dłonią obmacuje pod prześcieradłem jej cycki. Wachmistrz wyglądał przy tym na bardzo zadowolonego: tak bardzo, że nie dostrzegł, jak w pięknych orzechowych oczach błysnęła panika.

Nim Hirsz zdążył zareagować, Marta poderwała się gwałtownie, zabiła chaotycznym ruchem rękę trzymającą nóż i uderzyła zaskoczonego wachmistrza w słabiznę. Ten jęknął i zwałił się na deski jak kłoda. Wypuszczony sztylet uderzył z brzękiem o podłogę.

Dziewka była zbyt spanikowana, aby wykorzystać okazję, po prostu rzuciła się na obmacywacza, młócąc na oślep zaciśniętymi pięściami. Dwa lub trzy uderzenia trafiły w cel, wgniatając maskę arlekina.

Hirsz momentalnie otrząsnął się ze zdumienia, chwycił tkwiącą przy flintpasie króciwą i grzmotną kolbą w potylicę kobiety, która jęknęła boleśnie i rozpląszczyła się na wachmistrzu, prezentując przy okazji zadziwiająco zgrabny tyłek.

Tomasz uwolnił się z niechcianych objęć. Klnąc, podniósł się na nogi, zerwał zgniecioną maskę i cisnął ze złością na łóżko. Hirsz spojrział na wykrzywioną bólem twarz przyjaciela i uśmiechnął się pod nosem.

Mroczek łypnął nań groźnie.

- Tak ci wesoło? - warknął.

Joachim wzruszył ramionami. Spojrział w okno i to przypomniało mu o nieuchronnie upływającym czasie.

- Zwiążmy ich i bierzmy się za robotę.

W oczach Mrocza błysnęło okrucieństwo. Sięgnął po zdezelowaną maskę i zakrył ponure oblicze. Wgnieciony papier nadawał masce arlekina doprawdy żalospny wygląd.

„Dobrze, że nie zdołała zerwać mu jej z twarzy”.



Hirsz, milcząc, wpatrywał się w siedzącego na krześle i skrepowanego Matyjasa Połubę. Za jego plecami wznosiła się zwałista sylwetka Mroczka. Pognieciona twarz czarnego arlekina pochylała się nad łysiną winiarza w niemym oczekiwaniu. Lewa dłoń wachmistrza niedbale opierała się na chudym barku więźnia, podczas gdy prawa, trzymająca wielki majcher, zastygła na wysokości krtani Słowaka.

Musiałyby wówczas umrzeć.

Porucznik westchnął lekko skonfundowany.

Zazwyczaj, gdy wywlekasz kogoś z łóżka w środku nocy, przywiązujesz nagiego do krzesła i przystawiasz mu ostrze do gardła, ten ktoś stara się spełnić wszelkie twe oczekiwania. Ba... nawet je uprzędzić. Zazwyczaj, jednak w przypadku Matyjasa Połuby zasada ta zupełnie się nie sprawdziła.

- Gdzie są listy do księcia Rakoczego i komu je przekazujesz? - instygator powtórzył pytanie.

- Nie wiem, o czym mówicie, panie, jestem tylko zwykłym kupcem - wyrzucił z siebie Połuba z mocą człowieka, który chce, by mu uwierzono. - Błagam, to jakaś straszna pomyłka.

Wyraźnie rozczarowany Hirsz skinął głową na wachmistrza. Prawy nadgarstek Tomasza poruszył się nieznacznie i lśniące ostrze nacięło skórę, uwalniając wąski strumyk jasnoczerwonej krwi. Grdyka Słowaka nawet nie drgnęła, a w bladych oczach załśniła determinacja.

Hirsz uniósł brew.

„No, no. Kto by się spodziewał?”

Mroczek spojrzał nań wyczekująco.

Porucznik rozejrzał się po izbie w poszukiwaniu odpowiednich środków perswazji. Jego uwagę przykuła lampa oliwna. Wysoka na łokieć, ze zwężającym się ku górze szklanym kloszem, dawała dość blasku, by rozświetlić sypialnię. Joachim podszedł do stołu. Przez materiał płaszcz odkręcił klosz. Podniósł lampę i powrócił do przesłuchiwanego. Powoli przesunął płomień przed oczyma mężczyzny, dając mu czas na ponowne rozważenie swego położenia.

- Przysięgam na Boga, nic nieeee...

Hirsz, nie pozwalając mu dokończyć, przechylił lampę i z metalowej czarki spadły tłuste krople oliwy. Pałące pociski jeden za drugim uderzyły w nagie uda.

Winiarz krzyknął z bólu, lecz sękata dłoń wachmistrza skutecznie stłumiła wydobywający się z ust dźwięk.

- Nie lubię się powtarzać - w głosie porucznika brzmiały niemal przyjacielskie tony. - Gdzie ukryłeś listy?

Połuba potrząsnął rozpaczliwie głową. Zza knebla przedarł się niezrozumiały bełkot. Hirsz nakazał gestem, by Mroczek cofnął dłoń.

- Mam pieniądze w skrytce, weźcie wszystkie, tylko nie męczcie. Przysięgam na Boga! Nie wiem, o czym mówicie. Nic nie wiem o żadnych listach... aaaaajjj - za-skomlał rozdzierająco, gdyż zniecierpliwiony Mroczek wbił mu kciuk w obojczyk.

Hirsz zerknął na wachmistrza.

„Jest w naprawdę paskudnym nastroju?”

- Nagrzej ostrze - polecił i uniósł lampę, umożliwiając Mroczkowi swobodne osiągnięcie płomienia. Załzawione oczy winiarza podążyły w ślad za nożem.

Porucznik ponownie wpił wzrok w Połubę: wychudła bezwłosa pierś, wątłe ramiona, blada, drżąca twarz. Fizyczne przeciwieństwo twardziela, a jednak co za hart ducha.

- Szanuję twoją postawę, Matyjas, wierz mi, choć jej nie pojmuję - wyznał, nie kryjąc

uznania. - Daję ci ostatnią szansę.

Więzię spojrzął w pochyloną nad nim białą maskę.

Szczupłe oblicze wykrzywiła pogardliwa determinacja.

- Męczcie mnie, ile chcecie, i tak niczego wam nie powiem, skurwysyny - wycedził przez zaciśnięte zęby.

Hirsz wzruszył lekko ramionami.

- Przynajmniej szczerze. Na początek dobre i to.

Mroczek uniósł klingę znad płomienia i skinął głową usatysfakcjonowany.

- Gdzie? - zapytał spokojnym głosem.

Joachim zerknął w okno.

„Niedługo świt, nie mamy wiele czasu”.

- Jaja. Dwa mu nie są potrzebne - zdecydował.

Połuba nawet się nie wzdrygnął, słysząc wyrok. Jedyłą oznaką, że odczuwa strach, była lekko trzęsąca się dolna warga.

Nagle od strony łóżka dobiegł ich jęk odzyskującej przytomność Marty.

Połuba spał się zauważalnie. Joachim dostrzegł w jego oczach nagły lęk. Coś jakby...

Uniósł dłoń, zatrzymując majcher ledwie na kciuk od przyrodzenia winiarza. Mroczek spojrzął nań zaskoczony.

Mięśnie na obliczu Połuby drgnęły niespokojnie pod natarczym wzrokiem porucznika.

„Ach, już wiesz, że ja wiem”.

- Zmieniłem zdanie, obetnij jej sutki - rozkazał Hirsz.

W ciemnych oczach wachmistrza błysnęło zdumienie. Zerknął na przytomniejącą dziewczkę.

- Z przyjemnością - wycedził mściwie i wypuścił z uścisku dotychczasową ofiarę.

Nie odszedł nawet trzech kroków, gdy zatrzymał go okrzyk:

- Zaczekaj! Powiem wszystko, tylko jej nie krzywdźcie.

Volto drgnęło nieznacznie, gdy Hirsz uśmiechnął się z ulgą.

„Miłość to zaiste niebezpieczna słabość i w tej robocie bywa czasem równie przydatna jak tylne drzwi”.



Gdy Hirsz skręcił z ulicy Grodzkiej na przedni dziedziniec zamku, dwóch wartowników nie poświęciło mu zbytnej uwagi.

Praktycznie mógł tu wejść każdy; zamek już od dawna pełnił rolę gmachu publicznego, tracąc swą pierwotną funkcję rezydencji królewskiej. W przestronnej budowli znajdowały się: urzędy grodzkie i nadworne, kancelarie królewskie, rozmaite sądy, w tym po jednym dla Prus Książęcych i Kurlandii, a przede wszystkim sale posiedzeń sejmu i senatu.

Nic zatem dziwnego, że już król Władysław chętniej przebywał w pałacu przy Krakowskim Przedmieściu niż w tych gwarnych, nieustannie zatłoczonych murach. Jan Kazimierz podtrzymał ów zwyczaj i mieszkał na zamku tylko w czasie odbywania się sejmów.

Porucznik minął budynek kordegardy starościńskiej i skierował się do południowego skrzydła. Wszedł po schodach do obszernej sieni.

Zastał tam węgrows ze straży marszałkowskiej oddających się grze w kości. Oczywiście większość gwardzistów nie miała w sobie kropli krwi węgierskiej, a nazwa regimentu przyjęła się od używanego w nim umundurowania, skrojonego na modłę madziarską. Należące do żołnierzy halabardy stały oparte o ścianę nieopodal dwubiegowych schodów prowadzących na piętro, gdzie mieściły się sale senatu. Innej broni nie posiadali, gdyż ich służba ograniczała się

tylko do pilnowania porządku i niedopuszczenia do burd na sali sejmowej.

Węgrzy byli tak pochłonięci hazardem, że nie dostrzegli, jak wszedł do środka. Kości się potoczyły i mężczyźni pochylili się w skupieniu nad stołem.

- Psiamać - zaklął ktoś wyraźnie wzburzony.

Joachim odchrząknął.

Strażnicy poderwali się jak oparzeni.

Hirsz spojrzął srogo na niskiego, brodatego sierżanta. Zmrużył oczy i przesunął wzrok po twarzach gwardzistów. Rozpoznawał tych ludzi, już kiedyś, przy sprawie mordu dokonanego na kochance królewskiej, miał okazję natknąć się na tych żołnierzy i dowodzącego nimi jednookiego kapitana.

Podoficer wyprężył się na baczność, ale jakoś tak od niechcienia.

- Gdzie jest wasz kapitan?

- Nie spowiada mi się. - Sierżant wzruszył ramionami.

Hirsz zmilczał tę impertynencję. Marszałek wielki, mąż wiekowy i schorowany, od dawna już nie panował nad podległą mu strażą, więc i dyscyplina wśród węgrowskich pozostawiała wiele do życzenia.

Porucznik wskazał na szerokie podwójne drzwi, za którymi znajdowała się sala sejmowa.

- Co tam się dzieje?

- Pustki. Radzą nad czymś, ale jakoś tak niemrawo.

Hirsz uniósł brew. Po przyjeździe kniazia Wiśniowieckiego oraz pojawieniu się w Warszawie Janusza Radziwiłła spodziewał się czegoś wręcz przeciwnego. Czyżby cisza przed burzą? Podszedł do drzwi i uchylił jedno z podwoi. Przesunął wzrokiem po obszernym, wydłużonym pomieszczeniu o zdobionym suficie wspartym na sześciu filarach. Kolumny dzieliły przestrzeń parlamentu na dwie części: przeznaczoną dla obradujących posłów i dla przysłuchującej się obradom publiczności.

Tego dnia nawa dla publiczności świeciła pustkami. Po stronie poselskiej również nie było pełnej frekwencji. W ławach wyściełanych czerwonym suknem Hirsz doliczył się może trzeciej części delegatów.

Właśnie przemawiał nieznanemu mu wybraniec narodu. W głosie szlachcica brzmiało święte oburzenie, gdy nawoływał do wyplenienia Żydów oraz wszelkich odszczepieńców z Warszawy i Mazowsza. Tak na początek.

Bogusław Leszczyński wyglądał na znudzonego tą oracją. Siedział rozparty w krześle marszałka sejmu i wodził smętnym wzrokiem po sali. Sam wychowany w religii kalwińskiej, ledwie kilka lat wcześniej przeszedł na katolicyzm. Powszechnie uważano, że owo nagłe nawrócenie w trzydziestym roku życia na wiarę rzymską było spowodowane oportunistycznym i chęcią ułatwienia sobie dalszej kariery. Zgodnie z dewizą: Panu Bogu świeczkę, a diabłu ogarek, w rodzinnym Lesznie chronił kalwinistów, ale gdy polityka tego wymagała, nie wahał się zamykać szkół i zborów podległych jego rodowi. Choć cieszył się opinią człowieka przekupnego i malwersanta, był jednocześnie gorliwym rojalistą i zwolennikiem planów królewskich. Hirsz przypuszczał, że za owo poparcie kazał też sobie drogo płacić.

Porucznik zamknął za sobą drzwi. Obrócił się i ruszył w kierunku schodów prowadzących do izb senackich. Wspinając się po marmurowych stopniach, czuł na karku spojrzenie sierżanta. Dotarłszy na piętro, znalazł się w wielkiej sieni, pełniącej funkcję kularów.

Tu również pełnili wartę węgry. Hirsz rozejrzał się, szukając ich dowódcy. Dostrzegł go w przedsionku prowadzącym do izby obrad senatu. Mikołaj Remer stał nieruchomo przy ozdobnej kracie i patrzył w głąb sali. Nosił się z polską, a przy pasie miał szablę.

Jakby wyczuwając skupiony na sobie wzrok, oficer obrócił głowę i spojrzął przez ramię

na Joachima. Jego szczupła twarz o mocnej, gładko wygolonej szczęce mogła uchodzić za przystojną, zaś czarna opaska zakrywająca lewy oczodół dodawała mu zbójeckiego uroku. Zimne oko wpatrywało się nieruchomo w Hirsza. Po chwili wykonał zapraszający gest.

Joachim podszedł bliżej, zdjął kapelusz i uprzejmie skinął głową.

- Witaj, waszmość.
- Witaj. Dawno się nie widzieliśmy, poruczniku.

W umyśle Hirsza błysnęło wspomnienie śmierdzących lochów wieży marszałkowskiej.

- Ano dawno - przyznał.

Kapitan wyciągnął doń rękę.

- Nie chowaj, panie Hirsz, urazy za tamto z Foglem. Rozkaz był i musiałem go wykonać.

Hirsz uśmiechnął się i uściśkał dłoń oficera.

- Już zapomniałem - rzekł szczerze, po czym i on spojrział przez kratę.

Sala senatu była wielka, prostokątna, o bogato zdobionym suficie. Jan Kazimierz zasiadał na tronie, pod baldachimem. Z boku znajdowała się loża królowej, osłonięta przed spojrzzeniami senatorów.

Na wprost króla jegomości stały krzesła ministrów Rzeczypospolitej. Na prawo koronnych, na lewo litewskich. Panowie senatorowie zajmowali kolejne wyściełane krzesła, stojące rzędami wzdłuż obu ścian izby. Za miejscami dla ministrów znajdowała się wolna przestrzeń przeznaczona dla panów posłów. Zwyczaj, jak i prawo nakazywały bowiem, aby połączone izby parlamentu razem przedstawiały królowi uzgodnione decyzje.

Obradujących wielmożów ogrzewał wielki piec, otoczony drewnianą balustradą.

Uwadze Joachima nie umknął nieprzyjemny dysonans. Mianowicie jeden tylko król i kilku dworaków było w stroju cudzoziemskim. Wszyscy zaś senatorowie nosili się po polsku, w atłasach i aksamitach.

- Mam spotkać się z sekretarzem koronnym - przerwał milczenie.

Kapitan uśmiechnął się.

- Polecono mi zaprowadzić cię do jego wielmożności, jak tylko ten skończy rozmowę z podkomorzym przemyskim.

Hirsz zmarszczył brwi, Franciszek Dubrawski uchodził bowiem powszechnie za człowieka związanego z Jaremą Wiśniowieckim, jak zresztą niemal wszyscy posłowie z województwa ruskiego.

- Czyli idzie do zgody?

Remer roześmiał się cicho.

- Jeśli o coś idzie, to o władzę i złoto. Wkrótce będą wakować urzędy i starostwa po Kazanowskim czy Mikołaju Daniłowiczu. Każdy z tych tam - wskazał spojrzeniem na senatorów - pragnie uszczknąć coś dla siebie z tego smakowitego dania. Już do komnat królewskich ustawiają się kolejki petentów. Ci mniej znaczeni przynoszą kosztowne podarunki czy obiecują udział w dochodach z przyznanych im dóbr. Moźniejsi zaś nie wahają się sięgać do intryg czy nawet gróźb, gdyby zlekceważono ich pretensje.

Hirsz milczał, niepewny intencji kapitana. Ponownie spojrział przez kratę. Zebranie senatu miało się ku końcowi. Król, żegnany przez senatorów, opuścił izbę wyjściem obok zapiecka tronu.

- I na nas już czas, poruczniku - rzekł Remer.

Zaprowadził Joachima do osłoniętych kotarą drzwi i dalej wąskim korytarzem do części administracyjno--skarbowej budynku.

Wśród mijanych na korytarzach urzędników i dworzan ciężko było wypatrzeć kontusz

czy żupan, niemal wszyscy nosili się z cudzoziemska. Wazowie nie lubili polskich strojów na dworze. Za poprzednich dwóch monarchów prym wiodła moda niemiecka, teraz jednak pod wpływem królowej wszyscy przerzucili się na francuskie koronki.

Przedarłszy się przez tłum petentów wyczekujących pod drzwiami sądu grodzkiego, znaleźli się w głównej sieni i przez klatkę schodową dotarli do apartamentów królewskich.

Jan Gembicki prócz pełnienia funkcji duchownych i obowiązków sekretarza koronnego był przede wszystkim marszałkiem dworu królowej i zaufanym człowiekiem władczyni. Wspierał ją w pierwszych trudnych miesiącach małżeństwa z Władysławem Wazą. Potem, po śmierci króla, odegrał dużą rolę w elekcji Jana Kazimierza na tron i późniejszym uzyskaniu od sejmu i senatu zgody na ślub nowego monarchy z wdową po bracie.

Maria Ludwika nie zwykła zapominać podobnych przysług i Hirsz wróżył, że jego wielmożność wkrótce otrzyma za swe starania jakieś tłuste biskupstwo.

Remer wprowadził porucznika w krótki korytarz i zatrzymał się przed wejściem do komnaty.

Zapukał, odczekał chwilę i otworzył podwójne drzwi.

Hirsz zerknął do środka.

Sekretarz stał wpatrzony w wielkie balkonowe okno. Tym razem miał na sobie suknię duchowną.

- Wejdz, poruczniku, a tobie, kapitanie, dziękuję. Gwardzista stuknął obcasami i zamknął podwoje. Hirsz rozejrzał się po gabinecie. Przy wszystkich ścianach stały regały z książkami. Większość po łacinie, choć dostrzegł również tytuły po włosku, francusku i niemiecku.

Sekretarz zmierzył Joachima poważnym spojrzeniem.

- I jak tam nasze sprawy, poruczniku?

- Dobrze, wasza wielmożność, tak jak stoi w raportach.

Usta Jana Gembickiego rozciągnął nikły uśmiech.

- A, tak, czytałem. Zajmująca lektura i bardzo szczegółowa. Czasem myślę, że zaraz poznam, z czego Łomża ma zrobiony nocnik.

- Jeśli wasza wielmożność ma takie życzenie? Gembicki zbył sarkazm milczeniem.

Ciemne oczy wpiły się w porucznika.

- A jak tam najnowsze postępy pani Tarskiej?

Hirsz z trudem zachował kamienne oblicze. Myśl, że

Katarzyna zasypia w ramionach Łomży, dokuczala mu dotkliwiej, niż sam chciał to przed sobą przyznać.

- Wiemy, że Radziejowski pisze listy do Chmielnickiego i Rakoczego. Myślę, że jestem w stanie dostarczyć dowód jego zdrady.

- Taka korespondencja musi być zaszyfrowana -stwierdził Gembicki. - Nawet jeśli ją przechwycimy, nic nam to nie da.

- Katarzyna podejrzewa, gdzie Łomża trzyma księgę, wedle której odczytuje i zapisuje szyfr.

Sekretarz zmarszczył czoło, jakby rozważał tę myśl.

- Doskonale, poruczniku, to może nam się przydać. Dziś jednak wezwałem cię w innej sprawie. Radziejowski mimo swych ambicji to wciąż jeno wyrośnięta płoć. Nas interesuje gruba zwierzyna.

„Taka, która może wypruć flaki myśliwemu”.

Tę myśl Hirsz zachował dla siebie.

- Zatem bierzemy się za posła siedmiogrodzkiego -odgadł.

Gembicki potwierdził ruchem głowy.

- Wspomniałeś, poruczniku, w raporcie, że będziesz potrzebował kilku ludzi.
- Moich za bardzo już znają na mieście.
- Raczej we wszystkich gospodach i burdelach -stwierdził cierpkim tonem jego

wielmożność.

Hirsz nic nie rzekł, bo też i zaprzeczanie oczywistym faktom nie miało sensu.

- Dostaniesz kilku ludzi od kapitana Remera - podjął sekretarz po krótkim zastanowieniu. - Nie musisz wtajemniczać go w sprawę. Kapitan otrzyma stosowne rozkazy.

Jan Gembicki otworzył usta, chcąc jeszcze coś rzec, lecz zamilkł na dźwięk poruszenia klamki. Drzwi otworzyły się na oścież i do gabinetu wkroczyła Maria Ludwika. Królowa miała na sobie atlasową suknię, na którą opadały długie kasztanowe włosy upięte finezyjnie wedle francuskiej mody. Choć dobiegała czterdziestki, wciąż mogła wzbudzić zainteresowanie mężczyzn.

- Wasza Wysokość. - Gembicki pochylił głowę.

Hirsz, gdy minęło pierwsze zaskoczenie, złożył ukłon wyuczony podczas pobytu we Francji.

Maria Ludwika spojrzała na Joachima. W wyrazistych brązowych oczach błysnęła wesołość.

- Wam, Polakom, zupełnie to nie wychodzi - orzekła głębokim, stanowczym głosem.

Hirsz poczuł, że się czerwieni.

- Czy to ten obiecujący oficer, o którym wspominałeś? - zapytała Gembickiego.
- Tak, pani.
- Pan sekretarz bardzo cię wychwala, kawalerze.

Hirsz zerknął z ukosa na przełożonego, jednak oblicze jego wielmożności pozostało nieprzeniknione.

- To dla mnie zaszczyt, najjaśniejsza pani.

Królowa skinęła głową, jakby to zapewnienie było czymś oczywistym.

- Potrzebujemy takich ludzi jak ty, poruczniku. Potrafimy również odpowiednio nagradzać wierność i oddanie naszej sprawie.

- Jestem zawsze do usług Waszej Królewskiej Mości - odparł szczerze.

Francuzka uśmiechnęła się lekko i na znak, że ich krótka rozmowa właśnie dobiegła końca, podała mu dłoń do ucałowania. Porucznik złożył należyty hołd i opuścił gabinet.

Kapitan czekał na niego trzy kroki od drzwi.

- Sekretarz zapewnił mnie, że dasz mi ludzi, panie Remer - oznajmił Joachim.

Gwardzista obdarzył go przeciągłym spojrzeniem.

- Robota ryzykowna? - zapytał czujnie.

Hirsz nie musiał się tłumaczyć, lecz uznał, że dobrze będzie wprowadzić kapitana w szczegóły. Ostatecznie to jego żołnierze będą narażali zdrowie i życie.

- Dość, dlatego potrzebuję ludzi pewnych, obeznanych z naszym rzemiosłem.

Remer skinął głową.

- Dostaniesz mego najlepszego sierżanta i pięciu weteranów.
- Doskonale, omówmy zatem całą rzecz przy kielichu - zaproponował Hirsz.
- Chętnie, panie Hirsz, gdzie waść proponujesz się udać?

Joachim uśmiechnął się.

- Znam tu w okolicy interesującą madziarską winiarnię.

Rozdział VI

Pan Gedyszyński odczekał, aż poseł wraz z przybocznymi zniknie w drzwiach winiarni, po czym objął wzrokiem opartą o ścianę kurewkę. Dziewka z miejsca wyczuła okazję do zarobienia paru groszy. Rozsunęła poły płaszcza, odsłaniając nader zgrabną figurę. Tak na oko nie miała jeszcze piętnastu wiosen, choć Stwórca nader hojnie obdarzył ją kobiecymi walorami. Dwa z nich unosiły się ku rotmistrzowi spod gorsecika sukni. Zerknął na wejście do winiarni i ponownie na wypinające się ku niemu śmiało diablątka. Widok ów przełamał wszelkie opory. Ostatecznie Madziar znakomicie radzi sobie bez niego.



Rotmistrz uniósł wzrok na oblicze podlotka. Młód-ka zaiste była urodna. Zielone oczy okryte długimi rzęsami, drobny, kształtny nosek i wydatne, stworzone do pieśczoży usta. Wszystko to otulone burzą gęstych kasztanowych włosów.

- Ile? - zapytał chrapliwie.
- Trzy złote.

Westchnął. Za połowę żądanej ceny można było mieć dziwkę we Lwowie, a dwie w Czerkasach. Jednak krew nie woda, on zaś ostatni raz używał swej włóczni jeszcze w obozie pod Zbarażem, choć pułkowe markietanki nijak nie mogły równać się z tą tutaj.

- Więc jak będzie, panie, idziemy czy nie idziemy, bo cycki mi ziębną? - głos dziewczki był melodyjny i przyjemny dla ucha.

„Co zrobić, stolica. Tanio być nie może”, pomyślał filozoficznie imć Gedyszyński i skinął głową, że się zgadza. Sięgnął do trzosa. Wymacał palcami kilka monet, następnie zapłacił dziewczce, która schowała zarobek do wewnętrznej kieszeni delii i zapięła poły sięgającego kostek okrycia.

- Chodź, panie, za mną, niedaleko mam ciepłą izbę i wygodne łóżko.

Rotmistrz nie protestował. Ruszył w ślad za trzykroć młodszą odeń kurewką, nie odrywając wzroku od kołyszącego się w rytm kroków tyłeczka. Szli chwilę wzdłuż zachodniej pierzei Krakowskiego Przedmieścia, mijając przechodniów z pochodniami i lampami. Po siedemdziesięciu krokach dziewczka skręciła w jeden z wielu odchodzących do Koziej zaułków.

Gedyszyński poczuł niepokój na widok wąskiego przejścia. Przystanął i odruchowo położył dłoń na rogowym uchwycie szabli.

Dziewczyna natychmiast dostrzegła wahanie klienta.

- Bez obawy, panie, ja uczciwa - zapewniła z prostotą plebejuszki, a dla pokreślenia swej uczciwości ponownie uchyliła delię.

Rotmistrz zerknął na prezentowane mu łakocie i znów łypnął na mroczny zaułek. Rozum podpowiadał mu, że powinien zrezygnować z wizyty u kurewki lub załatwić całą rzecz na dworze. Jednak miał już swoje lata i perspektywa podrygiwania gołą dupą na zimnie była nadto odstręczająca.

- Daleko to?

- Zaraz tu. Będzie ze dwadzieścia kroków - zapewniła, podchodząc bliżej. Bardzo blisko po prawdzie. Jej dłoń wsunęła się niczym wąż pod futro i ferezję, chwyciła od spodu rodowe klejnoty. Szczupłe palce zacisnęły się na ciężkich, wypełnionych przez miesiące postu sakiewkach.

Szlachcic sapnął ciężko i pochylił się, by ucałować usta młódki. Dziewka roześmiała się dźwięcznie, zgrabnie wymknęła z niedźwiedziego uścisku, a potem zniknęła w przejściu.

Pan Gedyszyński podążył za kusicielką świadom, że jego rozum chwilowo opuścił głowę, przenosząc się w niższe rejony ciała. Tak jak się obawiał, obiecane dwadzieścia kroków wydłużyło się o drugie tyle. Niemniej izba, do której go zaprowadziła, wyglądała na schludną. Najważniejszy z mebli - łóżko z grubym siennikiem - stał pod ścianą. Na resztę skromnego wyposażenia składały się: byle jak sklecony stolik, zydel i niewielki piecyk.

Ocecił krytycznym okiem miejsce schadzki. Nie było źle.

Pańskim gestem przywołał do siebie młódkę, ściągnął z wątlých ramion wełniane okrycie i przymusił dłonią, by uklękała.



Tomasz Mroczek wlepił wzrok w dekolt pochylającej się nad nim czarnowłosej ślicznotki. Obfity biust poruszył się miękko, gdy niewiasta postawiła kubek z winem, po czym bez szczególnego pośpiechu wyprostowała plecy, obrzucając wachmistrza powłóczytym spojrzeniem. To był już trzeci kubek i znać dziewczka doszła do wniosku, że krew w nim dostatecznie gorąca.

- Może coś jeszcze, panie? - zapytała i wymownie zerknęła na piętę, gdzie mieściły się pokoje na godziny.

- Może później - skłamał z zalem, następnie wręczył dziewczce szóstaka i pokazał gestem dłoni, że nie czeka na wydanie reszty.

Po prawdzie nie narobiła się przy nim zbyt wiele, no ale przecież nie dla samego napitku człowiek chadza po gospodach. Czarnulka błysnęła uśmiechem, podziękowała i zawinęła się jak fryga. Mroczek odprowadził ją wzrokiem, póki zgrabny tyłeczek nie zniknął w tłumie gości. Ci zaś tego wieczoru zjawili się w winiarni Maty-jasa Połuby nader licznie. Obszerną salę wypełniał gwar rozmów, śmiechy podpitych mężczyzn i coraz rzucane grube słowa.

Duża liczba klientów utrudniała wachmistrzowi obserwację, ale też i ułatwiała przeprowadzenie planu, jaki umyślili wraz z porucznikiem. Mroczek rozejrzał się po raz wtóry, upewniając się, że odziani po cywilnemu gwardziści są na swoich miejscach. Chwalić Boga, żaden z weteranów nie wyglądał na spitego. Wachmistrz odszukał w tłumie ich sierżanta. Brodaty mężczyzna siedział ze znużoną miną, oparty o słup, ledwie kilka kroków od strażników posta. Mroczek musiał przyznać, że skurczybyk miał nerwy jak postronki.

Uspokojony omiół wzrokiem schody prowadzące na piętro. Poseł już od dwóch godzin zabawiał się z wielką dziewczką. Jego przybocznicy przez cały ten czas tkwili przy szynkwasiu, racząc się darmowym winem. Tym razem nie było z nimi oficera. Ta nagła zmiana w składzie eskorty niepokoiła wachmistrza, lecz było już za późno na zmianę planów.

Kątem oka wychwycił ruch na galeryjce.

Za drewnianą balustradą pojawił się Madziar w towarzystwie wyższej odeń o głowę Marty. Na twarzy kobiety malowało się nieudolnie skrywane zdenerwowanie.

Wachmistrz poczuł, jak serce zabiło mu szybciej w piersi. Zostawił nieruszone wino i wstał od ławy. Wraz z nim podniosło się zza sąsiednich stołów kilku odzianych w cywilne łachy gwardzistów. Również ich sierżant porzucił zajmowane miejsce.

W tym czasie Madziar poprawił pas u spodni i ruszył w dół. Gdy tylko pokonał najniższy stopień, brodaty sierżant trącił barkiem jednego z przybocznych. Ten szczechnął coś w odpowiedzi i nim zdążył mrugnąć, leżał już na deskach z rozbitym nosem. Drugi z żołnierzy Jaremy skoczył ku napastnikowi, lecz powalił go cios w potylicę zadany przez wysokiego rudzielca.

W sali rozpętała się bijatyka. W ruch poszły pięści, czoła, nogi i wszystko, co tylko stało na stołach. Mało kto patrzył, kogo leje w mordę.

Ochroniarze zareagowali natychmiast, z werwą łańcuchowych burków. Na nic to się zdało. Bójki wybuchły w kilku miejscach naraz, toteż rozróżba ogarnęła salę z szybkością ognia zaproszonego w składzie drewna.

Mroczek dzięki swemu wzrostowi dostrzegł, że Marta chwyta za ramię zdezorientowanego Madziara, wciąga go za szynkwasa, po czym wpycha w drzwi prowadzące na zaplecze.

Wszystko szło zgodnie z planem.

Wachmistrz zagryzł nerwowo dolną wargę. Objął szybkim spojrzeniem tumult. Rozróżba rozkręciła się aż miło. Wypatrzył jeszcze brodatego sierżanta, który właśnie wskoczył na stół i kopnął w twarz jednego z ochroniarzy, po czym obrócił się na pięcie i ruszył ku wyjściu.

Nim uszedł dziesięć kroków, wpadł nań barczysty szlachcic; ryknął i nie bacząc, kogo też ma zamiar okładać, uderzył z półobrotu trzymanym w łapie mosiężnym kuflem. Mroczek zareagował odruchowo, uchylił się, unikając o kciuk miażdżącego uderzenia, chwycił furiata za delię i dzielił go z czoła w twarz. Jednocześnie prawe kolano z siłą ubijaka spotkało się z krocem pechowca.

Wachmistrz przeskoczył nad wijącym się z bólu szlachcicem i w kilku susach dopadł drzwi, za którymi wiał zimny, wilgotny wiatr.

Objął wzrokiem ciemną, pustą uliczkę; żadnych pacholków miejskich, zbłąkanych żołnierzy czy innych przypadkowych świadków. I to go właśnie martwiło. Wszystko szło dobrze, aż za dobrze, a doświadczenie mówiło wachmistrzowi, że w każdym, najlepszym nawet planie zawsze coś pójdzie nie tak.



Pan Gedyszyński zakończył z głośnym, przeciągłym sapnięciem.

Dziewka również stęknęła, raz i drugi, lecz chyba bardziej z ulgi, że już po wszystkim, niżli z prawdziwej przyjemności.

Rotmistrz zsunął się z kurewki, stanął na prostych nogach i podciągnął spodnie. Wiążąc troczki, spoznał na młódkę i uśmiechnął się pod wąsem. Wciąż leżała z szeroko rozrzuconymi nogami, a jej drobne piersi i płaski brzuch unosiły się w rytm rwanego oddechu. W starym piecu diabeł grzeje, jak to mówią.

Dziewka złączyła uda z grymasem bólu malującym się na obliczu i zwlokła się z łóżka.

- Podobało się, panie? - zapytała, poprawiając stargane włosy.

Szlachcic otarł wierzchem dłoni pot z czoła.

- Bardzo - odparł chrapliwym głosem i dla podkreślenia prawdziwości swych słów z pańska klepnął w zgrabną dupeczkę.

Młódka zachichotała.

- Miodu, panie, dla wzmocnienia - zaproponowała, wskazując dzban.
- Dalibóg, nie odmówię.

Dziewka podeszła do stolika, nalała trunku do kubka, a potem wręczyła naczynie rotmistrzowi.

- Mocne, w sam raz dla takiego silnego mężczyzny -oznajmiła, kładąc otwartą dłoń na owłosionej, szerokiej piersi.

Pan Gedyszyński pokraśniał z zadowolenia, słysząc taką pochwałę.

Przyłożył kubek do ust, posmakował. Miód był mocny, jako zapewniała kurewka, lecz nader podły. Czuło się w nim spirytus i zioła. Rotmistrz był jednak zbyt spragniony po miłosnych zmaganiach, by zwracać uwagę na niedostatki napitku. Podczas gdy on gasił pragnienie, dziewczka stanęła bezwstydnie przy wąskim oknie i poczęła naciągać na siebie sukienkę. Otarł wąsy i po raz ostatni oparł wzrok na nagich jędrnych piersiach, aku-ratnie mieszczących się w jego wielkich dłoniach. Kiedy tylko osuszył naczynie, zaproponowała dolewkę. Podobnych propozycji pan Gedyszyński z zasady nie odrzucał, podziękował więc i wychylił trunek na raz. Otrząsnął się, bo nagle odbiło mu się, jakby nażarł się chwastów.

Kątem oka dostrzegł, że kurewka na przemian to rzuca w jego stronę splezione spojrzenie, to zerka w okno. Jakby na coś czekała.

Pan Gedyszyński spojrzał podejrzliwie; naraz cała ta gościnność wydała mu się nader podejrzana. Po dwóch kwartach marnego miodu szumiało mu we łbie, jakby wychylił co najmniej cały dzban dobrej gorzałki. Takie rzeczy się nie zdarzały! Toć przecież szczyił się tym, że potrafił wypić i trzy dzbany, nim zsunie się pod stół.

Kurewka zerknęła na szablę opartą o łóżko.

- Może jeszcze napitku? - zapytała drżącym głosem.
 - Starczy - mruknął. Zgarnął dwoma palcami miód z wnętrza kubka i przyłożył do nosa.
- Dziewka, nie czekając na wynik tych oględzin, rzuciła się do drzwi.

Pan Gedyszyński był na to przygotowany. Skoczył ku niej i ułapił za ramię. Próbowana się wyrwać, toteż zdzielił ją na odlew. Kształtna główka odskoczyła w tył, a z rozbitych ust wydobył się bolesny jęk. Szlachcic wziął zamach, by poprawić, lecz i bez tego osunęła się na podłogę.

Naraz drzwi otworzyły się, uderzając z trzaskiem o ścianę. Mężczyzna stojący w progu raczej nie wyglądał na domokrażcę. Wysoki i barczysty, w łapsku ścisnął imponujący rzeźnicki nóż. Za jego plecami czaił się ktoś jeszcze.

Nim oprych wpadł do izby, zerknął na klęczącą dziewczkę. Przez bandycką mordę przemknął grymas zaskoczenia.

Na kilka uderzeń serca spojrzenia obu mężczyzn opadły na szablę. Zbir ocknął się pierwszy, doskoczył do szlachcica i zaatakował z wprawą ulicznego nożownika. Pan Gedyszyński szarpnął swym okazałym ciałem w tył, unikając rzeźnickiego ostrza, które rozpruło ferezję i koszulę, trochę tylko nacinając skórę na piersi. Warknął wściekle i miał dopaść szabli, zacisnął pięść w kułak i uderzył, wykorzystując długość ramion. Zbir nie spodziewał się tak błyskawicznej reakcji. Twarda, sękata piącha trafiła go w usta, wybijając przednie zęby. Buchnęła krew i oprych padł jak ścięty. Wtenczas rotmistrz poprawił mu z obcasa.

Drugi z napastników zawahał się, jego spojrzenie przemknęło od dzbana z miodem przez rozciągniętego na klepisku kompana, by na ostatek zatrzymać się na szlachcicu.

Pan Gedyszyński nie czekał na efekt przemyśleń. Skoczył ku szabli, chwycił broń i wyciągnął ostrze z pochwy. Następnie ruszył na oprycha z impetem szarżującego odyńca.

Mężczyzna zerknął na swój nóż i błyskawicznie zrej-terował w kierunku rozwartych na

oścież drzwi.

Imć Gedyszyński ciął szablą, jakby machał cepem, i stalowe pióro połaskotało plecy bandyty. Ten krzyknął, po czym wystrzelił w mrok uliczki z impetem kuli armatniej. Rotmistrz, oniemiały na widok podobnego zrywu, zatrzymał się w progu. Czerwona mgła zasnuwająca rozum opadła równie szybko, jak się pojawiła, na jej miejsce powróciła wrodzona przezorność.

Zza pleców dobiegł go przeciągły jęk. Spojrzał przez bark na podnoszącego się z polepy mężczyznę. Szlachcic obrócił się, podszedł na pół kroku i bez zbędnych słów rozplątał czaszkę jednym silnym cięciem. Przez kilka oddechów wpatrywał się w dygoczące ciało, a potem rozejrzał po izbie w poszukiwaniu dziewczki.

Jednak żmijka również zniknęła.

Zaklął szpetnie. Odział się i bez zwłoki ruszył ku wyjściu. Będąc już na dworze, omiół czujnym spojrzeniem uliczkę, nigdzie jednak nie dostrzegł czających się w ciemnościach zbirów. Żwawym krokiem ruszył w kierunku Krakowskiego Przedmieścia, na którym pomimo późnej pory panował ożywiony ruch pieszych i pojazdów. Nim wkroczył na ulicę, schował szablę do pochwy. Przemknął przed kolumną wozów z sianem, podążających w stronę stajni królewskich, i ponownie zanurzył się w ciemne uliczki po wschodniej stronie traktu.

Odgłos tłuczonej szyby zaalarmował go, nim jeszcze dotarł do zaułka na tyłach winiarni. Zaraz potem z sąsiedniej uliczki doszedł go trzask otwieranych gwałtownie drzwi i cichy krzyk wystraszonej dziewczki.

Doskoczył pod ścianę, wychylił głowę za róg budynku akurat na czas, aby ujrzeć, że olbrzymi mężczyzna narzuca worek na głowę posłowi i częstuje go ciosem w potylicę. Rotmistrz w pierwszej chwili chciał chwycić szablę, lecz wstrzymał rękę w pół ruchu, czując, jak opuszcza go odwaga. Porywaczy było trzech i wyglądali mu na tęgich charakterników. Naraz szczerze pożałował, że tak gładko poszło mu z oprychami i nie odniósł podczas utarczki nijakiego uszczerbku. Mógłby wówczas wyłgać się z winy przed kniazem i towarzystwem.

A tak wstyd i sromota.

Zerknął ku skrzyżowaniu z nadzieją na pojawienie się strażników. Rzecz jasna, tych nigdy nie było tam, gdzie najbardziej potrzebni. Pozostało mu więc obserwować, jak wielkolud ładuje Madziara na wóz. Rozległ się trzask bata i pojazd oddalił się z turkotem ku Wiśle. Mężczyzna odziany w cudzoziemski strój rozejrzał się po zaułku, po czym ruszył do rogu, za którym krył się szlachcic.

Myśl o utracie dobrego imienia podziałała na pana Gedyszyńskiego niczym nóż wbity w trzewia. Teraz miał przed sobą tylko jednego człowieka. Przywarł plecami do wilgotnej ściany i dobył szabli, bacząc, aby nie zdradził go przy tym zgrzyt stali.

Zaułek na tyłach winiarni był typową warszawską boczną uliczką: wilgotną i cuchnącą odorem gnijących odpadków.

Hirsz wolał się nie zastanawiać, czy maź oblepiająca jego buty to zwykłe błoto, czy też przetrawiona zawartość czyichś kiszek.

Z obrzydzenia wyrwał go brzęk wybitej szyby.

- Zaczęło się - mruknął Maksym Birkut i wyjął zza pazuchy wymięty parciany worek.

Porucznik skinął głową, po czym spojrzał na południowy wylot zaułka, gdzie czekał chłopski wóz obładowany sianem. Na ławie woźnicy siedział Hańcza; w chłopskich łachach wyglądał jak jeden z tysięcy anonimowych wozaków na co dzień powożących w stolicy. Również sam wóz, jak i przewożony na nim ładunek nie mogły wzbudzić niczyjej podejrzliwości. Podczas trwania sejmu ulice Warszawy każdego dnia przemierzały bowiem setki podobnych pojazdów. Wszystkie wyładowane po brzegi suszoną paszą. Dziesiątki tysięcy wierzchowców i koni pociągowych należących do panów braci musiało przecież coś żreć, a

dziko rosnącej zieleniny brakło o tej porze roku. Powóz, choćby najbardziej skromny, zawsze zwraca uwagę. Kto zaś zapamięta chłopską furę ciągniętą przez wychudzoną szkapę?

Z tej przyczyny od lat stosowali ten fortel z niezmiennym powodzeniem.

Porucznik dał znak Maksymowi, by ten zajął pozycję przy tylnym wyjściu. Sam nasunął kapelusz na czoło i naciągnął na twarz czarną chustę.

Nie minęło wiele czasu, a drzwi rozwarły się z hukiem i ze środka wypadł Madziar, wypchnięty w uliczkę przez stojącą za nim Martę. Dziewka wydała z siebie całkiem udany okrzyk zaskoczenia i uciekła w głąb sieni. Poseł znieruchomiał na dwa oddechy, widząc zamaskowanego porucznika, co wystarczyło, aby Birkut zarzucił mu worek na łeb, a potem od niechcenia grzmotnął ofiarę w tył głowy.

Poseł kwiknął cicho, zwiotczał i znieruchomiał w wielkich ramionach.

Rozległ się trzask bata i turkot kół. Iwan podjechał, zatrzymał wóz przy drzwiach, wychylił się z kozła i podniósł okrytą sianem płachtę, odsłaniając drewnianą skrzynię. Birkut, nie siląc się na delikatność, wcisnął porwanego do skrytki. Hańcza opuścił płótno na dawne miejsce i poprawił siano.

Wszystko trwało nie więcej niż trzy zdrowaśki.

Gdy tylko Birkut wdrapał się na tył wozu, Iwan trzasnął z bata i szkapa pociągnęła furę w kierunku zjazdu nad Wisłę przy klasztorze Bernardynów.

Hirsz omiół spojrzeniem ciemny zaułek. Żadnych świadków, doskonale. Zdjął z twarzy chustę i odetchnął z ulgą.

Zgodnie z planem ruszył szybkim krokiem do Krakowskiego Przedmieścia, lecz ledwie minął róg budynku na końcu zaułka, zatrzymało go ostrze przytknięte do grdyki.

- Nie drgnij nawet, psubracie - przestrzegł porucznika twardy, mocny głos.

To ostrzeżenie było akurat zbędne.

Hirsz wykrzywił wściekle usta. Dał się zaskoczyć jak nowicjusz.

- Gadaj, dokąd go wzięliście?

Joachim uniósł głowę, czując nacisk zimnej, wilgotnej stali.

- Jestem szlachcicem, zarznieś mnie tak na ulicy?

- Odpowiadaj, kurwi synu, bo łeb obetneee... - ostatnie słowo stłumił trudny do pomylenia odgłos uderzenia w czaszkę.

Hirsz obrócił się i ujrzał Mrocza stojącego nad leżącym w błocie szlachcicem.

- Wiedziałem, do cholery, że coś pójdzie nie tak - mruknął pod nosem wachmistrz, nie odrywając wzroku od nieprzytomnego mężczyzny.

Ciemne oczy Mrocza wbiły się w twarz porucznika.

- Trzeba go dorznać - dorzucił bezbarwnym tonem.

Joachim zmarszczył czoło. Tomasz miał rację. Niemniej myśl o zabiciu nieprzytomnego człowieka wciąż wywoływała w nim sprzeciw. Szczęśliwie z dylematu wybawiło go pojawienie się w uliczce kilku szlachciców z pochodniami. Na widok dwóch mężczyzn stojących nad leżącym na ziemi człowiekiem grupka zatrzymała się niepewnie.

- Zostaw go - polecił porucznik i nie dając nieznajomym czasu na zebranie odwagi, uskoczył za róg budynku. Wachmistrz podążył w ślad za nim. Szybkim krokiem ruszyli w stronę Kolumny Zygmunta, tam skręcili w Podwale, by ominąć Starą Warszawę. Maszerując przy miejskiej fosie, dotarli do zawartego na noc barbakanu. Przekroczyli opustoszały o tej porze plac targowy i Mostową zeszli na nadwiślańskie Rybaki.

Birkut i Hańcza powinni dotrzeć na wyznaczone miejsce przed nimi.

Porucznik spojrział na księżyc. Noc była jeszcze młoda.

Nie wiedzieć czemu pomyślał o Katarzynie; gdyby tylko była tej nocy w domu. Szybko

odrzuć gorką myśl. Nie mógł sobie pozwolić na słabość. Jeśli uwiną się szybko z Madziarem, zdrzemnie się trochę przed poranną wizytą u jego wielmożności.

Dobre i to.

Pocieszony tą myślą przyspieszył kroku.



Gdzieś w mroku ujął pies.

Katarzyna odwróciła wzrok od okna, odgarnęła włosy wystudiowanym gestem i spojrzała na kochanka. Hieronim Radziejowski leżał rozparty pod baldachimem, tak jak go Bóg stworzył, zaspokojony i ospały po gwałtownej miłości. Spojrzenie starosty przesunęło się leniwie po ciele metresy, która obdarzyła go pięknym uśmiechem.

Łomża posłał jej całusa, podniósł muskularne ciało z poduszek, schylił się ze stęknieniem i wyciągnął spod łoża złoty nocnik. Katarzyna odwróciła wzrok. Podeszła do stolika i sięgnęła po kielich z winem. Słodki trunek splukał z jej ust słony smak. Dudnienie ustało, usłyszała westchnienie ulgi.

Łomża zbliżył się do niej i stanął za plecami, przywarł łędźwiami do pośladków. Szerokie męskie dłonie objęły sterczące dumnie piersi.

- Jak ci było?

- Wspaniale, jak zwykle - odparła zgodnie z prawdą.

Radziejowskiemu przeważnie nie musiała kłamać, kiedy robił to na trzeźwo, był dobrym, choć nieco egoistycznym kochankiem. Cóż, płacisz, to wymagasz. Odchyliła głowę i pocałowała go w usta. Męska dłoń zsunęła się w dół płaskiego brzucha, sięgając ku wilgotnym kręconym włosom. Dalszą pieczętę przerwało natarczywe pukanie do drzwi.

Starosta zmarszczył czoło.

- Okryj się - polecił poirytowanym tonem.

Katarzyna posłusznie podniosła leżącą na kobiercu koszulę z muślinu i zakryła nagość. Radziejowski narzucił na siebie szlafrok, nim podszedł do drzwi. Uchylił je lekko, wyjrzał na korytarz i dopiero wówczas otworzył szerzej.

W progu stanął niski, chudy szlachcic o obwisłych wąsikach. Chytre, czujne oczy omiotły alkowę. Spojrzenie wąsacza zatrzymało się na kobiecie, oświetlonej przez blask ognia płonącego w kominku.

Katarzyna wiedziała, że w jasnym świetle musi widzieć szczegóły jej ciała. Mimo to nie zmieniła pozycji, udając, że nie dostrzega pożądliwego błysku w oczach mężczyzny.

- Co tam ważnego? - warknął Radziejowski.

Szlachcic oderwał wzrok od jej cycków i spojrzał na starostę.

- Przybyli, wasza miłość - oznajmił cicho. - Umieściłem ich tam gdzie zwykle.

- Dobrze, panie Kobyłański, bardzo dobrze. Listy mają?

Konus nie odpowiedział. Miast tego rzucił wymowne spojrzenie w kierunku metresy.

- Ach tak - mruknął Radziejowski. - Zaraz przyjdę.

Kobyłański skinął głową. Rzucił ostatnie spojrzenie na podbrzusze Katarzyny i zamknął za sobą drzwi.

Tarska podniosła kielich do warg, zastanawiając się, kto też po nocy odwiedza w tajemnicy Łomżę. Starosta sprawiał wrażenie podekscytowanego. Podszedł do stolika i zaczerpnął kilka łyków wina wprost z karafki. Otarł usta wierzchem dłoni.

- To nie zajmie mi wiele czasu - oznajmił.

- Wygrzeję ci pościel - zażartowała.

Starosta nawet się nie uśmiechnął, widać był już myślami przy czekającej go rozmowie,

złożył tylko na jej ustach szorstki pocałunek, po czym opuścił alkowę.

Katarzyna odczekała, aż odgłos kroków ucichnie. Jako że nie wiedziała, ile ma czasu, postanowiła nie zwlekać, podeszła do kufierka, jak zwykle stojącego na komodzie, otworzyła schowek i wyjęła klucz.

Po chwili zastanowienia zdjęła z kandelabru jedną ze świec. Podkraśla się do drzwi, nacisnęła klamkę i wyjrzała na sień: była ciemna i pusta. Tarska zamknęła za sobą wejście do alkowy, bez szmeru niczym zjawą przemknęła przez sień i wpadła w korytarzyk zakończony solidnymi drzwiami. Uklękła i trzymając świecę w lewej dłoni, zaczęła manipulować przy zamku.

Mechanizm szczęknął cichutko.

Podniosła się z kolan, a potem nacisnęła klamkę - drzwi ustąpiły bezgłośnie. Wsunęła się do gabinetu, bacząc, aby nie potknąć się o próg.

Płomień świecy nie dawał wiele światła; musiała polegać na szczegółach, które zapamiętała z poprzedniej wizyty w gabinecie Łomży. Podeszła do masywnego sekretarza stojącego pod oknem. W pierwszej kolejności przeszukała blat biurka i szybko odkryła cienką, oprawioną w skórę książeczkę leżącą pod stertą sprawozdań od dzierżawców. Otworzyła. Pospiesznie przejrzała kilkanaście stron napisanych łaciną. W niektórych miejscach pozaznaczano zdania, słowa czy pojedyncze litery.

Odłożyła znalezisko na blat i zajrzała do szuflad. W drugiej od góry odkryła kilkanaście listów, w większości opatrzonych pieczęciami opozycyjnych dostojników. Na dwóch pismach, tych, których nie widziała tu poprzednim razem, widniały pieczęcie kancelarii generalnej Chmielnickiego oraz księcia Rakoczego.

Katarzyna otworzyła jeden z nich. Zmrużyła oczy. Przesunęła wzrokiem po rzędach łacińskich liter, te zaś zdawały się pisane ręką szaleńca. Poszczególne zdania czy słowa nijak nie łączyły się w sensowną całość.

Przy bardzo wielu literach dopisano cyferki, bez wątpienia ręką starosty łomżyńskiego. Porównała cyfry na listach ze stronami w księdze. Uświadomiwszy sobie, co właśnie odkryła, zaczerpnęła głęboki oddech, by uspokoić bijące gwałtownie serce.

Złożyła list i wsunęła na dawne miejsce. To samo uczyniła z księgą szyfrów.

Upewniła się ostatni raz, że nie zostawiła śladów, a potem skierowała się do drzwi. Zachowując ciszę, wyszła na korytarzyk i przekręciła klucz w zamku.

Otarła dłonią pot spływający między piersiami. Wzięła głęboki oddech i ostrożnie wyjrzała za róg. Upewniwszy się, że droga wolna, spieszenie ruszyła ku alkowie.

Po kilku krokach zatrzymało ją szczęknięcie poruszonej klamki.

Katarzyna wiedziała, że nie zdoła się skryć. Maskując niepokój, obróciła twarz ku drzwiom jadalni. Przez lukę w podwojach wyjrzał podgolony, wąsaty łeb. Zaufany pana starosty zmrużył oczy, pchnął drzwi i przekroczył próg.

- Co pani tu robisz? - zapytał podejrzliwie.

Przywołała na twarz całą wzdargę, jaką miała dla tego człowieka.

- To nie twoja rzecz, panie Kobylański - odparła cierpko.

Szlachcic wykrzywił usta.

- A to się jeszcze okaże, mościa pani.

Tarska prychnęła. Zrobiła krok w kierunku alkowy, lecz szlachcic zastąpił jej drogę i chwycił za rękę. Uwolniła się z jego uścisku gwałtownym szarpnięciem.

- Łapy przy sobie - syknęła przez zaciśnięte zęby.

Dalszą utarczkę przerwało pojawienie się w drzwiach

Radziejowskiego.

- Co się tu dzieje, panie Kobylański? - zapytał surowym głosem.
 - Przyłapałem ją na korytarzu, tu pod drzwiami, wasza miłość.
- Łomża zmierzył kochankę podejrzliwym spojrzeniem.
- Czemu nie jesteś w alkowie?

Tym razem nie mogła zignorować pytania. Przemknęła spojrzeniem po sieni, rozpaczliwie poszukując odpowiedzi. Jej wzrok zatrzymał się na wąskich drzwiczkach na końcu korytarza.

- Byłam za potrzebą, czy muszę się tłumaczyć z takich rzeczy? - odparła, udając zażenowanie.

Radziejowski zmrużył oczy.

- Nocnik był.
- Nie lubię używać po kimś - odparła cierpko.
- Jak na ładacznicę masz iście królewskie maniery - rzekł z sarkazmem.
- Dlatego tyle cię kosztuję.

W oczach Łomży błysnęła wesołość, roześmiał się w głos.

- To szczerą prawdą - stwierdził rozbawionym tonem.

Podszedł i objął ramieniem talię metresy.

- Wybacz mi. Polityka nadwyręza mi nerwy.

Katarzyna kątem oka dostrzegła dwóch mężczyzn siedzących przy stole w jadalni.

Jednak nie odważyła się przyjrzeć im bliżej.

Radziejowski spróbował złożyć pocałunek na jej wargach, lecz odkręciła głowę, a potem oswobodziła się z jego uścisków.

- Idę do łóżka. Jeśli zasnę, nie budź mnie - oznajmiła naburmuszonym tonem.

Gdy zamknęła za sobą drzwi alkowy, uświadomiła sobie, że przez cały ten czas ścisnęła klucz w dłoni. Podbiegła do kufierka i ukryła go w skrytce.

Dopiero wówczas poczuła się bezpieczna.



Hieronim Radziejowski przez kilka chwil wpatrywał się w drzwi, za którymi zniknęła kochanka. Czoło magnata przecięła pionowa zmarszczka, znak, że pan starosta głęboko nad czymś się zastanawia.

- Panie Kobylański - rzekł cichym głosem.
- Tak, wasza miłość.
- Myślisz, że wszystko widziała?
- Nie może być inaczej. Księga leżała niemal na wierzchu, a listy w otwartej szufladzie.

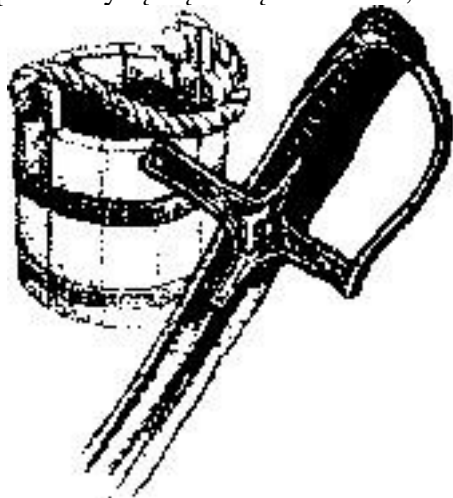
Tak jak wasza miłość kazał.

Radziejowski uśmiechnął się. Wszystko szło zgodnie z planem. Jutro, najpóźniej pojutrze, król i królowa dowiedzą się o jego kontaktach. W takiej Francji, Austrii czy Hiszpanii bez zwłoki skazano by go za zdradę na szafot czy banicję. W Rzeczypospolitej sprawy miały się inaczej. Tu monarcha był pierwszym między równymi, nie rządził mieczem, lecz przekupstwem. Im bardziej dwór będzie przekonany, że on, Hieronim Radziejowski, jest jednym z wielkich graczy, tym większą gotów będzie zapłacić cenę za jego poparcie. A cena, jakiej zażąda, będzie iście królewska.

Starosta łomżyński, a wkrótce też jeden z najbogatszych panów w Koronie, powrócił do jadalni. Miał jeszcze dużo do omówienia, a wysłannicy Chmielnickiego musieli wymknąć się z Warszawy przed świtem.

Rozdział VII

Bicie wielkiego dzwonu na wieży Kolegiaty warszawskiej opadało ku zatłoczonym ulicom głębokim huczącym pogłosem. Odbijało się od ścian wysokich kamienic, wpadało w prześwity łączące wąskie zaułki, na koniec wsączając się w pokrywający bruk dywan błota.



Mikołaj Grycz zgarbił barczyste plecy, jakby ów grzmot przygniótł go do ziemi. Wyciągnął trzymaną w dłoni miseczkę, czekając, aż w podwojach Kolegiaty pojawią się pierwsi wychodzący z mszy wierni, z ich poruszonymi przez kazanie sumieniami i sakiewkami wciąż niezasnuowanymi po przejściu ministrantów.

Jako i rzeczywiście, nim przebrzmiał ostatni głęboki ton, na ulicę Świętojańską wytoczył się tłum pobożnych ludzi. Zagrzecotały licznie wrzucane do żebraczej miseczki półgrosze, grosze, a nawet dwa czy trzy trojaki.

Kąciki ust żebraka drgnęły nieznacznie.

„Osiem, dziewięć, dziesięć”.

To był naprawdę dobry ranek.

Gdy myślał, że to już wszyscy, w drzwiach kruchty pojawił się odziany w czerń człowiek. Długa opończa z narzuconym na głowę kapturem zasłaniała oblicze tak, że ciężko było poznać, kto zacz: kobieta to czy mężczyzna. Gdy tylko tajemnicza postać wyszła na placyk przed kruchtą, z wież kościelnych i okolicznych dachów poderwały się stada gołębi. Setki uderzających w panice skrzydeł oderwało uwagę Grycza od możliwego zarobku.

Zerknął w górę z nadzieją, że ujrzy szybującego nad dachami sokoła, jednak niebo było szare i puste. Widać królewski drapieжник przemknął pod nisko zawieszonymi chmurami w poszukiwaniu mniej lichej zdobyczy, a tej nie brakowało w warszawskich ogrodach i podwórcach, gdzie domowe ptactwo hodowano powszechnie.

Wcisnął głowę między ramiona i zagrzecotał znacząco drobnicą w kubku, ale postać w czerni minęła go obojętnie. Nagle, diabli wiedzieć czemu, w żołądku żebraka zacisnęła się zimna pięść lęku.

Grycz nie miał czasu zastanawiać się nad tym nowym uczuciem, gdyż z kruchty wyszła zapłakana, odziana w żalobę niewiasta. Podobnej okazji nie mógł przepuścić. Długoletnie doświadczenie w fachu żebraczym nauczyło go kilku prawd o ludziach. Jedna z nich mówiła, że ci, których dotknęło nieszczęście, zwykle bywają bardziej czuli na krzywdę bliźnich niżli ci sycący się słodkim mlekiem fortuny.

- Grosik dla weterana - wyszeptał przymilnym głosem, pobrząkując znacząco drobniakami.

Kobieta spojrzała na pusty, wiszący w powietrzu rękaw kaftana, zatrzymała się i wysuwała z kieszeni drobną monetę. Miedź opadła z rozczarującym brzękiem na dno miseczki.

„Tylko tyle, skąpa tłusta krowo?!”

Oburzenie zagrzmiało w nim niczym trąby jerychońskie.

- Bóg zapłać, dobra niewiasto - wysilił się, by jego głos wypełniła wdzięczna pokora. Ostatecznie był fachowcem!

Korpulentna matrona skinęła łaskawie głową, wyraźnie zachwycona swą hojnością.

Grycz, kryjąc wzdargę, obrócił głowę w drugą stronę. Kątem oka zauważył, że tajemniczy człowiek w czerni stoi w drzwiach kamienicy Widawskich i rozmawia z wysokim, siwym służącym. Po krótkiej wymianie zdań zakapturzony wszedł do wnętrza, bezceremonialnie wciągając za sobą odźwiernego, i zatrzasnął drzwi.

Grycz obrócił głowę i spojrzał bez zbytej nadziei na opustoszałe wyjście z Kolegiaty. Do następnej mszy pozostało nieco czasu.

Poruszył palcami u stóp, odkrywając, że całkiem zdrętwiały z zimna. Spojrzał na monety w żebraczej miseczce, wprawne oko szybko porachowało zarobek.

- Całkiem, całkiem nieźle - zamruczał pod nosem. Nawet po odjęciu doli dla herszta sporo zostawało, dość, by starczyło na dzban cienkiego wina i tanią dziwkę.

Podniósł się z owiniętych szmatami kolan i jęknął boleśnie, gdy wyprostował grzbiet; rana zadana przez szablę szlachcica nie goiła się dobrze.

„Kurwysin, jak na tak zwalistą posturę, był cholernie szybki”.

Mikołaj Grycz na myśl o tamtej wpadce poczuł gorzki smak w ustach. To wszystko przez tę małą kurwę. Od razu mu się nie podobała. Z oczu źle patrzyło przecherze, jakoś za chytrze. Miała tylko przyprowadzić gościa, rozłożyć nogi i zadbać, żeby ten wypił kubek nasennego miodu, a ta co? Nie dość, że zawałiła robotę, to jeszcze zgaga uciekła.

Zebrał ślinę pod językiem i splunął na bruk. On sam był przeciwny, by przygarniać przybłądę, ale ruda Mańka, co ją zwykle brali na robotę, dostała parchów od jakiegoś łążęgi, co ją wychędożył w porcie rzeczonym. Nowa dziewczka zaś była młoda i urodna. Czarny mówił, że to dar z nieba, że teraz zarobią trzy razy tyle co zwykle. Stary dureń. Tak się właśnie kończy, gdy człowiek zaczyna myśleć nie tym łbem.

Grycz zacisnął sękatą pięść. Gdybyż tylko mógł dostać małpę w swe ręce.

Krzywiąc się przy każdym kroku, ruszył w stronę Pivnej. Na odchodne, tknięty ciekawością, spojrzał na piętro kamienicy, do której weszła postać w czerni. W jednym z dużych okien poruszyły się kotary, ktoś tam był i być może przypatrywał mu się z góry. Myśl ta przeraziła go w jakiś nieuchwytny, podskórny sposób. Zgiął się, zerknął niespokojnie na boki i jak tylko potrafił najszybciej ruszył ku wylotowi ulicy, żegnany panicznym trzepotem gołębih skrzydeł.

W refektarzu wciąż pachniało świeżym drewnem, żywicą i sosnowymi igłami. Cieśle ukończyli to pomieszczenie już wczesną jesienią, lecz brat Mieczysław przypuszczał, iż zapach lasu będzie wyczuwalny jeszcze wiele miesięcy, nim stłumi go ludzki pot czy zapach spożywanych co dzień potraw.

Rytel wciągnął powietrze w nozdrza. Jemu, chłopskiemu synowi, woń ta kojarzyła się z dzieciństwem i rodzinną wsią.

Urodził się jako poddany w dobrach biskupów wrocławskich. Rodzice prowadzili proste, oparte na pracy życie. Ojciec wynajmował się do prac w folwarku, a matka zajmowała się domem i dziećmi. Tymi zaś Bóg obdarzył ich szczerze. Czasem, gdy głód zaglądał rodzinie w oczy, ojciec wychodził po zmroku i wracał przed świtem. Z czasem mały Mieczysław

zorientował się, że owe nocne wyprawy mają jakiś związek z pojawiającymi się na ich stole rybami i dziczyzną. W domu nigdy na ten temat nie mówiono, aż do dnia, gdy ludzie burgrabiego pojмали ojca i najstarszego brata i powieźli do miasteczka. Dwie niedziele później obwieszono ich na rynku za kłusownictwo. Potem dowiedział się, że ojca i brata wydał wójt, by przypodobać się nowemu burgrabi.

„Wina i kara”.

Nastąpił czas głodu i upodlenia dla całej rodziny. Starsze dzieci pracowały u gospodarzy za miskę strawy, a matka podejmowała się najgorszych prac, by wy-karmić maluchy. On ze swoją szpotawą stopą i słabym zdrowiem był tylko obciążeniem dla rodziny, o czym nie dawało mu zapomnieć starsze rodzeństwo, tylko matka kochała go wciąż równie mocno jak dawniej. Na jesieni przygarnął ją do roboty młynarz. Często wracała do domu pobita, w podartym ubraniu i tak brutalne traktowanie oraz praca ponad siły zabiły ją rok później. Od tego czasu życie Mieczysława zmieniło się w koszmar; bity przez braci i siostry, spał z psami, wciąż głodny i posiniaczony. Dla kalek i darmożjadów nie ma litości na tym świecie. Tylko cudem przeżył zimę, a na przednówku do wsi zawitała zaraza.

Burgrabia kazał swym żołnierzom odciąć osadę od świata. Po kilku straszliwych tygodniach, podczas których śmierć zabrała trzecią część mieszkańców - z jego rodzeństwa przeżyło dwóch najstarszych braci i jedna siostra, dowód, że zło pleni się na tym świecie z odpornością polnego chwastu - we wsi zjawił się dziwny ksiądz z Wrocławia. Towarzyszyło mu kilku zbrojnych.

Trzy dni potem zapłonęły pierwsze stopy. Pierwsza zginęła w oczyszczających płomieniach stara znachorka, którą oskarżono o wywołanie pomoru. Podczas przesłuchania wydała dwie współniczki, te zaś - pozostałe sługi szatana: kobiety i mężczyzn.

W pewien zimny marcowy poranek również i Mieczysława doprowadzono przed oblicze inkwizytora. Mimo upływu lat pamiętał ten dzień równie wyraziście, jakby to było wczoraj. Starszy, szczupły, odziany w czerń mężczyzna siedział za wysoką ławą, przy której zwykle wójt sprawował sąd, a za jego plecami stało dwóch barczystych zbrojnych. Obok na mniejszym stoliku wyłożono groźnie wyglądające, pokryte rdzawymi plamami narzędzia. Choć nie wiedział, czemu służą, instynktownie czuł, że na ich widok powinien się bać. Kapłan zatrzymał dłużej wzrok na jego chromej nodze, a następnie podniósł oczy. Lewy kącik wąskich warg uniosł się w tajemniczym uśmiechu.

Mieczysław Rytel do dziś święcie wierzył, że tamtego dnia jezuita w jakiś sposób zajrzał w jego duszę.

- Jak cię wołają, chłopcze? - zapytał cichym, mocnym głosem.
- Mieczysław, panie - odparł szeptem.

Kapłan sięgnął po leżący przed nim papier i przez chwilę jego oczy poruszały się to w jedną, to w drugą stronę.

- Oskarżono cię o zadawanie się z diabłem i sprowadzenie zarazy na osadę - stwierdził surowym tonem i spojrzał nań znad krawędzi kartki. - Przyznajesz się?

- Nie panie, ja...

Nagle olśniła go niespodziewana myśl.

- ...wiem za to, kto zadawał się z owym diabłem, co
- 0 nim prawie, panie - wyrzucił z siebie, nim strach odebrał mu śmiałość.

Jedna z krzaczastych brwi uniosła się.

- Przysięgniesz na Biblię?
- Przysięgnę.

Tamtego dnia po raz pierwszy w życiu trzymał w dłoni gęsie pióro, gdy stawiał krzyżyk

pod zeznaniami obciążającymi rodzeństwo, wójta, młynarza i dwie dziesiątki innych osób.

„Wina i kara”.

By odegnąć wspomnienia, spojrzął na siostry posilające się przy ławach, a potem omiół wzrokiem refektarz. Duże prostokątne okna wychodzące na krużganek

1 ogród wpuszczały do wnętrza zimne późnojesienne słońce. Przez środek pomieszczenia biegło szerokie przejście, łączące dwuskrzydłowe drzwi wejściowe z podwyższeniem, na którym siedział. Nad głową spowiednika wisiało niskie łukowe sklepienie, a za plecami znajdowały się drzwi prowadzące do klauzury.

Matka wielebna zajmowała krzesło po lewej stronie jezuitę. Jak zwykle siedziała wyprostowana, ledwie dotykając plecami wysokiego oparcia. Z surowego oblicza nie sposób było cokolwiek wyczytać. Rytel bezwiednie zerknął na trzecie, puste krzesło przy stole, zazwyczaj zajmowane przez siostrę Matyldę. Przyłapał się na tym, że brakuje mu rubasznego, plebejskiego humoru, jakim gruba zakonnica wręcz tryskała. Odkąd ją zamordowano, atmosfera przy stole stała się nader ponura.

Zerknął na siostrę Joannę; zdawała się nie dostrzegać posilającego się wraz z nią spowiednika. Siedziała zastygła niczym kamienny posąg, wpatrując się w siostry pochylone nad miskami ze strawą, od czasu do czasu przerywając obserwację, aby unieść do ust puchar z winem.

Przy stole usługiwała im czujna jak ptak nowicjuszką. Dziewczyna nie mogła mieć więcej niż czternaście lat. W dość przeciętnej twarzy wyróżniały się łagodne czarne oczy obramowane długimi rzęsami. Dostrzegłszy, że kielich przeoryszy jest pusty, podeszła z dzbanem i napełniła go czerwonym winem. Na krótką chwilę oblicze wielebnej złagodniało, a w brązowych oczach pojawiło się przelotne zainteresowanie.

Nowicjuszka zwróciła się ku kapłanowi i uniosła oczy w niemym pytaniu.

Rytel zerknął w swój wciąż pełny puchar i pokręcił głową.

Dziewczyna odstawiała dzban i nim odeszła od stołu, posłała przeoryszy powłóczyście spojrzenie.

Brat Rytel poczuł gorycz w ustach. Zerknął smętnym wzrokiem w stojący przed nim prawie nietknięty kopczyk jaglanej kaszy. Nad drewnianą miską unosiła się gęsta para. Roztarł zmarznięte dłonie i spojrzął z żalem na stojący w rogu sali kafłowy piec. Wielebna nie pozwalała jeszcze rozpałać ognia, czekając na mające nadejść zimowe dni.

Gdy czas posiłku dobiegł końca, siostra Joanna powstała sztywno od niemal nietkniętej strawy, zwróciła wzrok na jezuitę, który unosił głowę niczym czujny, wyczekujący pieczyoty pies.

- Pozwól ze mną, ojczy - rzekła cichym głosem i nie upewniając się, czy idzie za nią, skierowała kroki ku drzwiom wiodącym do klauzury.

Serce zatrzepotało w piersi Rytla niczym schwytany w siatkę gołąb. Wstał od stołu i ruszył w ślad za przełożoną, czując na karku palące spojrzenie nowicjuszki.

Komnata zajmowana przez przeoryszkę mieściła się na piętrze budynku. Wzrok Rytla przywarł do kobiecych bioder kołyszących się w rytm wspinaczki po wygiętych w łuk schodach. Pod prostą zakonną suknią skrywały się posągowe kształty.

Gdy przestąpili nad ostatnim, górnym stopniem, skręcili w lewo, w długi na piętnaście kroków korytarz, kończący się solidnymi drzwiami wyposażonymi w wypolerowaną mosiężną klamkę. Tam właśnie zmierzali.

Przestronną izbę urządzono skromnie, choć z wyraźnym smakiem. Pod ścianą, naprzeciw okna stało szerokie łóżko o metalowych szczytach i ława do odbierania chłosty. Na resztę wyposażenia składały się komoda, szafa, kilka kufrów oraz biurko stojące pod oknem, na którego

blacie leżała gruba księga w skórzanej oprawie i stos papierów przygnieciony ciężkim srebrnym krucyfiksem. Ojciec Rytel zmarszczył brwi na ten niespodziewany widok.

Przeorysza wsunęła się za biurko i spoczęła na wygodnym krześle. Rytel opadł na wolny zydeł umieszczony po drugiej stronie mebla.

Wielebna schyliła się, wysunęła szufladę i wyjęła dwa kubki. Chwilę potem dołączyła do nich smukła, opróżniona niemal do połowy butelka wina i Joanna bez pytania zabrała się do napełniania naczyń czerwonym jak krew trunkiem. Rytel dostrzegł lekkie drżenie jej ręki.

- Proszę, Mieczysławie.

Zdumiony spojrzął w piękne, lekko zamglone oczy. Wziął kubek i nim skosztował słodkiego wina, zerknął na łożo.

Siostra Joanna upiła łyk, przypatrując mu się znad cynowej krawędzi.

- Dowiedziałeś się czegoś o tej dziewczynie? - zapytała, gdy tylko odstawiła naczynie na blat.

Rytel poruszył się nerwowo na zydlu.

- Wciąż mieszka w domu zmarłego męża. Odprawiła niemal całą służbę, zostawiając przy sobie tylko starą służącą i młodego parobka. Zbrzozowski usiłował przekupić jedno i drugie, lecz bez rezultatu.

Głęboka zmarszczka przecięła wysokie czoło wielebnej.

- Czy to wszystko? - spytała cierpko.

- Tak - odparł niechętnie.

Spojrziała nań z nieskrywaną wzdargą, po czym wbiła wzrok w okno. Zdawała się błądzić myślami gdzieś daleko od klasztornych murów.

Rytel skulił się jak szczeniak, którego przyłapano na zapaskudzeniu izby. Spojrzął w kąt komnaty, gdzie tkwiła ława do odbierania chłosty. Ze starego, wyschniętego drewna zwisały luźne pętle skórzanych rzemieni. Ława przyjechała wraz z siostrami jeszcze z Rusi i ponoć była w tym zgromadzeniu od momentu jego założenia. Sądząc po spękanych słojach, szczelinach i brązowych plamach pokrywających szorstką powierzchnię, bez trudu można było uwierzyć w tę historię.

Przesunął koniuszkiem języka po górnej wardze.

- A co z tym Hirszem?

Spowiednik niemal podskoczył, przywrócony nagle do rzeczywistości.

- Tajemnicza postać, oblubienico. Popytałem na dworze, ale ci, z którymi rozmawiałem, nie wiedzą nic pewnego. Niemniej zdobyłem kilka interesujących pogłosek - dodał pośpiesznie, widząc grymas niezadowolenia powracający na surowe oblicze.

- Oficjalnie od kilku lat instygator podległy jest staroście Grzybowskiemu, a w rzeczywistości to człowiek sekretarza Gembickiego.

Siostra Joanna drgnęła, jakby ta wiadomość wywołała w niej niepokój. Oparła otwarte dłonie na blacie biurka.

- Musimy zachować ostrożność. Zwłaszcza teraz - stwierdziła twardym tonem, po czym zamilkła, nie wyjaśniając nic więcej.

Rytel poruszył się niespokojnie. Szczęśliwie dla niego oblubienica ponownie wbiła wzrok w szybę, nie dostrzegając nerwowej reakcji spowiednika. Przez dłuższą chwilę panowała między nimi cisza. Przerwało ją westchnienie wielebnej.

- Ach... na śmierć bym zapomniała.

Sięgnęła po książkę leżącą na biurku i odchyliła skórzaną okładkę. W środku tkwiła kartka zapełniona drobnym, kształtnym pismem.

- Tu masz listę osób, z którymi prowadziła interesy siostra Matylda. Przekaż ją

instygatorowi.

Rytel wziął kartkę i odczytał kilka pierwszych nazwisk.

- Ile tego jest?

Przez wargi przeoryszy przemknął złośliwy uśmiech.

- Ponad sto nazwisk. Nasz instygator będzie miał sporo pracy.

Rytel skinął głową, lecz znać było, że myślni jest przy innych sprawach. Wielebna zdawała się nie dostrzegać widniejącego na obliczu mężczyzny wyczekiwania.

- Jak tylko przyjdzie Zbrzozowski, przyślij go do mnie. Teraz idź - rzekła zimnym tonem.

Oblicze spowiednika wypełnił błagalny grymas.

- Ale...

- Idź już! - warknęła niczym rozdrażniona wilczyca.

Rytel wzdrygnął się. Powstał niezdarnie z zydlą, boleśnie świadom, że nie potrafi ukryć rozczarowania. Co gorsza, był pewien, że dostrzegł w jej oczach ledwie skrywaną złośliwość.

Gdzieś z ogrodu dobiegał ich słowiczy głos śpiewającej przy pracy nowicjuszki.

Mieczysław Rytel przełknął gorycz palącą gardło. To był ostatni raz, gdy ośmieliła się z niego zakpić.

Z tą myślą zatrzasnął za sobą drzwi.



Gardziła mężczyznami, brzydziła się ich zapachem i buńczuczną pewnością siebie, przynależną im z urodzenia.

Ta prawda towarzyszyła Joannie, odkąd ukończyła dziesięć lat.

Urodziła się i wychowywała w zamożnej rodzinie szlacheckiej. Rodziciele mieli spory majątek na Polesiu. Ojciec, gdyż tak wówczas myślała o tym człowieku, był silnym, gburowatym mężczyzną, boleśnie przeciętnym typem prowincjonalnego szlachcica, który zbił majątek na moskiewskich wojnach i handlu zbożem. Matka zaś - kobietą piękną, pewną siebie, samodzielnie myślącą, a przy tym niewahającą się wypowiadać własnego zdania. Perłą rzuconą przez los przed śmierdzącego wieprza. Pochodziła ze starego, choć zubożałego kniaziow-skiego rodu. W jej żyłach płynęła arystokratyczna krew ruskich i litewskich książąt. Przewyższała swego męża pod każdym względem.

Ów stan rzeczy nie mógł podobać się panu i władcy. Nie kupił jej przecież po to, by zawstydzala go swym pojnowaniem świata i wiedzą, lecz by chwalić się nią przed innymi panami, tak jak właściciel pięknej klaczy szczyści się przed sąsiadami. Jedyne, czego oczekiwał, to posłuszeństwa i szeroko rozłożonych nóg, gdy wracał z całonocnych hulanek po karczmach. Tych dwóch rzeczy akurat nie chciała mu dać. Szybko zaczął ją bić. Samotna, pozbawiona wsparcia rodziny mogła przeciwstawić mu jedynie dumę i cichą determinację. Obraz matki wyprostowanej i dumnej pomimo stłuczeń pokrywających piękną twarz, zmuszonej do siedzenia przy stole w jadalni w towarzystwie oprawcy, towarzyszył Joannie przez całe dorosłe życie.

Dorosłość zaś dopadła ją z całą swą niespodziewaną brutalnością, a ostrzem, które przecięło względnie bezpieczny kokon dzieciństwa, okazała się ona sama.

Już w dzieciństwie oburzało ją, że matka nigdy nie broni się przed okrucieństwem, że przyjmuje razy i bez słowa patrzy na rozwścieżoną pospolitą twarz z tym dziwnym uśmiechem, który doprowadzał siedzące w mężu bydlę do pasji.

Zemsta ma jednak różne oblicza, choć każdy z wydawanych przez nią owoców jest zatruty. W tym przypadku owocem zemsty stała się jedyna córka.

Joanna nigdy nie poznała swego prawdziwego ojca. Matka wyjawiała jej tę tajemnicę w

dzień swej śmierci, gdy dogorywała w zakrwawionym łożu.

W jaki sposób wyszła na jaw zdrada matki, nie wiedziała do dziś. Może znalazł się judasz, który sprzedał ją za trzydzieści srebrników, albo ona sama pękła i wykrzyczała mężowi w twarz straszliwą prawdę. Prawdę, która kosztowała ją życie.

Pobił ją do nieprzytomności, a potem zostawił konającą na podłodze. Nim pojechał upić się do karczmy, zabronił służbie sprowadzić medyka. Jedyne, co mogli uczynić po jego odjeździe, to przenieść nieszczęsną do alkowy. Tam też zmarła, nie doczekawszy świtu.

W dniu pogrzebu matki człowiek, którego Joanna miała za ojca, zaciągnął ją do małżeńskiego łóża i zgwałcił brutalnie. Na zawsze przyłgnęło do niej wspomnienie tamtej chwili: cuchnącego gorzałką oddechu, szorstkości wąsisk drapiących twarz i ciężaru brzuszyska przygniatającego jej drobne ciało.

Tej wiosny ukończyła dziesięć lat.

Potem odesłał ją do sióstr. Mury klasztorne okazały się gorsze niż dom. Nieustanny rygor, wstawanie o świcie, poniżające prace i nagminne kary cielesne wymierzane za najdrobniejsze uchybienia; to był jej chleb powszedni przez kilka pierwszych miesięcy nowicjatu. Szybko nauczyła się skrywać uczucia, odgrywać pokorę. Wkrótce odkryła, że kary chłosty wymierzane nowi-cjuszkom przynoszą matce położonej osobliwą satysfakcję, co dziwne, uświadomiła sobie, że sama potrafi czerpać przyjemność z zadawanego jej poniżenia i bólu. Gdy po raz pierwszy, a było to dwadzieścia pięć lat temu, zaprowadzono ją nocą do podziemi, odczuwała strach, lecz nie opierała się woli oczekujących na nią kobiet.

Zamyślona sięgnęła dłonią do sukni. Jej palce wyczuły spoczywającą między piersiami obrączkę, dar otrzymany od poprzedniej oblubienicy: symbol przynależności do sióstr wolnego ducha. Jej nowej rodziny.

Wtedy też zaczęła się prawdziwa nauka. Oblubienica wezwała ją do siebie i pokazała zakazane woluminy. Wieczorami siadały obok siebie i studiowały wyklęte myśli. Wtedy pojęła, że księgi są groźniejsze niż miecz. Można za ich pomocą rozsiać ideę w tysiącach biernych umysłów. Czyż nie z tej właśnie przyczyny kobietom zabrania się czytać? Czy gdyby wiedziały, że mogą marzyć i samodzielnie myśleć, zrzuciłyby z siebie jarzmo tyranii mężów, ojców czy braci? W ich małej społeczności idea ta była żywa jak nigdzie indziej.

Niestety, była też jeszcze inna księga, pociągająca, lecz straszna. Łaciński odpis starszego dzieła spisane w grece. Zawarte w niej ilustracje i opisy rozpały wyobraźnię, rozniecały płomień w brzuchu i piersiach. Oblubienica zapewniała ją, że oryginalny egzemplarz tej księgi został spisany krwią niemowląt, a okładkę zrobiono z wyprawionej ludzkiej skóry. Ponoć czytając w odpowiedni sposób zapisane na stronicach teksty, można było zajrzeć do samego piekła.

Joanna nigdy nie uwierzyła w brednie wciskane jej przez starą wariatkę. Zawsze uważała, że księga ta nie była niczym więcej niż tylko inspiracją dla tkwiącego w przeoryszy sadyzmu. Gdy więc po śmierci mentorki objęła obowiązki matki wielebnej i nowej oblubienicy, zamknęła ów wolumin w skrzyni. Tkwił tam przez ponad siedem lat - do czasu gdy uległa namowom swej ulubionej akolitki.

Tamtego dnia powinna zniszczyć w płomieniach przeklętą księgę.

Na myśl o zdradzieckiej kochance zacisnęła kurczowo pięść. Nie dość, że ta mała dziwka opuściła ją dla starego mężczyzny, to jeszcze ukradła księgę. Teraz wiedziała już, że od samego początku chodziło jej tylko o te kilkadziesiąt stron pergaminu.

Pierwszą ofiarą jej zaniedbania stał się poprzedni spowiednik, ojciec Jan. Siostra Matylda znalazła go powieszzonego w jego własnej celi. Przerazenie malujące się na napuchniętym obliczu starego sybaryty przez wiele nocy wyrzywało Joannę ze snu.

Potem nastąpiła ewakuacja klasztoru. Niewierna kochanka, martwy ksiądz i kradzież stały się mało ważne w obliczu czekającej je tułaczki. Zresztą nie łączyła tych wydarzeń. Wtedy jeszcze nie wierzyła w diabła, lecz w rozum, a istoty zła upatrywała w samych ludziach.

Joanna zagryzła dolną wargę.

„Gdybym wówczas domyślała się tego, co wiem dziś, Matylda nie skończyłaby życia na stercie gówna”.

Wzrok wielebnej opadł ku bawiącym się na śniegu nowicjuszkom. Każda z nich prędzej czy później dostrzegała, że została odrzucona. Nawet te, którym wydawało się, że trafiły za klasztorne mury z powodu swej głębokiej wiary. Kształtowała więc te dziewczęta, tak jak ukształtowano ją samą. Brutalnie łamała ich wolę, wiarę, resztki godności, aby uwolnić zagubione dusze z narzuconych im okowów. Odrzyj człowieka z godności, ubrania, pozbaw jedzenia, picia i snu, zadawaj ból na ślepo i bez przyczyny, a stworzysz go na nowo. Od czasu do czasu - gdy któraś z sióstr swym uporem wywierała zgubny wpływ na ich niewielką społeczność - Joanna ponosiła porażkę, wtedy korzystała z trucizny. Podobne przypadki nie zdarzały się jednak często.

Rzecz jasna, w ich zamkniętym świecie istnieli również mężczyźni. Ostatecznie nikt nie podważa użyteczności wołu, jeśli można zaprząć go do pług.

Myśli wielebnej powróciły do ojca Rytla, niczym łaknący krwi giez do wołu. Jezuita okazał się słaby pod zbroją sukni duchownej i jak większość mężczyzn żałośnie przewidywalny. Wystarczyło dać mu poczucie, że tylko ona jest w stanie ofiarować mu to, co powszechnie uważano za najwznioślejsze z uczuć. Gdy tymczasem miłość bywa najbardziej zdradliwa.

By chronić dzieło swego życia, znosiła jego niezgrabne uściski, gorliwe pocałunki. Potrafiła powstrzymać mdłości, gdy chude poślądki podrygiwały między jej rozwartymi udami. Potem gdy już należał do niej, dopuszczała go do siebie z rzadka, jako wyraz szczególnej łaski. Wkrótce nawet i te krótkie chwile poświęcenia stały się zbyt uciążliwe, a wspomnienia im towarzyszące przepełniały ją odrazą całymi tygodniami.

„Ile to minęło od ostatniego razu? Dwa... nie, trzy miesiące”.

Skrzywiła usta, jakby rozgryzła gorczycę. Doskonale wiedziała, że nie powinna dłużej odkładać kolejnego poświęcenia.

Drgnęła, słysząc natarczywe pukanie do drzwi.

- Wejść!

W progu stanął potężnie zbudowany mężczyzna. W przeciętnej, kanciastej twarzy wyróżniały się ciemne, okrutne oczy i garbaty, źle zrosnięty nos. Obraz doskonale pasujący do ponurego charakteru tego osobnika.

„Tym razem wół, co ma się za wilka”.

Zbrzozowski podszedł do biurka i spojrzał wyczekująco na zydel.

Jak wszyscy znani jej mężczyźni, on również łudził się co do swej wartości.

- Umówiłeś spotkanie? - zapytała.

- Będzie czekał po zmroku.

Siostra Joanna poczuła coś na kształt lęku. Pospiesznie odepchnęła to niegodne uczucie.

- Doskonale. Poczekaj na mnie przy tylnej furcie. Mężczyzna przez chwilę gapił się na nią bez słowa, a potem skinął głową i opuścił komnatę. Wielebna przez kilkanaście uderzeń serca zastanawiała się, czy dobrze robi, ufając temu człowiekowi.

Odpowiedź na to pytanie nie wypadła zadowolająco.



Blade słońce zaszło już za dachy kamienic Starego Miasta, pozwalając, by

mrok opadł na ulicę niczym wilgotna, zimna peleryna.

Wielebna wzdygnęła się i bezwiednie wydłużyła krok, by znaleźć się bliżej idącego przodem Zbrzozowskiego. W tej chwili zwałista sylwetka mężczyzny sprawiała, że zakonnica czuła się pewniej przed czekającym ją spotkaniem. Nie miała wyboru. Musiała zniszczyć zło, do którego powstania sama przyłożyła rękę, choćby ów czyn miał zaprowadzić ją do lochu lub pod katowski miecz. Przejęta straszliwą myślą spojrzała w prawo, zatrzymując wzrok na wieży marszałkowskiej. Gmach więzienia wyrastał znad murów miejskich niczym ostrzegawczo wzniesiony palec.

Kilkaset kroków brnęli poślubionym koleinami traktem, następnie tuż za zabudowaniami przytułku ojców dominikanów skręcili w stronę Góry Gnojnej. Wąska droga prowadząca wzdłuż skarpy wiślanej była przysłowiową smugą cienia, która rozdzielała dwa odmienne światy. Zbocze po prawej zajmowały spichrze i ogrody należące do bogatych mieszczan. Po przeciwnej stronie, między skarpią a brzegiem Wisły, rozciągało się skupisko ruder Podgórze.

Pan Zbrzozowski prowadził pewnie, znak, że nie pierwszy raz miał okazję pokonywać tę trasę po zmroku. Przeorysza wbiła posępne spojrzenie w kołyszące się w rytm kroków barczyste plecy przewodnika. „Ale czegoż innego można było się spodziewać po takim człowieku?” - pomyślała ponuro i nasunęła głębiej kaptur na czoło, chroniąc twarz przed zimnym wiatrem.

Minęli spichlerze i wciśnięte między masywne mury wąskie schody, prowadzące do Starej Warszawy. Przekroczyli rynsztok i zanurzyli się w płataninę wąziutkich, cuchnących uliczek, w większości nie dłuższych niż na kilkanaście kroków, które spletały się w niemożliwy do prześledzenia labirynt. Ludzie spotykani po drodze mieli wychudłe i nieprzyjemne twarze. Gdziekolwiek w wypełnionych stertami odchodów prześwitach leżały nieruchome, często odarte z odzienia ciała. Nikt z przechodniów nie wykazywał zainteresowania nimi.

Wielebna już po trzecim zakręcie porzuciła nadzieję na samodzielne odnalezienie drogi powrotnej. Rozejrzała się trwożliwie iomal nie wpadła na Zbrzozowskiego. Ten zatrzymał się nagle, unióśł wyżej lampę i na chwilę ujrzała posępną twarz. Ciemne oczy, skryte pod obszerną futrzaną czapą, przeczesywały otaczające ich ciemności. Nagle spojrzał na nią z niepokojącym namysłem malującym się na topornym obliczu.

Zadrzała.

Jeśliby żywił zamiar pozbycia się jej bez świadków, nie mógł trafić lepszej okazji. W tej okolicy zwłoki mogły leżeć kilka dni, nim ktokolwiek się nimi zajmie. Jeśli w ogóle ktoś to zrobi.

„Może nawet przedtem dobrze by się ze mną zabawił”, pomyślała przejęta nagłą grozą.

Wzięła się w garść. Był jej psem, a te wyczuwają słabość u swych panów. Zaciśnęła pięści skryte w kieszeniach delii tak, że paznokcie wbiły się w przemarzniętą skórę. Ból przywrócił równowagę umysłu. Przez krótką chwilę mierzyli się wzrokiem. Każde harde, pewne swej przewagi nad drugim. Przez oblicze mężczyzny przemknął ledwie uchwytny grymas, po czym przewodnik obrócił się do niej plecami i ruszył w dalszą drogę. Wielebna ledwie powstrzymała napływający na usta uśmiech. Była już pewna, że Zbrzozowski nie poważy się na żadne głupstwo.

Kilkakroć jeszcze zmieniali kierunek marszruty, nim dotarli do niewielkiego placu, przy którym stał jednopiętrowy budynek, dość solidny jak na tę okolicę. Pozostała część terenu otaczały zbite byle jak szopy.

Przy jednej z nich dwóch mężczyzn dyskutowało ze zniszczoną dziwką. Wyglądali na pijanych. W mroźnym powietrzu wyraźnie słyszała, jak wyklócają się o cenę, chcąc spółkować z kobietą jednocześnie. Prostytutka posłała jej złe spojrzenie - zapewne wietrząc w niej konkurentkę - i szybko przystała na proponowaną zapłatę. Wielebna starała się nie patrzeć w tę

stronę, nie prowokować, wątpiła bowiem, by okazali jej litość, gdyby ujawniła, kim jest. Dla takich bestii nie ma nic świętego.

Zbrzozowski podprowadził ją do masywnych drzwi. Trzy razy uderzył w nie pięścią.

Wizjer odsunął się i zza drewnianej kratki błysnęło czujne oko.

Po chwili zazgrzytały zasuw. Wierzeje otworzyły się, wypuszczając na zewnątrz plamę jasnego światła. Wciąż nie widziała odźwiernego.

- To ona? - zapytał mrukliwy głos.

Zbrzozowski przytaknął ruchem głowy. Ustąpił miejsca, aby przeszła pierwsza.

Joanna zawahała się na uderzenie serca, lecz było już za późno na zmianę decyzji.

Pewnym krokiem weszła do ciepłej sieni. Zza ścian pulsowały gwar i skoczna muzyka. Odgadła, że znajdują się na zapleczu gospody.

Drgnęła na odgłos zatraskiwanych drzwi. Spojrzała na odźwiernego, starając się okazać odwagę. Był to niski, niemłody już mężczyzna z pionową blizną biegnącą przez cały lewy policzek. Gdy się odezwał, nawet odległość dwóch kroków nie uchroniła jej przed smrodliwą wonią zepsutych zębów.

- Zdejmij kaptur - zażądał i uczynił krok w jej stronę.

Dostrzegła, że Zbrzozowski wyciąga rękę, aby powstrzymać natręta. W odpowiedzi na ten gest stary wykrzywił pogardliwie usta i sięgnął po wiszący u pasa nóż.

Zareagowała błyskawicznie, przypomniawszy sobie, kim jest i po co tu przyszła.

Odepchnęła przedramię sługi i postąpiła pół kroku naprzód.

- Moje oblicze pozostanie w ukryciu, to ja płacę i stawiam warunki - odparła twardym tonem.

Mężczyzna przez kilka uderzeń serca wpatrywał się w nią, po czym wzruszył ramionami.

- Idź przepłukać gardło - zwrócił się do przewodnika wielebnej.

Sługa nie ruszył się, póki nie zwolniła go skinieniem głowy.

Odźwierny odczekał, aż Zbrzozowski zniknie za drzwiami, a potem nakazał gestem, by podążała za nim. Ruszyli w głąb sieni, minęli schody prowadzące na poddasze i skręcili w wąski korytarz zakończony kolejnymi drzwiami. Stary zapukał i odczekawszy chwilę, wsunął się do wnętrza. Nim upłynął pacierz, pojawił się ponownie. Wpuścił ją do środka, a sam wrócił na korytarz, zamykając za sobą drzwi.

W izbie panował mrok, rozpraszany przez mdłe światło lampy zawieszanej pod sufitem. Człowiek, z którym była umówiona, siedział za stołem, skryty w głębokim cieniu. To jej odpowiadało. Oboje nie widzieli swych twarzy.

Joanna przeszła kilka niepewnych kroków, nim usiadła na zydlu przeznaczonym dla interesantów.

Mężczyzna wskazał dzban stojący na blacie.

- Wina? - zapytał.

Miał chropowaty, lecz całkiem miły głos, zupełnie niepasujący do profesji, którą uprawiał.

Wielebna pokręciła głową. Sięgnęła do wewnętrznej kieszeni płaszcza, wyciągnęła grubo nabitą sakiewkę i rzuciła na blat. Złoto zadźwięczało miło dla ucha.

- Nie przyszłam tu dla trunków.

Nieznajomy zaśmiał się krótko.

- Prosto do rzeczy, to lubię. - Pochylił się w przód, by sięgnąć po zapłatę.

Zmrużyła oczy, próbując dojrzeć jego oblicze. Bez skutku. Zarejestrowała tylko, że miał drobne, pokryte bliznami dłonie.

Bez sprawdzania schował zapłatę za pazuchę.

- O kogo chodzi? - zapytał.

Siostra Joanna odetchnęła z ulgą. Przeczucie mówiło jej, że trafiła na odpowiedniego człowieka. Pozwoliła sobie na lekki uśmiech i poczęła mówić.



Z nadejściem nocy zepsuła się pogoda.

Wielebna była zbyt podekscytowana, by zwracać uwagę na sypiący gęsto śnieg i mróz wdzierający się pod futrzaną podpinkę delii.

„Stało się”.

Świadomość, że nie ma już odwrotu, napawała ją ulgą. Skupiła wzrok na kołyszących się przed nią plecach przewodnika. Od chwili gdy opuścili gospodę, ani razu się nie odezwał, szedł przygarbiony, lekko chybliwym krokiem. Zastanowiła się, na ile może mu ufać. Zbrzozowski służył przy zgromadzeniu od dziesięciu lat. Był to człek ponury, małomówny, po pijanemu skory do gniewu i okrucieństwa, zwłaszcza wobec kobiet. Jeszcze na Rusi wiele czasu spędzał za klasztorną bramą, oddając się wszetecznym ucieshom.

Wiele lat temu, już jako sługa zakonu, popełnił ohydny mord na młodej dziewczynie, niemal dziecku. Sprawę zatuszowano dla dobra zgromadzenia i o czynie tym wiedziały tylko dwie osoby: ona i ojciec Jan, który spowiadał łotra z jego zbrodni. Ta wiedza sprawiła, iż Zbrzozowski stał się dla nich niezastąpionym narzędziem. Teraz ta korzystna sytuacja ulegała zmianie. Przeorysza zaczęła rozważać, czy nie powinna w najbliższych dniach odwiedzić klasztornego zielnika. Kilka uncji dobrotczywnych ziół dodanych do mocnego miodu rozwiązałoby sprawę na zawsze.

Pozostawili za sobą labirynt cuchnących uliczek i wyszli na główną drogę Podgórze, niedaleko miejsca, gdzie zaczynała się ulica Na Schodkach. Od razu uderzył w nich podmuch mroźnego wiatru.

Zbrzozowski zatrzymał się i uniosł lampę.

- Jak idziemy? - zapytał, chuchając jej w twarz odorem gorzałki.

Siostra Joanna rozejrzała się niepewnie po opustoszałej drodze. Chybotliwe światło sięgało ledwie na trzy kroki, ograniczone przez ciemności i śnieżną kurzawę. Zakłęła w myślach i uniosła głowę. Księżyc skrył się za grubą warstwą chmur.

Spojrzała spod kaptura w górę: mury i skryte za nimi kamienice spowiadały mrok. Zagryzła wargi, rozważając sprawę. Ta droga do Starej Warszawy wymagała pokonania kilkuset schodów, lecz była znacznie krótsza niżli trasa, którą tu przyszli.

Kolejny podmuch wiatru zaprószył oczy zimnymi igiełkami i przyspieszył decyzję.

- Idziemy schodami - powiedziała, nie odrywając wzroku od szczytu zbocza.

Zbrzozowski, chyba równie przemarznięty jak ona, skinął głową z widocznym ukontentowaniem.

Od schodków dzieliło ich ledwie kilkadziesiąt kroków. Wkroczyli pospiesznie między dwa piętrowe spichrze, zostawiając za sobą zawieję. Ruszyli w górę. Droga okazała się cięższa, niż wielebna przypuszczała, gdyż stopnie pokrywała warstewka zlodowaciałego śniegu. Zabudowania gospodarcze ułożone po obu stronach przejścia tonęły w ciemności. Nigdzie śladu żywej duszy. Jedynym źródłem światła na całej długości trasy była lampa trzymana przez Zbrzozowskiego.

Joanna poczuła się nieswojo. Doznała wrażenia, że ktoś czai się za jej plecami. Zatrzymała się i spojrzała przez ramię w nieprzeniknioną ciemność.

Nikogo tam nie ma, uspokoiła samą siebie.

Zbrzozowski wyczuł jej wahanie, również przystanął. Wpił w przełożoną pytający wzrok.

- Idź dalej - mruknęła.

Nim dotarli do następnego ze spichrzy, ułożonego niemal w połowie trasy, jej oddech stał się głębszy, a serce waliło jak oszałałe. Klasztorne życie nie nastęczyło podobnych trudów. Minęli niewielki zagajnik brzozowy, potem przekroczyli zejście łączące furtę celną z drogą ku przeprawie wiślanej i rozpoczęli ostatni etap wspinaczki. W mroku widziała już zarys pojedynczego muru i wyrastający nad obwarowania masywny owal Wieży Białej. Od wytchnienia dzieliło ją już tylko kilkadziesiąt stopni. Przystanąła na kilka oddechów, by dać ulgę obolałym nogom.

Nagle Zbrzozowski zacharzał przejmująco, wykonał gwałtowny ruch trzymaną w ręku lampą, zachwiał się i runął wprost na nią. Uprzednia zwłoka uratowała ją przed zderzeniem. Odruchowo przywarła do ściany, pozwalając, by bezwładne ciało stoczyło się kilka stopni w dół, i z przerażeniem patrzyła w gasnące światło lampy.

Zaległy ciemności.

Choć nie widziała, co przytrafiło się Zbrzozowskiemu, instynkt krzyczał w niej, by uciekała. Tuż przed sobą wyczuła ruch. Rzuciła się biegiem w górę, nie zważając na śliskie stopnie, i już na pierwszym z nich straciła równowagę. Poleciała do przodu, raniąc dłonie o oblodzone drewno.

To ją uratowało; czyjeś ręce przemknęły nad jej głową, nie odnajdując punktu zaczepienia.

Strach dodał Joannie sił, na czworakach wystrzeliła w kierunku furty. Ktoś chwycił obcas jej buta, lecz uwolniła się rozpaczliwym wierzgnięciem. Dopadła otwartej, ziejącej ciemnością baszty i pomknęła pod nisko sklepionym przejściem - od bezpiecznej ulicy dzielił ją tylko krok.

Naraz wyczuła, że nie jest sama w ciemności. Obróciła się, bezwiednie unosząc ramię, by chronić głowę. Na próżno.

Cios był tak silny, że nie zdążyła nawet krzyknąć. Już będąc na kolanach, zdołała jeszcze w żalostnej próbie oporu chwycić się szorstkiego, parzącego zimnem metalu kraty.

Nagle dostrzegła światło; pełzający po murze blask niesionej lampy lub pochodni. Ktoś nadchodził od strony rynku.

Wystarczy zawołać, a przybiegnie pomoc.

Przemogła blokujące przełyk mdłości i otworzyła usta, zdobywając się na ostatni wysiłek.

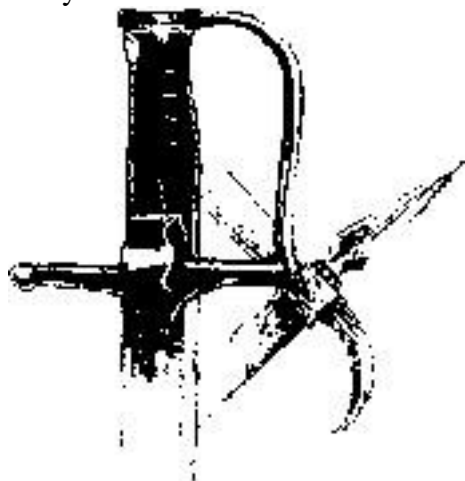
Drobna, silna dłoń oprawcy zdusiła tę próbę w zarodku.

Oblubienica jęknęła żalostnie.

Chwilę potem drugi cios odebrał jej przytomność.

Rozdział VIII

Bańki powietrza unosiły się wokół rozrzuconych po powierzchni wody włosów niczym olbrzymi żabi skrzek.



Hirsz przypatrywał się ze znużeniem mężczyźnie, którego głowa od dwóch zdrowasiek tkwiła pod wodą.

- Starczy, Maksym - zdecydował.

Wielkie dłonie Birkuta szarpnęły do góry i w tył, poseł zakrzuszył się i zarzęził przeciągle, a dźwięk ten odbił się echem od wilgotnych murów. Joachim spojrział na ociekającego wodą więźnia, któremu za jedyne odzienie służyła czarna opaska zasłaniająca oczy. Smagłe oblicze Madziara było zapadłe i zmęczone, ciało zaś drżało jak w gorączce. Od uprowadzenia nie pozwalali mu zasnąć, nie dawali jeść, a napić się mógł tylko, gdy wkładali mu głowę w ceber z wodą.

Joachim obrzucił piwnicę znużonym spojrzeniem. Lokal nad nią należał do niejakiego Marcina Kosina: sutenera, pasera i mordercy, a obecnie również tajnego współpracownika służby królewskiej. Rzecz jasna, Kosin nie był zachwycony, że miesza się go w grubą polityczną sprawę, i chętnie wyrzuciłby ich stąd na zbity pysk, jeszcze chętniej zarznął, a ciała utopił w Wiśle. Tylko że porucznik miał go w garści. Będzie rok, jak przydybał Kosina na gardłowym *crimenie* i posiadał obciążające go zeznania.

W tej robocie człowiek szybko staje się obojętny wobec własnej uczciwości. Ostatecznie nikt nie obiecywał mu, że w królewskiej służbie będzie nieskalany jak dziewica.

Rzęzenie ustało, przechodząc w spokojniejszy oddech, i to wyrwało instygatora z rozmyślań. Skupił wzrok na opornym więźniu. W normalnej sytuacji poddaliby go torturom, wszak to najpewniejszy sposób wydobycia zeznań, jednak człowiek ten jako szlachcic tu, w Rzeczypospolitej, był chroniony prawami przynależnymi urodzonym i jeśli miał stanąć przed trybunałem, by obciążyć zeznaniami opozycyjnych senatorów, na jego ciele nie mogło być śladów przemocy. W tej kwestii polecenie jego wielmożności było bezdyskusyjne.

„Łatwo powiedzieć, jak się siedzi wygodnie za biurkiem”.

- Więc jak, podpiszesz zeznania? - zapytał Hirsz z nadzieją.

Madziar pokręcił głową, rozchlapując wodę.

Z ust porucznika wyrwało się ciche westchnienie. Dał znak Birkutowi, by jeszcze raz podtopił posła, a sam przeszedł do sąsiedniej piwnicy, w której stało kilka beczulek z trunkami, trochę dzbanów, a na klepisku leżały nabite worki. Na jednym z nich siedział Mroczek z odpięętowanym dzbanem w dłoniach. Hirsz spoczął obok, wyprostował nogi i potarł obolałe mięśnie. Wachmistrz nie musiał pytać, jak idzie, wszystko było tu doskonale słychać. Potarł

czoło w geście znamionującym wyczerpanie.

- Za długo to trwa, Joachimie. Za długo. Szpicle Wiś-niowieckiego ryją po całym mieście i w końcu się dokopią. Jest tylko kwestią czasu i ktoś nas wyda, choćby i Kosin. Cięży mu nasza opieka, oj, cięży.

- Co więc proponujesz?

- Do Wisły z nim.

Hirsz milczał przez chwilę. Propozycja była rozsądna - po prawdzie już sam o tym przemyślał - nie pierwszy to raz rzeka skryłaby ich ponure tajemnice.

- Gembicki nie będzie zachwycony.

- Srać na to - warknął Mroczek. - Tu już o nasze głowy idzie. Jeśli Jarema się dowie, kto mu porwał posła, to po nas. Sekretarz wyprze się wszystkiego, także i królowa. Do Chmielnickiego tylko przyjdzie nam zbiec i do buntu się przyłączyć. O ile, rzecz jasna, żywi z miasta się wydostaniemy.

Joachim poczuł ukłucie w piersi; Tomasz miał rację, już i tak krążyły pogłoski, że szło do zgody między parą monarszą a Wiśniowieckim, co znaczyło, że zlecona mu misja stawiała dwór w nader niezręcznej sytuacji. Hirsz nie miał wątpliwości, że w imię racji stanu sekretarz koronny poświęci ich czwórkę bez zbyteń żalu.

- Jeśli nie pęknie do nocy, weź go na tortury. Potem zabij.

Mroczek skinął głową, wyraźnie usatysfakcjonowany, a porucznik milczał, wsłuchując się w dochodzące z bocznej piwnicy rżenie - co jak co, ale robotę to Maksym traktował poważnie. Naraz naszło go pragnienie. Zerknął na dzban trzymany przez towarzysza.

- Co tam masz?

- Wino, ale cienkie. Kosin jak zwykle poskąpił.

- Daj, choć gardło przepłuczę.

Wachmistrz podał naczynie, a Hirsz pociągnął zeń kilka solidnych łyków. Cholerstwo rzeczywiście było rozwodnione i do tego kwaśnawe, ale nie było co wybrzydzać - troski są, to i pić się chce.

Odjął szorstką krawędź od ust, otarł dłonią wilgoć z brody i oddał dzban. Pożegnał się z Mroczkiem uściskiem ręki, wstał z worka i ruszył do schodów. Po pokonaniu wąskich stopni przez klapę w suficie wygramolił się na zewnątrz. Przy wyjściu z piwnicy pełnił wartę Hańcza - tak na wypadek gdyby Kosinowi przyszło do łba coś głupiego - który na widok porucznika wstał z zydła.

- Jak tam? - zapytał ze źle skrywanym napięciem w głosie.

- Nie jest dobrze - odparł Joachim zgodnie z prawdą.

- No to chyba będzie trzeba... - Hańcza zamilkł znacząco.

Hirsz przerwał mu machnięciem ręki.

- Tak, wiem, do Wisły - odpowiedział zmęczonym głosem. - Mroczek już wiercił mi dziurę w brzuchu.

Nie zaglądając do głównej sali, ruszył przez zaplecze do tylnego wyjścia. Minął kuchnię, spiżarnię i wszedł do przestronnej sieni, gdzie w półmroku przy drzwiach kantoru czekał nań Kosin. Wysoka, barczysta sylwetka ledwie mieściła się między ościeżnicami; bez wątplenia nie znalazł się tam przypadkiem.

Obrzucił porucznika zimnym spojrzeniem.

- Nie podoba mi się, co tam robicie, instygatorze - przeszedł z miejsca do rzeczy.

- Mnie również - odparł Joachim, choć przecież wiedział, że nie o względy moralne tu idzie.

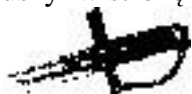
Kosin poruszył ustami, jakby przeżuwał jakieś przekleństwo.

- Znaczy kłopot jest - bardziej stwierdził, niż zapytał.
- Jest - przyznał porucznik - ale do świtu rozwiążemy go, Kosin. Tak czy inaczej.

Karczmarz skinął głową ze zrozumieniem, po czym oddalił się bez słowa. Stary łotr znał żelazną zasadę - im mniej wiesz, tym jesteś zdrowszy.

Porucznik pchnął drzwi i wyszedł na podwórze. Na dworze zapadł już zmierzch. Po przeciwnej stronie placu stała parterowa oficyna, mieszkały tam dziwki pracujące w gospodzie. W jednej z izb paliło się słabe światło kaganka, a zza okna dochodził smutny kobiecy śpiew.

Joachim poczuł się nagle zmęczony, zbrukany i samotny. Przytłoczony tym brzemieniem, ruszył w stronę Starego Miasta.



Za murami miasta kurzawa straciła na sile.

Mrok za Bramą Rzeźniczą rozpraszały tylko dwie lampy zawieszane nad drzwiami stojących przy targowisku kamienic. Porucznik przekroczył zamrażnięty strumyk i ruszył ku wylotowi poprzecznej ulicy. Szedł ostrożnie, gdyż kocie łby pokryła warstwa świeżej zmarzliny.

Gdy przechodził obok pozamykanych na noc jatek, zza chmur wychylił się sierp księżyca. Młda poświata odsłoniła przed oczami Hirsza sterty śmieci wspinające się na ściany straganów. Wśród odpadków żerowało kilkanaście niepłochliwych szczurów. Dotarłszy do Wąskiego Dunaju, skręcił w prawo i po przejściu kilkudziesięciu kroków dotarł do ulicy Piwnej. Z ulokowanych tam szynków sączył się w noc knajpiany gwar. Porucznik minął obojętnie dwóch wstawionych mieszczan rozprawiających na głos o zaletach miłosnych swych małżonek i skierował się na tyły kamienicy należącej do Katarzyny. Zaplecze piętrowego budynku otaczał mur z umieszczoną weń wąską furtą.

Hirsch na krótką chwilę zatrzymał się w cienistym zaułku, by upewnić się, że nie jest śledzony, po czym odszukał w kieszeni klucz i po omacku otworzył furtę. Znalazł się na ciasnym podwórze. Z ciemności dobiegł go warkot i moment później wypadł z niej duży, kudłaty mieszaniec. Zaspasane ślepia spojrzały na porucznika z wyrzutem. Joachim pogłaskał masywny łeb i pozwolił, by szorstki język oblizwał mu dłoń. Zwierzę odprowadziło go pod same drzwi dla służby, tam pożegnało cichym, głuchym szczeknięciem i potruczało w kierunku budy.

Joachim nacisnął klamkę i wkroczył do przysieni. Wąski korytarz tonął w gęstym mroku. Kierując się pamięcią, przeszedł do głównej sieni, gdzie znajdowały się schody. Tam było już zdecydowanie jaśniej za sprawą podwieszanej pod sufitem lampy. Co dziwne, nie napotkał nikogo ze służby. Wspiął się na pierwszy stopień, gdy usłyszał za plecami zgrzyt zawiasów.

Spojrzał przez ramię i zobaczył Urszulę stojącą w drzwiach prowadzących do izby kąpielowej. Zza pleców dziewczki buchały kłęby gorącej pary. Hirsch wiedział, że pokojówka podobnie jak jej pani uwielbiała kąpiele.

Czarne oczy patrzyły nań ciepło spod lekko zmrużonych powiek.

- Nie ma jej - powiedziała miękko.

Pohamował cierpki grymas cisnący się na usta, nie musiał się dopytywać, gdzie Katarzyna spędza tę noc. Na moment zapadła krępująca cisza. Hirsch sięgnął spojrzeniem ku pełnym piersiom rysującym się pod tkaniną koszuli i westchnął w myślach na wspomnienie ich ciężaru w swych dłoniach, gdy kochali się w wielkiej bali stojącej w łaźni. Do niedawna żył w przekonaniu, że Katarzyna nic nie wiedziała o tej drobnej utracie samokontroli. Po tylu latach wciąż potrafiła go zaskakiwać.

Urszula pierwsza przerwała milczenie.

- Zostawiła list dla pana porucznika. Leży na biurku w alkowie.

Hirsch skinął głową.

- Wracaj do środka, bo woda się wychłodzi - poradził.

Służąca posłała mu powabny uśmiech i zamknęła za sobą drzwi, a Joachim stał przez chwilę bez ruchu, zastanawiając się, co właściwie powstrzymuje go przed wejściem do izby kąpielowej i wzięciem w ramiona ślicznej pokojówki, odrzucił jednak pokusę, wspiął się na piętro i wszedł do okrytej mrokiem alkowy. Zatrzasnął za sobą drzwi, podszedł do niemal wygasłego kominka, rozniecił ogień i rozejrzał się po przestronnym pomieszczeniu. Wszystko było po staremu. Katarzyna nie lubiła zmian, choć prawidłowość ta nie dotyczyła mężczyzn, z którymi sypiała.

Joachim spojrział smętnie na puste łóżko przykryte baldachimem.

„W dupę z tym”.

Przemierzył olbrzymi turecki kobierzec wyścielający podłogę i stanął przy biurku. Zgodnie ze słowami Urszuli czekał nań list, porucznik postawił więc lampę na blacie i wziął w dłoń białą, opatrzoną pieczęcią, grubą kopertę. Upewnił się, że odcisk w czerwonym laku nie został naruszony i czy koperta nie została rozcięta na brzegach i ponownie zaklejona. Nie to, żeby nie ufał Urszuli, ale strzeżonego Pan Bóg strzeże, jak powiadają.

Oględziny wypadły pomyślnie, złamał więc pieczęć, wyjął kartkę zapisaną rzędami kształtnych liter. Gdy doczytał do fragmentu, w którym Katarzyna wspominała

0 księdze szyfrów, poczuł przyspieszone bicie serca. To byłby wielki sukces, coś, co pozwoliłoby poskromić choć na pewien czas opozycję. Zamyślony odłożył list z powrotem na biurko. Zrzucił z siebie wierzchnie odzienie

1 usiadł wygodnie w głębokim fotelu ustawionym naprzeciw kominka. Po chwili zastanowienia zsuł przemoczone buty, sprawdzając przy tym automatycznie, czy sztylet ukryty w wysokiej cholewie jest dobrze umocowany.

W komnacie zrobiło się ciepło i przytulnie. Joachim wyciągnął nogi i wtulił się w fotel; wpatrzony w płomień zaczął roztrząsać, co dalej ma uczynić z otrzymaną wiadomością. Zdobycie księgi szyfrów wiązało się ze śmiertelnym ryzykiem. Hirsz nie wątpił, że Hieronim Radziejowski bez wahania posunie się do morderstwa, aby tylko zachować swe sekrety. Czy miał prawo wymagać od Katarzyny, by podjęła podobne ryzyko? Czy tego chciał? Z jakiej to przyczyny zabijał, torturował, kłamał, a teraz miał jeszcze narazić życie najbliższej mu kobiety? Co nim kierowało? Racja stanu, obowiązek, czy może próżność i ambicja? Świadomość, że on, sierota bez rodziny i koneksji, może wstrząsnąć znaczniejszymi od siebie?

Wrażenie mylące, ale cóż za przyjemność.

Z zamyślenia wyrwał go dźwięk poruszonej klamki. Drzwi się otworzyły i do alkowy wsunęła się Urszula, niosąca w dłoniach tacę z jadłem i trunkiem. Miała na sobie nocną koszulę.

- Przyniosłam coś na rozgrzanie, na dworze ziąb -oznajmiła cichym, melodyjnym głosem.

Hirsz nie potrafił oderwać od niej oczu, gdy oświetlona przez delikatną lunę ognia szła w kierunku stolika.

Odstawiła tacę i odwróciła się tyłem do kominka. Hirsz wstrzymał oddech. Przez cienką tkaninę przebijały krągłości piersi, zarys bioder, szczelina między udami i ciemne runo. Odchrząknął i uniósł wzrok, a ona odpowiedziała przyzwalającym uśmiechem.

Powiadają, że jeśli miałeś kobietę raz, to potem możesz mieć ją zawsze. Tak mówią, i choć wszelkie uogólnienia są zawodne, w przypadku Urszuli porzekadło to najwyraźniej się sprawdzało. Pozostawało jeszcze ryzyko; Katarzyna, choć sama nie żałowała sobie kochanków, źle patrzyła na jego miłości.

„Ot, niewieścia logika”.

- Pani mówiła, kiedy wróci? - zapytał.

- Nie prędzej niżli jutro - odparła swobodnym tonem służąca.

Hirsz poruszył się nieco, by ulżyć ściśniętej przez spodnie męskości. Drobnym ów niuans nie uszedł uwadze dziewczki, przysunęła się bliżej, wsuwając udo między jego nogi. Wahanie ustąpiło, wyparte przez impuls. Hirsz wsunął dłoń pod rąbek koszuli i dotknął gładkiej skóry, przesunął dłoń wyżej, sięgając ku ciepłu, i potarł palcami miękkie kręcone włosy. Czuł, jak Urszula napina mięśnie pośladków i brzucha. Pochyliła się, a kasztanowe loki opadły swobodnie na oblicze Joachima, który wciągnął w nozdrza zapach włosów, uniósł twarz. Ich usta spotkały się w ciepłym pocałunku. Kochali się długo i mocno, bez fałszywych wyznań o miłości czy szeptanych w uniesieniu zapewnień kochanków, tracących ważność wraz z nadchodzącym świtem.

Obdarzali się przyjemnością, by odpędzić czającą się na progu ich dusz samotność.
Czyż może być lepszy powód?



Hirsz opuścił kamienicę jeszcze przed północą.

Z miejsca otulił go drobny śnieg: setki miniaturowych klujących zimnem płatków. Porucznik nasunął na głowę kapelusz, otulił się ściślej połami płaszcza i zaczął mosiężne guziki w pętelkach. Ociężałym krokiem ruszył w stronę Nowego Miasta. Napięcie, jakie odczuwał przez ostatnie dni, opadło, pozostawiając we wnętrzu gorzki spokój.

Choć stragany kupców i rzemieślników były już pozamykane na cztery spusty, na ulicach panował ożywiony ruch. Szlachta spragniona jadła, trunków i wszelkiej rozrywki przemieszczała się między gospodami. Właśnie tam przybyli z odległych od siebie części Rzeczypospolitej panowie bracia mieli okazję spotkać się osobiście przy kielichu, porozmawiać, wymienić poglądy - w tak olbrzymim państwie siłą rzeczy często różne.

Pomimo nocnej pory i zachmurzonego nieba na ulicach było dość widno. Niemal każdy z przechodniów miał własne oświetlenie, które niósł sam lub też wyręczał się w owym trudzie służą. Blask ten nadawał ciasnym uliczkom niesamowitego kolorytu, zaiste sejmowa Warszawa była miastem niezwykłym, stając się na te kilka tygodni tym, czym powinna być przecież na co dzień - centrum ludnego i wciąż potężnego królestwa.

Porucznik skręcił do bocznej furty i wszedł w mięt-dzymurze. Wrota barbakanu były rozwarte na oścież, a żelazna krata uniesiona. W czasie sejmu władze miejskie rezygnowały z tego typu kłopotliwych zabezpieczeń.

Joachima uderzył smród bijący z miejskiej fosy. Wstrzymał oddech i wyszedł na plac Freta. Przy kościele Dominikanów minął dwóch szlachciców taszczących pod ramiona spitego do nieprzytomności kompana, a potem wkroczył w uliczkę wiodącą ku Nowemu Miastu. Jako że o tej porze główne wejście do domu, gdzie kwaterował, było już zawarte, minął rynek, po czym skręcił w zaułek biegnący na tyłach posesji.

Nie uszedł dziesięciu kroków, kiedy zza załomu bramy wyszła ku niemu niewiasta odziana w delię. Sposób, w jaki się poruszała, z miejsca ujawniał uprawianą przez nią profesję. Dziewka posłała mu śmiałe spojrzenie i uśmiechnęła się, pokazując zdrowe, białe zęby.

Przystanął z zaciekawionym: młódka wyglądała na nie więcej niż piętnaście wiosen, do tego była urodna, o zielonych oczach, drobnym, kształtnym nosku i stworzonych do pieszczoty ustach. Wszystko to okolone kasztanowymi lokami. Hirsz nie przypominał sobie, by podobna piękność pracowała dla Ślepaka.

- Weź mnie ze sobą, słodka panie, drogo nie wezmę - rzekła ze wschodnim akcentem i rozchyliła delię. Miała pod nią tylko kuszą płócienną koszulę.

Wzrok Joachima opadł na białe, jędrne piersi, w innych okolicznościach zapewne uległby pokusie. Uniósł spojrzenie, duże oczy wpatrywały się weń wyczekująco. Dostrzegł sporego

siniaka po lewej stronie twarzyczki; jeśli dziewczynki Ślepaka zobaczą ją tutaj, niechybnie nie skończy się na stłuczeniach.

- Czysta jestem, panie, francy nijakiej nie mam - zapewniła z dumą, opacznie odczytując jego zamyślenie.

- Masz opiekuna? - zapytał porucznik.

- Nie, panie. Jam tu nowa.

- Nie powinnaś się tu kręcić. Jeszcze jaka krzywda cię spotka.

Wzruszyła szczupłymi ramionami.

- Jeść trza i za kąt w izbie płacić.

Porucznik objął młodkę szacującym spojrzeniem. Była naprawdę ładna. Jeśli szybko nie znajdzie opiekuna, pójdzie na zmarnowanie. Szkoda by było. Wprawdzie Ślepak skarżył się podczas ich ostatniej rozmowy, że ma już za dużo dziwek, ale tą raczej nie wzgardzi, młodka, z jej młodością i urodą mogłaby posługiwać w łaźni. Myśl ta nadzwyczaj spodobała się Hirszowi.

- Przyjdź w południe pod łaźnię tu, na rynku. Znam właściciela i polecę mu, by cię przyjął na próbę. Klienci przychodzą tam wymagający, więc będziesz musiała dołożyć starań i czynić wszystko, jak przykażą. Spodobasz się, to zapomnisz o szlifowaniu bruków, a i godziwie zarobisz.

Dziewka spojrzała nań jakoś tak dziwnie i naraz rzuciła się Joachimowi na szyję.

- To zasadzka. Dwóch z tyłu, jeden w przejściu - szepnęła, a potem odsunęła się odeń gwałtownym ruchem i umknęła w bok.

Gdyby nie ostrzeżenie, nie usłyszałby go na czas. Ospowaty, wysoki kurwisyn był cichy jak szczur. Hirsz nie miał czasu, by rozpiąć płaszcz, o sięgnięciu po broń nie było nawet mowy. Uchylił się przed ciosem solidnej pałki i kopnął zbira w krocze. Podbicie buta trafiło w cel z plaśnięciem. Oprych jęknął, wybałuszył oczy i runął na kolana. Porucznik nie miał czasu, by podziwiać skutki trafienia. Kątem oka dostrzegł ruch ręki drugiego napastnika. Skręcił ciało w bok, by uniknąć noża. Nie dość szybko. Ostrze trafiło w cel i przecięło płaszcz, od łopatki po pachę. Hirsz zrobił mały krok, uderzył z łokcia w kanciastą szczękę i nie patrząc na efekt, odskoczył w bok, by zyskać dystans.

Trzeci z oprychów przewidział ów zamiar. Dobiegł z obnażonym ostrzem, wykonując krótkie, szybkie pchnięcia. Joachim cofnął się, unikając o kciuk trafienia w pachwinę. Rozpaczliwie zablokował dłonią nadgarstek napastnika i zacisnął na nim palce. Skupiony na obronie przed ostrzem nie uniknął kolejnego mocnego ciosu. Twarda jak cegła pięść trafiła go w czoło i ześlizgnęła się po czaszce, mimo to nie rozluźnił chwytu, zaciskał palce, nawet kiedy kolejne uderzenie omal nie zbiło go z nóg.

Zbir zaklął i znów spróbował użyć noża, jednak porucznik nie dał mu już okazji. Lewa ręka wystrzeliła niczym żmija i dwa sztywno wyprostowane palce trafiły w oczodoły bandyty. Ten zachwiał się, tracąc przewagę. Joachim wykorzystał szansę na kontratak, nie zwalniając ucisku na trzymającej nóż ręce, uderzył mężczyznę w nos. Trafienie odrzuciło głowę oprycha w tył, odsłaniając grdykę, Hirsz więc, nie tracąc czasu, kantem dłoni walnął w wystającą chrząstkę.

Zbir zacharczał i bezwładnie się cofnął. Porucznik wykręcił blokowany nadgarstek, wyrwał nóż z grubo ciosanej dłoni i jednym pchnięciem od dołu wbił ostrze pod mostek. Mężczyzna wytrzeszczył oczy i osunął się na kolana.

Porucznik nie poświęcił mu więcej uwagi, gdyż jeden z powalonych wcześniej opryszków rzucił się nań z impetem szarżującego buhaja. Hirsz cofnął się o dwa kroki, unikając mocnych, lecz przewidywalnych pchnięć. Przy trzecim kroku to on zaatakował; zbił swoim nożem ostrze rozwścieczonego bandyty, wszedł w półdystans i z całej siły kopnął w zewnętrzną stronę kolana.

Rzepka wyskoczyła z ledwie słyszalnym chrupnięciem. Oprych zachwiał się i padł na ziemię, zawodząc z bólu. Joachim kopnięciem wytrącił mu ostrze z dłoni, a drugim w twarz dokończył dzieła.

Błyskawicznie obrócił się ku trzeciemu z bandytów i ruszył na niego z wściekłym warknięciem. Ospowaty, choć podniósł się już po ciosie w krocze, nie wyglądał na skorego do dalszej walki. Cisnął w porucznika pałką i nie patrząc, czy trafił w cel, począł uciekać, jakby goniło go stado biesów.

Hirsz uchylił się przed wirującym pociskiem, po czym po kilku krokach zaprzestał pogoni. Rozejrzał się po uliczce, jak zwykle w podobnych przypadkach miasto robiło się dziwnie opustoszałe. Dziewka zniknęła również, ale przecucie mówiło Hirszowi, że będzie jutro czekała w umówionym miejscu.

Przesunął wzrokiem po zasłoniętych szczelnie oknach, choć było zbyt ciemno, by cokolwiek dostrzec. Rozejrzał się po ziemi, szukając kapelusza. Odnalazł go pod ścianą, otrzepał i nasunął na czoło. Dopiero wówczas powrócił do czołgającego się po ziemi oprycha.

Mężczyzna wbił weń przerażone spojrzenie.

- Litości - wychrypiął błagalnie.

Hirsz pochylił się nad nim i przeciągnął ostrzem po odsłoniętym gardle. Przez kilka uderzeń serca wpatrywał się w uchodzącą chluśnięciami krew, a potem rzucił nóż w szybko rozlewającą się kałużę.

Wyprostował plecy i odetchnął głęboko. Wcisnął głębiej kapelusz na głowę, rozejrzał się ponownie po opustoszałym zaułku, po czym ruszył szybkim krokiem ku kwaterze.

Bystre, czujne oczy o lekko zaniepokojonym spojrzeniu odprowadziły instygatora do wylotu zaułka.



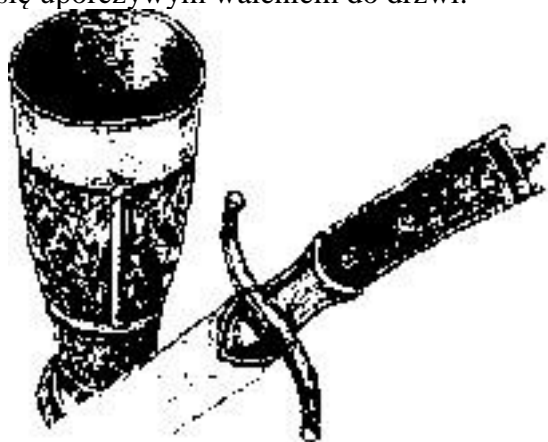
Gintras Millke potarł w zamyśleniu miękką podbródek, to, co zobaczył przed chwilą, zmuszało do zastanowienia. Podniósł się z płaskiego dachu, na którym leżał, i podszedł do jego krawędzi. Szopa miała wysokość dwóch metrów, mimo to zeskoczył bez wahania, opadając na ziemię z gracją ociężałego kocura. Wyprostował się i ponownie spojrzał w ślad za Hirszem. Brutalność, z jaką ten rozprawił się z napastnikami, nakłaniała do ostrożności przy podejmowaniu dalszych kroków.

Zerknął z pogardą na oprychów leżących w kałużach krwi, miał pewność, że drugi raz nie popełni podobnego błędu. To jednak była sprawa na potem. Wpierw musiał odszukać ospowatego i uciszyć go na zawsze. Gintras wiedział doskonale, że zbir zaszyje się w jakiejś norze, liżąc rany i klnąc człowieka, który go wynajął do tej roboty. Poczł znajome mrowienie w palcach, a wydatne wargi rozciągnął nikły uśmiech.

Odnajdywanie ludzi, którzy nie chcieli, aby ich odnaleziono, było kolejnym z licznych talentów Gintrasa Millkego.

Rozdział IX

Obudził go odległy grzmot. Hirsz ocknął się, uniósł ciężkie powieki i wbił wzrok w lekko wirujący sufit. Ostre słońce, wpadające do izby przez niezastłonięte okno, boleśnie za-kłuło źrenice. Joachim zmrużył oczy. Łoskot powtórzył się. To, co we śnie brał za nawałnicę, okazało się uporczywym waleniem do drzwi.



„Kogo niesie, do czarta?”

Podniósł głowę; sądząc po kącie padania promieni słonecznych, nie było jeszcze siódmej, mimo to łomot powtórzył się, tym razem w akompaniamencie wzburzonego głosu.

- Waszmość, wiem, żeś tam jest. Rozmawiałem ze służącą.

Joachim sklął w duchu gadatliwą dziewczkę i obiecał sobie, że przy najbliższej okazji złoi jej tyłek. Usiadł na łóżku, krzywiąc twarz w bolesnym grymasie. Od starcia z oprychami minęły dwa dni i rana od noża wciąż rwała jak diabli przy każdym gwałtowniejszym ruchu. Wczorajsza próba znieczulenia się za pomocą wina zakończyła się połowicznym sukcesem. Jedno przestało boleć, a drugie zaczęło.

Walenie do drzwi przybrało na sile. Hałas odbił się bolesnym echem w jego głowie.

- Już idę - krzyknął chrapliwym głosem.

Opuścił stopy na podłogę i sięgnął po spodnie, naciągnął je na siebie. Podniósł się ze stęknięciem, dopiął pas, po czym niechętnie podszedł do drzwi i zerknął przez judasza. Ku swemu zdziwieniu ujrzał szczupłą, okoloną czarnymi włosami twarz ojca Rytla.

Porucznik odsunął rygiel, uchylił drzwi.

- Wie ojciec, która to godzina? - burknął z pretensją, czując na sobie intensywne spojrzenie zażawionych oczu.

- Siostra Joanna zniknęła - rzekł zrozpaczonym tonem natręt.

Hirsza zatkanęło.

Kapłan wykorzystał ten moment, aby wsunąć się do izby z wprawą człowieka, który wciskanie się przez uchylone drzwi opanował do perfekcji. Kulejąc lekko, podszedł do krzesła, zdjął płaszcz z ramion i przerzucił go przez oparcie. Rozejrzał się po pomieszczeniu. O jeden oddech za długo patrzył na obdrapany kufer stojący pod ścianą. Porucznik zmierzył gościa podejrzliwym spojrzeniem.

Rytel odwrócił wzrok, po czym usiadł na krzesle.

- Byłem tu wczoraj kilka razy, ostatni raz przed zmierzchem, ale nie zastałem waści - odezwał się niemal oskarżycielskim tonem.

- Służba nie druźba - odparł Joachim, czując przy tym przykrą suchość w gardle.

Podszedł do kredensu i zdjął z półki butelkę węgryna.

- Napijcie się wina? - zaproponował.

Rytel uniósł cienką brew i pokręcił przecząco głową. Porucznik wzruszył ramionami, wyciągnął zębami korek i ignorując zniesmaczone spojrzenie kapłana, tęgo pociągnął. Cierpki trunek przyjemnie spłynął po przełyku. Joachim westchnął z zadowoleniem, odstawił butelkę na stół, przesunął bliżej rozmówcy drugie krzesło i usiadł ciężko.

- Mówcie, co się stało?
- Siostra Joanna od przedwczoraj nie powróciła do klasztoru.

Hirsz otworzył usta, chcąc zapytać, czy często jej się to zdarza, ale na czas ugryzł się w język. Zakonnik musiał jednak coś wyczuć, gdyż sam udzielił wyjaśnień:

- Siostra Joanna wyszła z klasztoru jeszcze przed nocą. Nie znam przyczyny, ale zdarzyło się to pierwszy raz.

- Wiesz, wielebny ojcze, dokąd mogła się udać?

Jezuita zaprzeczył ruchem głowy. Z jego zaszklonych oczu wyczerała autentyczna rozpacz. „Gdyby nie sukienka duchowna, można by pomyśleć, że tych dwoje łączy całkiem przyziemne uczucie”, pomyślał Hirsz.

- To wszystko jest dla mnie takie niepojęte - rzekł Rytel pełnym bólesci głosem.
- Czy siostra miała jakichś wrogów? Może ktoś ostatnimi czasy jej groził?
- Na Boga, nie! - zaprzeczył gorliwie zakonnik, lecz wprawne ucho Joachima

wychwyciło fałszywą nutę.

Milcząc, przypatrywał się jezuitcie, który sięgnął do wewnętrznej kieszeni płaszcza, wyciągnął kopertę i położył na stole, umykając tym samym przed przenikliwym spojrzeniem porucznika.

- To lista ludzi, z którymi miała kontakt siostra Matylda. Tak jak prosiłeś, mości instygatorze.

„Lepiej późno niż wcale”.

- Ile nazwisk?
- Blisko setka.

Porucznik sapnął ciężko i wyciągnął rękę po butelkę, lecz zatrzymał się w pół ruchu przygwożdżony wzrokiem zakonnika. Tak właśnie musiał patrzeć stary Lot na Sodomę.

- Myślałem, że waszmość mi pomożesz - wypalił Rytel oskarżycielskim tonem. - Przecież to święta niewiasta. A tu...

Nie dokończył, nie musiał, Joachim cofnął bowiem dłoń od flaszki i klnąc w duchu świątobliwego ojczulka, podniósł kopertę. Obejrzał ją ze wszystkich stron, ale nie otworzył. Rytel wykrzywił wargi z ledwie skrywaną wzgardą, po czym z wyraźną niechęcią sięgnął do drugiej kieszeni i rzucił na stół ciężką sakiewkę.

Hirsz uniósł brew.

- A to cóż?

- Drobne zadośćuczynienie za czas i trudy, co je waszmość poniesiesz przy odnalezieniu siostry Joanny.

Porucznik uniósł otwarte dłonie.

- Ależ nie trzeba, ojcze. Ta sprawa z urzędu należy do mych obowiązków.

Wzrok spowiednika óparł się na opróżnionej do połowy butelce z winem. Grymas malujący się na szczupłym obliczu dobitnie świadczył, co zakonnik myśli o podejściu Hirsza do urzędowych obowiązków, szybko jednak został zastąpiony wymuszonym uśmiechem.

- Proszę, instygatorze. Czas nagli.
- Cóż, skoro wielebny nalega.
- Nalegam - wycedził ojciec Mieczysław przez zaciśnięte zęby, wyraźnie tracąc nerwy. Joachim zgrabnym ruchem przysunął sakiewkę do siebie.

Rytel podniósł się pospiesznie z krzesła, przerzucił płaszcz przedramię i pożegnał się nerwowym skinieniem głowy. Kuśtykając, podszedł do drzwi i zamknął je za sobą.

Joachim siedział nieruchomo, wsłuchując się w cichnące skrzypienie schodów. Ciekaw, na ile to go wyceniono, odłożył list na blat i sięgnął po trzos, rozsypał sznurki. Serce zabiło mu zwawiej, przechylił woreczek nad stołem, usypując niewielki kopczyk złota. Przez kilka oddechów wpatrywał się w lśniący metal. Miał przed sobą całkiem pokaźną sumkę. Więcej, niż wynosił jego kilkumiesięczny żołąd na państwowej służbie. Ten oficjalny, rzecz jasna. Rytel musiał być naprawdę zdesperowany. Porucznik znów zaczął zastanawiać się, czy wielebną i spowiednika nie łączy coś więcej niż tylko żarliwość religijna. Takie historie się zdarzały dość często, gdy niewiasty zamykano w klasztorach wbrew ich woli i temperamentowi. Nie wspominając już o tym, że przykład niezgodnego z naukami Kościoła życia szedł od samych purpuratów.

Instygator wsypał monety na powrót do sakiewki, odłożył ją na bok i sięgnął po kopertę. Przez chwilę obracał szorstki papier w palcach. Czekają go mnóstwo roboty.

Przełamał pieczęć, rozprostował papier i od niechcenia przemknął spojrzeniem po kolumnach drobnych liter. Wśród dziesiątek anonimowych nazwisk dostrzegł również kilka mu znanych, lecz tylko jedno z miejsca przykuło jego uwagę.

Nazwisko człowieka, w którego pogrzebie uczestniczył przed paroma dniami.



Nad rynkiem Starego Miasta unosił się niepomierne hałas. Hirsz zatrzymał się u wylotu Nowomiejskiej, obserwując kłębiący się na placu tłum.

Wokół ratusza było gęsto od garkuchni, namiotów i prowizorycznie stawianych szop, gdzie spała czeladź tych posłów, którzy obrali na kwatery przyrynkowe kamienice.

Obowiązek udzielania tychże kwater był najuciążliwszą i najczęściej przeklinaną przez bogaczy niedogodnością wynikłą ze stołecznego charakteru miasta. Wielu właścicieli posesji tu usytuowanych starało się za pomocą znajomości czy łapówek otrzymać przywilej zwalniający z tego obowiązku. Zwykle kończyło się na samych staraniach, gdyż otrzymanie stosownej dyspensy, opatrzonej pieczęcią królewską, graniczyło z cudem.

Wszelako mniejsze i większe niedogodności bla-kły wobec korzyści czerpanych przez mieszczan podczas tygodni sejmowania. Zgromadzona tysiącami brać szlachecka pochłaniała każdy wystawiony na sprzedaż towar. To w dniach sejmku wykuwały się nowe mody na strój, fryzurę czy ozdoby. Tu każdy podpatrywał każdego, by wróciwszy do siebie, błysnąć w powiecie jakąś nowinką.

Porucznik przez chwilę rozważał, czy nie ominąć rynku, ale szybko odrzucił tę myśl, na sąsiednich ulicach wcale nie było mniej tłoczno. Chłodne powietrze przegoniło już resztki porannego kaca. Hirsz dopiął płaszcz i ruszył, niespiesznie przeciskając się przez ciżbę. Wydostawszy się z rynku, wkroczył w ulicę Świętego Jana. Minął po lewej Kolegiatę, pod której wrotami tkwiło kilku żebraków, i zatrzymał się przed trzypiętrowym budynkiem o bogato zdobionej elewacji. Pokonał niskie schodki, chwycił kołatkę i trzy razy opuścił na solidne drzwi. Po chwili w wizjerze ukazała się gęsta brew i wyzierające spod niej czujne oko.

- Pana nie ma - burknął znany mu męski głos.
- To ja wiem, Alojz, byłem na pogrzebie - odparł Hirsz cierpkim tonem. - Przyszedłem właśnie w tej sprawie.

Po drugiej stronie zapadła głucha cisza. Minęły dobre dwie zdrowaśki, nim rygle odskoczyły, zawiasy skrzypnęły i jedno z wierzei rozwarło się na oścież. W progu stanął odziany w żałobę, chudy jak tyczka mężczyzna. Obrzucił instygatora nieufnym spojrzeniem.

- Hutman już był i wszystko obaczył - oznajmił sługa, nie zmieniając hardego tonu nawet na jotę.

Hirsz zignorował tę uwagę.

- Jest w domu pan Sebastian?

- Jest.

- Zatem prowadź.

Sługa z ociąganiem przepuścił porucznika przez próg i po chwili namysłu zaprowadził go do obszernego gabinetu na piętrze. Potem poszedł powiadomić swego pana

o niespodziewanej wizycie.

W pomieszczeniu panował półmrok i zaduch. Hirsz od razu wyczuł emanujące ze ścian cierpienie i strach. Ktoś niedawno umarł w tym gabinecie i bynajmniej nie była to śmierć lekka ani spokojna. Porucznik podszedł do okien, rozsunął zasłony i wpuścił orzeźwiające powietrze. Spostrzegł również, że przy prawej kotarze brakuje sznura. Przeszedł obok masywnego biurka z ciemnego dębu

1 zatrzymał się pod pięcioramiennym żyrandolem. Uniósł głowę i dokładnie przyjrzał się zaczepom podtrzymującym pająka. Następnie wbił wzrok w dywan pod nogami. Po chwili dostrzegł to, czego szukał - ktoś szorował kobierzec, używając zbyt dużo wody oraz ługu. Przykucnął i dotknął palcami skołtunionej powierzchni.

Wizja rozbłysła bólem. Wpierw pojawił się smród, jaki zwykle towarzyszy wisielcom. Chwilę później Joachim ujrzał mężczyznę dyndającego tuż nad nim. Domowe pantofle, z których ściekała uryna i ekskrementy, dotykały niemal czoła porucznika. Hirsz uniósł wzrok i zatrzymał spojrzenie na napuchniętym obliczu. Zaśli-nione usta wisielca otworzyły się i padło z nich wypowiedziane szeptem słowo. Porucznik wpatrywał się w sine wargi, próbując odgadnąć sens.

Szarpięcie znajomego bólu i powrót do rzeczywistości.

Wszystko trwało nie dłużej niż trzy oddechy. Odczekał, aż ustąpi łupanie w skroniach, po czym stanął na nogi. Spojrzał na portret Karola Widawskiego wiszący nad masywnym sekretarzem. Malowidło przedstawiało mężczyznę po pięćdziesiątce, o mocnej szczęce i ciemnych oczach patrzących znad rzymskiego nosa. Widawski był jednym z najlepiej opłacanych prawników w mieście. Jego wpływy sięgały nie tylko ławy miejskiej, ale i sądu jurydycznego dla szlachty. Przez długie lata cieszył się łaskami króla Władysława. Czy taki człowiek popełnia samobójstwo?

Dalsze rozmyślania przerwał odgłos opadającej klamki. W otwartych drzwiach ukazał się syn zmarłego, Sebastian Widawski, również prawnik i spadkobierca rodzinnej fortuny. Zmierzył intruza nieufnym spojrzeniem ciemnych oczu.

Hirsz nie musiał się przedstawiać, odwiedzali te same burdele.

- Co waszmość pana sprowadza? - zapytał gospodarz tonem sugerującym, że instygator nie jest mile widzianym gościem w tym domu.

Joachim postanowił nie kluczyć.

- Pośrednio sprawa waszego ojca.

- Co masz waść na myśli? To był nieszczęśliwy wypadek - w głosie młodzieńca zabrzmiało wcale nie skrywane ostrzeżenie.

- Z udziałem sznura od zasłon - rzekł porucznik z ironią, wskazując na okno.

Młody Widawski zbladł.

- Skąd wiesz? Od hutmana? Sukinsyn miał trzymać język za zębami.

Hirsz obojętnie wzruszył ramionami.

- Nawet go nie widziałem od pogrzebu. Po prostu połączyłem fakty, to moja profesja.

- Tak, ojciec wspominał, żeś niezrównany w swym fachu. - Zimne oczy wbiły się w

twarz oficera. - Jednak nic tu, panie Hirsz, po tobie. Ojciec kilka dni temu spoczął na cmentarzu w poświęconej ziemi. Sam kanonik warszawski prowadził mszę żałobną i święcił ciało. Wielu ludzi byłoby bardzo niezadowolonych, gdyby rozeszły się po mieście pogłoski o rzekomym samobójstwie.

Hirsz szybkim krokiem podszedł do młodzieńca i spojrzał mu w oczy.

- Gównu mnie obchodzi niezadowolenie waszych kumotów. Myślę, że wasz rodziciel nie był typem człowieka, który rozstałby się z życiem w ten sposób. Chyba że chorował śmiertelnie. Chorował?

Sebastian Widawski zamilkł. Z rozpaczą potrząsnął głową.

- Jeszcze dziesięć dni temu, nim wyjechałem do Lublina, czułem się znakomicie. Panie Hirsz, w żaden sposób pojąć tego nie potrafię.

- Może ktoś mu pomógł rozstać się z życiem?

- Też tak pomyślałem - rzekł ponuro młodzieniec. - Dlatego wezwałem hutmana. W mojej obecności przesłuchał służbę, obejrzał gabinet. Nikt poza Alojzem nie rozmawiał tego dnia z ojcem. Poza tym na ciele nie było żadnych śladów przemocy. Wszystko wskazuje, że...

Zamilkł i znacząco spojrzał na żyrandol.

Hirsz podrapał się w zamyśleniu po szczecinie porastającej szczękę.

- Wasza kancelaria prowadzi sprawy siostr od kanclerza Ossolińskiego?

Młodzieniec przytaknął.

- Ojciec zajmował się tym procesem osobiście.

- O co tam chodziło?

- Wiesz przecież, panie Joachimie, że nic rzec nie mogę. Tajemnica zawodowa.

Hirsz spojrzał wymownie w miejsce, gdzie powinien wisieć brakujący sznur od zasłon.

Młodzieniec pojął w mig ów bezsłowny szantaż. Skrzywił brzydko twarz i spojrzał na porucznika z wyrzutem.

- Mało masz, waszmość, wrogów, by jeszcze mnie dołączyć do tego licznego grona?

Hirsz wbił w młodzieńca poważny wzrok.

- Śmierć twego ojca nie jest odosobnionym przypadkiem - rzekł, licząc, że adwokat połknie rzucony mu haczyk. - Niedawno zamordowano zakonnicę z owego zgromadzenia, a teraz zaginęła ich przeorysza.

Sebastian zmarszczył czoło, wyraźnie zaskoczony.

- Uważasz, że te wypadki coś łączą?

- Być może, ale jeśli będziesz zatajał informacje, nigdy się tego nie dowiemy.

Na obliczu prawnika odbiło się wahanie.

- To niezwykle ponura historia - rzekł w końcu. - Pewien szlachcic złożył w naszej kancelarii testament. - Adwokat bezwiednie ściszył głos: - Potem ten człowiek targnął się na własne życie, zamordowawszy w pierw rodzzonego syna.

Hirsz nie krył zaskoczenia. Cała ta sprawa robiła się coraz bardziej makabryczna.

- Cóż to za szlachcic? - zapytał adwokata.

Sebastian wzruszył barkami.

- Nikt ważny. Jeden z tych, co uciekli przed Kozakami, Zygmunt Szeptycki mu było. Udało mu się uratować niejaki majątek w gotowiźnie i klejnotach, a i tu, pod Warszawą, dwór nielichy posiadał jako spadek po rodzinie swej pierwszej żony.

- Wiele z tego zapisał klasztorowi?

- Wszystko, o ile wiem.

- Miał jakąś rodzinę poza synem?

Adwokat przytaknął ruchem głowy.

- Żonę, młodą, co ją ledwie kilka miesięcy wcześniej poślubił. Teraz pani Szeptycka dworu nie chce oddać, a i na gotowiźnie rękę położyła.

- No to proces macie wygrany - stwierdził Hirsz.

- Problem w tym, że testamentu nie ma - odparł wyraźnie skonfundowany Widawski. Hirsz zastygł zdumiony.

- Jakże to?

Adwokat wzruszył ramionami.

- Od kilku dni przeglądam księgi i nie ma po nim śladu. Jenó wpis się ostał, że takowy testament został spisany. Starszy nad kancelarią również nic o tym nie wie... - zamilkł na kilkanaście uderzeń serca. - Chyba że ojciec schował gdzieś ów akt osobiście? W jakim celu jednak by to uczynił, doprawdy nie wiem.

Przed oczami Joachima pojawił się ponownie obraz wisielca, nabrzmiałe wargi poruszały się w bezgłośnym szepcie. Ledwie powstrzymał cisnące mu się na usta przekleństwo. Wszystko to zaczynało cuchnąć czarną magią.

- Wspominałeś, że w dniu wypadku ojciec nie spotykał się z nikim poza domownikami? - zapytał adwokata.

- Alojzy tak twierdzi, a ja mu wierzę, służy w naszej rodzinie, odkąd pamiętam.

- Mogę z nim porozmawiać?

- Jeśli chcecie.

Młody Widawski podszedł do drzwi i zawołał. Sługa, jak się okazało, czekał na korytarzu, co znaczyło, że w pierwotnym zamierzeniu rozmowa nie miała trwać długo. Alojzy zamknął za sobą drzwi. Spojrzał niepewnie na instygatora.

- Czy ktoś odwiedził tamtego dnia pana? - Joachim z miejsca przeszedł do rzeczy. Oblicze starego poczerwieniało.

- Już mówiłem hutmanowi, wielmożny pan nikogo nie przyjął.

Hirsz chciał zadać kolejne pytanie, lecz nagle pojął sens usłyszanego zdania.

- A więc był ktoś, kto chciał spotkać się z panem?

Czoło sługi przecięły bruzdy.

- Był - przyznał z wahaniem - ale odprawił go ode drzwi.

- Znasz go?

- Nie, panie. - Alojzy zaprzeczył ruchem głowy.

- Mówił, po co przyszedł?

- Nie, tylko że musi się widzieć pilnie z panem.

- Ale nie wszedł do domu?

Bruzdy na czole sługi pogłębiły się.

- Nie wszedł, panie, jak mówiłem.

W pozornie pewnym tonie głosu porucznik wychwycił nutę niepewności.

- Jak ubrany był ten człowiek? Jak wyglądał?

- Co? - Alojzy uniósł oczy, malowało się w nich całkowite niezrozumienie.

- Czy był wysoki, czy niski, stary czy młody? - naciskał Hirsz. - Jaki kolor miał jego płaszcz, czy nosił kapelusz?

Na wychudłym obliczu pojawiła się nagle bezradność.

- Pytałeś pana, czy go przyjmie? - napierał instygator.

- Ja... ja nie wiem - wyszeptał nagle stary.

Naraz Joachim zamilkł, uświadomiwszy sobie, że Alojz wcale nie określa płci tajemniczego petenta.

- Czy to była kobieta?

Na czoło sługi wystąpiły poty.

- Nie pamiętam, waszmość - wydusił z siebie żalonym tonem.

Hirsz spostrzegł kątem oka, że Sebastian uczynił krok w kierunku Alojza. Powstrzymał go gestem dłoni.

- Zwykle pamięć masz dobrą? - zapytał sługę.

Mężczyzna tylko skinął głową i zgarbił się, jakby na jego barki opadł niewidzialny ciężar. Joachim wierzył staremu. Alojz mówił prawdę. A raczej to, co za tę prawdę uważał.

- Możesz iść - odprawił sługę.

Stary zawahał się, podniósł zawstydzone oczy na swego pana. Ten zwolnił go oschłym gestem dłoni.

Gdy zostali sami, Sebastian Widawski spojrzał zaintrygowany na instygatora.

- Gdy pytaliśmy go z hutmanem, nie wspomniał nic o tej wizycie. Wprawdzie pytaliśmy go, czy ktoś spotkał się z ojcem, ale mimo to... - przerwał skonfundowany.

Hirsz przez kilka uderzeń serca zastanawiał się, czy powinien wyjawić młodzieńcowi swe podejrzenia. Odrzucił tę myśl. Zbyt wielu ludzi zginęło przez kontakt z tą sprawą.

- Pamięć ludzka bywa zawodna, czasem trzeba pobudzić ją odpowiednim pytaniem. W szoku ludzie często zapominają o rzeczach, które wydają się im mało istotne. Jako prawnik spotykasz się z tym na co dzień.

- To prawda - przyznał niechętnie młodzieniec.

- Gdzie jest dwór Szeptyckiego? - zapytał porucznik.

- We wsi Gorce, nad Rudawką. Jedzie się traktem...

- Wiem, gdzie to jest - oznajmił Hirsz.

Widawski rzucił instygatorowi badawcze spojrzenie.

- Sądzisz waść, że ona może mieć coś wspólnego ze śmiercią ojca?

- Zapewne to tylko przypadek - odparł Joachim, starając się, by jego głos zabrzmiał wystarczająco pewnie.

Jednocześnie w duchu postanowił, że jeszcze tego dnia odwiedzi młodą wdowę.



Opuścił kamienicę Widawskich tylnym wyjściem i skręcił w zaułek łączący się z ulicą Świętego Marcina. Upewnił się jeszcze, że nikt za nim nie idzie, wtopił się w tłum wiernych opuszczających po mszy kościół Augustianów, po czym skierował się szybkim krokiem w stronę barbakanu, a następnie pod kościół Świętego Ducha.

Pod świątynią jak zwykle wystawało pełno żebraków. Porucznik zignorował żalose błagania i podszedł do siedzącego na schodach ślepcy, który podniósł głowę, zwracając blade, zasnutą błoną oczy na Hirsza. Sękata dłoń uniosła drewniany kubek.

- Daj, dobry człowieku, grosz weteranowi.

Porucznik sięgnął do mieszka, wysupłał jedną z monet otrzymanych od Rytla i rzucił do naczynia. Ślepiec drgnął, gdy złoto wydało charakterystyczny dźwięk.

Joachim pochylił się nad uchem żebraka i szeptem, w trzech zdaniach wyluszczył sprawę. Gdy mówił, przez twarz ślepcy nie przemknął nawet nikły ślad zainteresowania. Joachim był jednak spokojny, że każde słowo dotrze do kogo trzeba.

Dopełniwszy rzeczy, ruszył w kierunku przydomowych stajni.



Z łożonych chmur sywał mokry śnieg. Szybko topniejące płatki opadały na nieruchomą sylwetkę niskiego, korpulentnego mężczyzny tkwiącego w wąskim prześwicie

między dwiema ruderami.

Gintras Millke stał oparty plecami o ścianę jednego z kurników, niemal całkiem wtapiając się w pochmurną szarość wieczoru. Jako że spadzisty, kryty strzechą dach nie dawał odpowiedniej ochrony przed zacinającym wiatrem i sypiącym w oczy śniegiem, co jakiś czas wolną dłonią przecierał oczy z wilgoci. Drugą dłoń miał zajęętą trzymaniem kuszy, opartej dla wygody o wystające łączenie drewnianych bali.

Czujne oczy Litwina obserwowały drzwi gospody stojącej po drugiej stronie ulicy. Pan Millke z zazdrością wsłuchiwał się w knajpiany gwar. Lata uprawiania zawodu nauczyły go jednak, że w tej robocie najważniejsze są metodyczność i opanowanie, a zdolności i szczęście to tylko użyteczne dodatki. Czekał więc, marzył i mókł, całą uwagę skupiając na obserwacji wychodzących z budynku ludzi. Drzwi po raz kolejny otworzyły się i w progu pojawił się jakiś człowiek. Pan Millke zmrużył oczy z nadzieją.

I tym razem nie. To nie był on.

Zacisnął wargi w ponurym grymasie i zdjął palec ze spustu uniesionej do strzału kuszy. Choć nie krył się z bronią, zdawał się nie przejmować faktem, że któryś z przechodniów zobaczy go w tak niejednoznacznej sytuacji. I rzeczywiście, ludzie mijali tkwiącego w szarówce zaułka mężczyznę, zupełnie nie zwracając nań uwagi. Z rzadka zdarzało się, że ktoś spojrział dłużej w prześwit. Osoba taka zwykle marszczyła czoło, a w jej oczach pojawiało się zaskoczenie, błyskawicznie zastąpione przez pustkę. Następnie odchodziła chwiejnym krokiem. Zupełnie jakby pan Millke był niewidzialny.

I w pewnym sensie tak właśnie było.

Gintras miał siedem lat, gdy zrozumiał, że może wpływać na zmysły innych ludzi. Czynił to instynktownie, nie pojmując, w jaki sposób to działa. Dla małego, grubego sieroty był to istny dar niebios. Błogosławieństwo, które pomogło mu uniknąć bicia, gwałtów i nieustannego poniżania przez silniejszych uliczników. W wieku dziewięciu lat stał się jednym z najlepszych złodziei w Wilnie. Mając dziesięć lat, po raz pierwszy wykorzystał dar, by zabić człowieka. To doświadczenie na zawsze odmieniło jego życie.

Ze wspomnień wyrwał go ruch w cieniu. Drzwi otworzyły się i wyszedł wysoki mężczyzna. Po sylwetce i sposobie poruszania Gintras rozpoznał ospowatego oprycha. Niemał się uśmiechnął.

Reszta była już tylko czystą przyjemnością.



Ogier zastrzygł nerwowo uszami i prychnął niespokojnie. Porucznik rozejrzał się uważnie po obejściu. Gospodarstwo było opustoszałe i ciche.

Instynkt szeptał mu, że w tym spokoju było coś nienaturalnego. Naraz zrozumiał, w czym rzecz; nigdzie nie widział choćby psów czy kotów. Dopiero gdy podjechał pod sam ganek, z przybudówki wypadł rudowłosy parobek. Lewą stronę twarzy młodzieńca szpeciły paskudne blizny po oparzeniach. Chłopak posłał przybyszowi spłoszone spojrzenie i natychmiast spuścił głowę. „Podobne urazy wypaczają dusze”, pomyślał Joachim ze współczuciem. Zeskoczył z siodła i przywołał służbę gestem dłoni.

Ten zerknął bojaźliwie na ogiera i zbliżył się niechętnie. Hirsz wcale mu się nie dziwił - zwierzę wydymało chrapy i paraskało gniewnie. Uspokoił je, głaszcząc kark. Następnie przyjrzał się uważniej chłopakowi, wyczuwał w nim jakiś mrok, jednak po chwili wrażenie umknęło.

- Pani jest? - zapytał.

Parobek zacisnął usta. Zerknął nerwowo na zasłonięte okna.

- W domu, panie - wydusił przez zęby.

Hirsz poklepał konia po szyi.

- Otrzyj go, nasyp owsa i przynieś świeżej wody ze studni.

Chłopak nie zareagował.

- Nie bój się, teraz nic ci nie zrobi - zapewnił go Joachim zniecierpliwionym tonem.

Młodzieniec ponownie zerknął w okiennice i posmutniał. Podeszedł ostrożnie do wierzchowca i przejął uzdę. Porucznik nie zwracał już na niego uwagi, obrócił się na pięcie, a potem wszedł na ganek. Gdy tylko stanął przed drzwiami, te otworzyły się jak na zawołanie. Ujrzał w nich niską kobietę w prostej czarnej sukni, której kolor tylko podkreślał niezdrową bladość oblicza i siwe włosy. Zimne spojrzenie wodnistych oczu przesunęło się po Joachimie.

- Pani nie przyjmuje - rzekła twardo.

Hirsz pohamował irytację i przywołał na usta współczujący uśmiech.

- Jestem instygatorem starościńskim. Przyjechałem złożyć wyrazy współczucia.

Stara popatrzyła wrogo, wyraźnie nie dając się złapać na lep, ustąpiła jednak miejsca, by mógł wejść do wnętrza domu. Zamknęła podwoje, po czym zaprowadziła go do izby stołowej.

- Powiadomię panią - burknęła, nim zniknęła w sieni, zostawiając otwarte na oścież drzwi.

Hirsz odprowadził służącą rozbawionym spojrzeniem, następnie rozejrzał się po obszernym pomieszczeniu. Umebłowanie było typowe dla tego typu dworów, pośrodku izby stał prostokątny stół otoczony krzesłami. Pozostałe wyposażenie składało się z kredensu elbląskiej roboty, komody i sześciu wielkich kufków. Ściany przyozdabiałały portrety szlachciców, z pewnością przodków świętej pamięci pana Szeptyckiego.

Joachim zatrzymał wzrok na jednym z malowideł. Niedawno położona farba wciąż lśniła nowością. Portret przedstawiał niestarego jeszcze mężczyznę o ciemnych oczach, wysoko podgolonej czuprynie i sumiastych wąsach okalających wąskie, wykrzywione usta. Właśnie ten dziwny uśmiezek zasiał w poruczniku niepokój. Miał nieodparte wrażenie, że ten człowiek zabrał do grobu jakąś tajemnicę. Czy malarz chciał coś w ten sposób przekazać, czy może był to raczej przeblask ukrytego w prowincjonalnym artyście geniuszu?

Z rozmyślań wyrwało go skrzypnięcie deski za plecami. Obrócił się i ujrzał kobietę w żalobie. Pod czarnym strojem kryła się doskonała figura, a śliczną buzię okalały włosy barwy dojrzałej pszenicy. Hirsz zatrzymał dłużej spojrzenie na chabrowych oczach, drobnym nosku i ustach w kolorze kaliny. Oceniał, że wdówka ma nie więcej niżli siedemnaście wiosen.

Zdjął kapelusz i uklonił się dwornie, odpowiedziała skinieniem głowy i wskazała krzesło.

- Siadaj, panie - zaproponowała; miała miły, dźwięczny głos.

Hirsz spoczął, oparłszy się o wysoki zapiecek, kapelusz dla wygody położył na stole.

Wdowa usiadła po drugiej stronie.

- Napijesz się, waszmość? Gorzałki, węgryzna, miodu?

- Proszę wino - odparł.

Szeptycka dała znak służącej. Na stole pojawił się gąsior i dwa cynowe kubki.

Następnie odprawiła staruchę i osobiście rozlała wino do kubków.

Hirsz uniósł naczynie.

- Twoje zdrowie, waćpani.

- I waszmość pana - odpowiedziała toastem.

Skosztował trunku. Był przedni i zapewne kosztowny.

- Przybyłeś waszmość z pozwem? - zapytała cichym głosem.

- Nie, pani.

Błękitne oczy dłużej zatrzymały się na jego obliczu. Odwzajemnił spojrzenie, na co dziewczyna zaczerwieniła się i speszona odwróciła wzrok. Zapadła niezręczna cisza. Hirsz z

doświadczenia wiedział, że jeśli milczysz wystarczająco długo, większość ludzi sama zaczyna mówić. Szeptycka wytrzymała jakieś trzy zdrowaśki.

- Chodzi więc waszmości o tę straszliwą zbrodnię?

Przytaknął ruchem głowy, zerkając mimowolnie na wilgotne karminowe usta.

- Co zatem waść chcesz wiedzieć?

- Wszystko, co ci wiadomo w tej sprawie, pani. Nawet z pozoru nieistotne szczegóły mogą być pomocne.

Oparła łokcie na blacie i splótła palce.

- Najlepiej zatem będzie, jak zacznę od początku - rzekła gorzkim szeptem. - Jestem sierotą. Mój ojciec dzierżawił wieś na Podolu od pana Sieniawskiego. Gdy miałam dwanaście lat, napadli nas Tatarzy. Ojca i sługi ubili podczas walki, a kobiety i większe dzieci powlekli w jasyr. Małuchy porzucili na pogorzelsku na pastwę wilków i lisów. Następnego dnia oddzielono nas, dzieci, od dorosłych i pognano na Krym. Tamtego dnia ostatni raz widziałam matkę.

Chabrowe oczy zwilgotniały, a przez doskonale skrojone usta przemknął smutny uśmiech.

- Szczęśliwy traf chciał, że na Szlaku Kuczmańskim odbił nas z rąk pohańców oddział żołnierzy hetmana Koniecpolskiego. Jednym z nich był Zygmunt Szeptycki. Przygarnął mnie, sierotę, i opłacił naukę u zakonnic. Spędziłam wśród sióstr pięć lat. To było bardzo pouczające doświadczenie - zamilkła, jakby wspominając tamten czas. - Gdy Chmielnicki podniósł bunt - kontynuowała po chwili - Zygmunt posłał sługę do klasztoru i przykazał przywieźć mnie do Lwowa. Stamtąd wraz z wojskiem kniazia Wiśniowieckiego uciekliśmy do Zamościa, a potem tu, do Warszawy. Teresa, pierwsza żona Zygmunta, pochodziła z Mazowsza i kilka lat wcześniej odziedziczyła ten folwark po swym ojcu. Niewiele tego, ale i tak więcej, niż ma większość uciekinierów z Ukrainy. Zresztą biedaczka wkrótce po przybyciu tutaj zmarła, zapewne ze zgrzyoty. Myślę, że nie potrafiła znieść kalectwa syna.

- Co mu było?

- Otrzymał ranę w głowę z kozackiej ręki. Wyżył, lecz nigdy już nie doszedł do siebie. Miewał napady szaleństwa trwające wiele dni. Czasem nie poznawał ojca i matki. Po śmierci pani Teresy to mnie przypadła opieka nad Tadeuszem, a na jesieni Zygmunt niespodziewanie poprosił mnie o rękę.

Zamilkła ponownie, wyraźnie zmagając się ze wspomnieniami.

- Był znacznie starszy - podjęła na nowo wątek - lecz jego serce i dobroć ujęły mnie.

Poza tym nie miałam nikogo innego na całym świecie.

Poprawiła palcami niesforny kosmyk włosów opadający na czoło. Ten drobny gest wywołał u Hirsza ucisk w dołku, niemal zapragnął chwycić ją w ramiona. Wziął się w garść, nie przyjechał tu dla amatorów.

- Śmierć żony oraz tragedia syna musiały wstrząsnąć pani mężem - stwierdził ze współczuciem.

Pokiwała głową.

- Choć nie utyskiwał na swój los, wiedziałam, że w duszy straszliwie cierpi - jej głos załamał się nagle i już z przejmującym smutkiem wyszeptwała: - Jak się okazało, nie potrafił znieść tego dłużej.

Zapadła ciężka cisza.

Porucznik odchrząknął i zapytał:

- Mogę obejrzeć miejsce, gdzie to się stało?

- Oczywiście - zgodziła się bez cienia wahania.

Podniosła się zgrabnym ruchem z krzesła i przesunęła dłońmi po sukni, wygładzając

niewidoczne fałdy materiału.

Przeszli do sieni, skręcili w prawo i zatrzymali się przed zawartymi drzwiami.

- Tutaj zastrzelił się Zygmunt - wskazała na podłogę. Porucznik rozgarnął butem udeptaną słomę. W sieni nawet w dzień brakło światła, musiał więc zmrużyć oczy, by dostrzec ciemniejsze zacieki na deskach. Ukucnął i dotknął krwawego śladu w nadziei na przebłysk widzenia.

Nic się nie wydarzyło. Jego dar spał. Zawiedziony podniósł się na równe nogi.

Pani Szeptycka przypatrywała mu się z zainteresowaniem. Potem wyciągnęła klucz z fałd sukni i otworzyła drzwi - weszła pierwsza. Wewnątrz izby panował zaduch i półmrok.

Hirsz zlustrował pomieszczenie. Pod ścianą stało równo zaścielone łóże z baldachimem. Porucznik od razu dostrzegł na podłodze obszerne, rozarte od szorowania plamy po krwi.

- Wszystko zdarzyło się w nocy - wyjaśniła drżącym głosem. - Zygmunt wszedł tutaj i ciął śpiącego Tadeusza szablą.

Hirsz podszedł do łóżka, odchylił lniane nakrycie. Na sienniku nie było śladów mordu.

- Gdzie jest stary? - zapytał.

- Kazałam spalić, a także pościel, koszulę. Wszystko było we krwi.

Hirsz uniósł siennik i obejrzał deski. Wciąż była na nich zaschnięta krew, musnął opuszkami palców chropowatą powierzchnię. Znow nic.

Wizje pojawiały się niezależnie od jego woli. Przekleństwo lub uśmiech pani Fortuny, zależnie, jak na to patrzeć. Zaklął szpetnie w duchu. Wyprostował grzbiet i obszedł izbę bardziej z rutyny niż w nadziei odkrycia czegokolwiek. Gdy skończył, wrócili do komnaty i wtedy zaskoczyła go po raz pierwszy.

- Zapraszam waćpana na wieczerzę.

Chciał uprzejmie odmówić, lecz przyłożyła mu dłoń do ust.

- Proszę - rzekła prawie błagalnym tonem.

Porucznik zatonął na oddech w błękitcie jej oczu. Skinął głową, choć miał przecucie, że robi gruby błąd.

Siedząc już przy zastawionym stole, przestał żałować, że dał się namówić. Od rana nie miał nic w ustach, a serwowane potrawy były smaczne i świeże. Chrupiący chleb, pieczony kurczak oraz wołowina w sosie grzybowym. Do picia podano wybornego węgryzyna. Również sama gospodyni okazała się osobą miłą i zajmującą.

Rozmawiali wpieryw o zmarłym mężu i ciepłych wspomnieniach związanych z pasierbem. Joachim odniósł wrażenie, że śmierć Tadeusza szczerze nią wstrząsnęła. Jakiś czas potem, gdy ubył wina, pani Szeptycka zaczęła snuć plany na przyszłość, nie kryła, że zamierza sprzedać majątek i wyjechać z Mazowsza. Odrzucał ją pomysł powrotu na Ruś. Dziewczyna marzyła o barwnym świecie i wyrażała pragnienie poznania go z dziecięcą naiwnością. Właśnie ta niewinność urzekła Hirsza.

Porucznik nie pytał o przyczynę, dla której opiekunka oddała młodą dziewczynę do zakonu. Być może powodowała ją zazdrość o dorastającą młodkę, która przecież po jej śmierci wypełniła pustkę w łóżnicy Pana Szeptyckiego. Za to dziewczka nie miała zahamowań w zaspakajaniu swej ciekawości i wypytywała Joachima o życie, jakie prowadzi, czy miejsca, które odwiedził. Wdzięcznie słuchała o jego wyjeździe do Francji i Włoch, udziale w poselstwie do Stambułu. Z rozpalonymi policzkami dowiadywała się o tańce i zabawy, jakim oddają się ludzie w szerokim świecie. A on opowiadał nie bez dumy, bo któryż mężczyzna oparłby się podobnej pokusie.

Ogólnie przyjemny nastrój psuła tylko usługująca przy stole starucha: snuła się wokół nich niczym niemy wyrzut sumienia. Sonka również dostrzegła te fochy i oschłym tonem

odesłała służącą. Ta, wychodząc z salonu, obrzuciła Hirsza spojrzeniem, które zapewne w jej mniemaniu powinno przemienić go w słup soli.

Jednak po opróżnieniu kwarty mocnego węgrzyna Hirsz miał za nic czyjeś nawet najświętsze oburzenie. Czuł w głowie przyjemne, lekkie szemranie, a jego myśli krążyły nieprzystojnie wokół młodej wdówki. Z przyjemnością obserwował, jak dobiera z misy kawałki mięsiwa, macza w sosie i wkłada sobie do ust.

Z przykrością odrzucił pokusę, by okazać większą śmiałość.

Zresztą pani Szeptycka w żaden sposób nie zachęcała go do tego. Owszem, była uprzejma, co jakiś czas posyłała mu przeciągłe spojrzenia, a nawet przysunęła się doń nieco bliżej, niż powinna świeża wdowa, lecz nic poza tym. Joachim wątpił po prawdzie, by kochała starszego o blisko czterdzieści lat męża, lecz jakoś dziwnie brakło mu śmiałości, by sięgnąć po ten słodki owoc.

„Chyba się starzeję”.

Spojrzał za okno. W ciemnościach sypał gęsty śnieg, rozrzucony po podwórzu przez silne porywy wiatru. Skrzywił się w duchu na myśl o czekającym go powrocie do miasta.

Podniósł się z krzesła z ledwie skrywaną niechęcią.

- Na mnie już czas, pani. Dziękuję za gościnę - rzekł uprzejmie.

Zdało mu się, że na jej ustach pojawił się cień smutku.

- Oczywiście, waszmość, jest już późno. - Skinęła głową.

Powstała od stołu i znanym mu już gestem wygładziła dłońmi suknię na biodrach. Wzrok Joachima zatrzymał się o kilka uderzeń serca za długo na ponętnych wypukłościach.

Sonka ruszyła w kierunku drzwi do sieni. Po kilku krokach zachwiała się na nogach. Hirsz wydłużył krok, chwycił ją w ramiona - pachniała czeremchą. Odwróciła się, drobne piersi oparły się słodkim ciężarem o skórzany kaftan, a w pięknych oczach lśniły łzy.

- Czemu? Czemu mnie spotykają te wszystkie nieszczęścia? - zapytała z goryczą i wtuliła twarz w szeroką pierś Joachima, mocząc mu koszulę.

Hirsz przesunął dłoń na jej kark, delikatnie głaszcząc aksamitną skórę. Próbował skupić się na chrześcijańskim współczuciu, lecz ciepło gładkich ud, brzucha i piersi czyniło ową próbę daremną.

Sonka uniosła głowę. Policzki miała zaróżowione, a oddech lekko przyspieszony.

- Nie chcę być dziś sama - wyszeptala, patrząc mu w oczy.

Z wahaniem otoczył ją ramieniem, pochylił głowę i wpił usta w miękkie, słodkie wargi. Ich języki badały się, z początku nieśmiało, lecz z każdym kolejnym oddechem z narastającą żarliwością. Drugą dłonią przesunął po miękkich wypukłościach. Poddała się chętnie jego dotykowi.

- Nie tutaj - powiedziała, gdy ich usta oderwały się od siebie.

- Gdzie? - zapytał ochryple.

- Tam, w alkowie. - Wskazała spojrzeniem na drugie drzwi.

Porucznik chwycił ją wpół, podniósł bez trudu na ręce i zaniósł do łóża.



Obudził się o świcie, nagi w splątanej pościeli.

Długie, rozpuszczone włosy łaskotały twarz i szyję, otworzył oczy i ujrzał Sonkę pochyloną tuż nad nim. Wpatrywała się w niego ze skupieniem, a może smutkiem, nie potrafił rozsądzić tego w półmroku. Uniósł dłoń i tklwym gestem pogładził jej policzek. Uśmiechnęła się nieśmiało, jakby zażenowana tym, że dzień odsłonił zrodzoną w nocy namiętność.

- Nie wiem, jak to się stało - odezwała się drżącym głosem. - Nie powinienam...

- Ciii... - rzekł uspokajającym tonem. - Byłaś cudowna.

Pocałował ją czule w usta; przesunął palcami po chłodnej, gładkiej skórze, sięgając piersi mieszczącej się w dłoni.

- Musisz już iść - szepnęła z żalem - już dzień.

- Kiedy się zobaczymy?

Zawahała się.

- Nie wiem, czy powinniśmy. Dopiero co...

- Przyjadę dziś wieczór - wtrącił w pół zdania.

Poczuł, że się uśmiechnęła.

- Nie tutaj. Ludzie i tak będą już plotkować. Spotkamy się u ciebie.

- Kiedy?

Przez chwilę namyślała się.

- W święto pańskie. Przyjadę w przebraniu - zachichotała po dziewczęcemu.

- To dopiero za trzy dni! - zaprotestował. Roześmiała się wdzięcznie.

- Samotna białogłowa musi dbać o swą reputację.

Z tym stwierdzeniem trudno się było nie zgodzić. Hirsz objął kochankę ramieniem, obrócił na plecy, a potem pocałował w ostatniej pożegnalnej pieszczocie.



Wprost z ciepłych ramion wymknął się w objęcia zimnego poranka.

Zamieć ustąpiła, pozostawiając po sobie idylliczny krajobraz. Drzewa ugięły się pod ciężarem śnieżnych poduch, a na ziemi rozpościerał się nieskazitelnie biały kobierzec. Nigdzie nie było żywej duszy. Joachim poprawił płaszcz i udał się do stajni, uznając, że stajenny wciąż jeszcze wyleguje się na piecu. Pani Szeptycka nie sprawiała wrażenia surowej pani.

Zwierzę przywitało go niespokojnym parsknięciem. Hirsz osiodłał ogiera i wyprowadził na podwórze. Wspiął się na siodło i ostatni raz spojrzął w stronę zasłoniętych okien alkowy, po czym ruszył kłusem w kierunku Rudawki. Przejechał mostek i za laskiem brzozywym skręcił w polną drogę prowadzącą do głównego traktu.

Galopem przemknął obok karczem ulokowanych przy wsi Wielka Wola i po przebyciu ćwierci mili wjechał do Leszna; jurydyka - ulokowana przed samym wjazdem do Warszawy, a założona niespełna przed dwoma laty przez Bogusława Leszczyńskiego - zdążyła rozrosnąć się do rozmiarów małego miasteczka.

Hirsz skierował wierzchowca szeroką na ponad dwadzieścia siedem kroków ulicą, przy której wznosiły się solidne parterowe i jednopiętrowe domy. Między posesjami i za nimi rozciągały się obsypane śniegiem sady i ogrody. W odróżnieniu od Pragi tę jurydykę rozplanowano z istic wielkopolską starannością. Leszczyńscy zadbali również, by przywilej lokacyjny zawierał równouprawnienie wyznania mieszkańców, z tej przyczyny osiedlali się tu głównie cudzoziemcy i polscy innowiercy. Bliskość stolicy i dworu królewskiego rychło przyciągnęła do jurydyki rzemieślników oraz kupców, którzy ze względu na wyznanie nie mogli wedle prawa osiedlać się w granicach Warszawy. W ten sposób Leszno z miejsca stało się solą w oku okolicznej szlachty, rzymskiego duchowieństwa i rajców warszawskich.

Hirsz ściągnął cugle, wstrzymując wierzchowca, by przepuścić wozy z towarami ciągnące na pobliski bazar ormiański. Przed targowiskiem, bliżej pierzei ulicy, trwała budowa nowego, murowanego pałacu. Po prawdzie Leszczyńscy posiadali już obszerny drewniany dwór, znajdował się on jednak po drugiej stronie wału miejskiego. Tej zimy gmach ledwie zaczął odrastać od ziemi i porucznik nie sądził, że zostanie ukończony w nadchodzącym roku.

Gdy ostatni z ormiańskich wozów ustąpił przejazdu, Hirsz popędził wierzchowca w

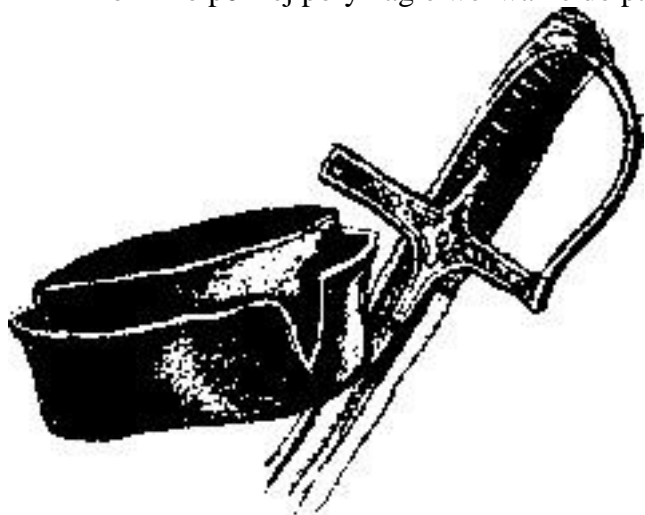
kierunku miasta i nim minęło pół różańca, dotarł do wodociągu na Nalewkach. Przejechał przez szeroki na kilkanaście kroków wjazd w Wale Zygmuntowski i znalazł się na Długiej.

Ruszył klusem opustoszałą ulicą ku Nowemu Miastu, przy kościele Franciszkanów przepchnął się przez tłumek wiernych podążających na poranną mszę i skręcił na podwórze domu, w którym mieszkał. Odnalazł zaspanego stajennego, przekazał mu wierzchowca, a sam powlókł się na piętro. Szczęśliwie w kwaterze było dość ciepło za sprawą umieszczonego w jednej ze ścian komina. Joachim zrzucił ubranie, powiesił je na przeznaczonym do tego celu drążku, po czym zaległ w łóżu.

Zmęczony całonocnymi miłosnymi igraszkami szybko zapadł w sen.

Rozdział X

Pomimo późnej pory nagle wezwanie do pałacu nie zdziwiło porucznika.



Jan Gembicki, zwyczajem ludzi ambitnych i pozbawionych ciężaru wychowania dzieci, potrafił pracować po kilkanaście godzin dziennie. Gdy Hirsz wkroczył do gabinetu jego wielmożności, ten tkwił pochylony za biurkiem. Widząc porucznika, uśmiechnął się i zamknął trzymaną w dłoniach księgę.

- Cieszę się, że widzę cię w zdrowiu, Joachimie - rzekł, po czym wskazał wolne krzesło. - Spocznij, drogi chłopcze.

Instygator, nim opadł na siedzisko, obrzucił pryncy-pała nieufnym spojrzeniem. Spodziewał się raczej wymówek, a nawet gróźb po ostatniej wpadce z Wiśniowieckim.

Tymczasem sekretarz sprawiał wrażenie człowieka zadowolonego.

- Doskonale się spisałeś, poruczniku - rzekł, gdy tylko Hirsz usiadł.

Joachim wpił się wzrokiem w oblicze sekretarza, wypatrując śladów ironii. Bez powodzenia.

- Wasza miłość jest nadzwyczaj łaskaw - odparł skonsternowany.

Jego wielmożność kiwnął ręką po wielkopańsku.

- Mogę ci przekazać, że i sama najjaśniejsza pani jest wielce ukontentowana.

Hirsz nic z tego nie rozumiał, wiedział, że powinien teraz milczeć, lecz to było silniejsze od niego.

- A dokładnie z czego, wasza miłość?

Jan Gembicki uśmiechnął się półgębkiem.

- Nasz drogi książę Jarema zmiękł, po tym jak uprowadzono mu posła. Zaczął kalkulować. To już nie ten sam potężny magnat co jeszcze rok temu. Z majątków prawie nic mu nie zostało i jedynym jego kapitałem jest miłość szlachty. A ta niestała jest, oj, niestała.

Jego wielmożność zamilkł, nie wiedzieć, dla efektu retorycznego czy też zebrania myśli.

- Panowie bracia lubią sobie pokrzyzczyć, lecz do wojny domowej im nie spieszo. Dość mają zmartwień z Chmielnickim czy buntującym się po majątkach chłopstwem.

- Więc Wiśniowiecki kupiony? - upewnił się Hirsz.

Sekretarz chrząknął z rozbawieniem.

- On zapewne by tego tak nie ujął. Zostawmy jednak wojewodę ruskiego, to nie w jego sprawie cię wezwałem.

Porucznik spojrział z wyczekiwaniem na przełożonego.

- Zamykamy sprawę z Radziejowskim - rzekł krótko Gembicki.

Hirsz zmarszczył czoło. O ile Wiśniowiecki, Radziwiłł czy Leszczyńscy byli nietykalni, to Łomża nie należał do tej kategorii. Przynajmniej do tej pory.

- Wasza miłość, ustaliłem ponad wszelką wątpliwość, że Radziejowski utrzymuje korespondencję z Chmielnickim, Rakoczym i dworem wiedeńskim. Wiem też, gdzie trzyma owe listy i księgę szyfrów. To wystarczy, by go postawić przed trybunał.

- To niemożliwe, poruczniku - stwierdził oschle Gembicki. - Sprawa, można rzec, znalazła naturalne rozwiązanie.

Hirsz, choć był piekielnie ciekaw, nie powążył się pytać o nic więcej.

- Jakie dostanę rozkazy?

Jan Gembicki rozłożył dłonie.

- Masz wolne do końca roku, poruczniku. Staw się też u podskarbiego. Otrzymasz zaległy żołd dla ciebie i twoich ludzi. Dorzuciłem sowitą premię za wasze starania. Rozdziel wedle własnego uznania.

- Dziękuję, wasza wielmożność. - Joachim nie krył zaskoczenia. Zazwyczaj kiesa najjaśniejszego pana świeciła pustkami.

Sekretarzowi nie umknęło owo zdziwienie.

- Królowa odkryła nowe źródło dochodu - wyjaśnił.

Hirsz uniósł brew, licząc, że tym razem jego wielmożność będzie bardziej wylewny. Nie zawiódł się.

- Sprzedaż urzędów - wyjaśnił niemal ojcowskim tonem Gembicki. - Jak kto chce wyniesienia dla siebie czy rodu, musi dać gotowiznę.

Porucznik poczuł, jak cierpnie mu skóra. Po prawdzie i wcześniej już tak bywało, ale nigdy jawnie, bez nijakiego wstydu.

- To wbrew obyczajom Rzeczypospolitej - rzekł ostrożnie.

Jan Gembicki skinął głową z widocznym frasunkiem.

- Wiem to i ja. Jednak król i królowa potrzebują grosza, bez pieniędzy niczego nie naprawimy w ojczyźnie.

Hirsza ogarnęły wątpliwości, czy przenoszenie wzorów z Paryża nie okaże się leczeniem przeziębienia ospą, jednak ugryzł się w język.

Na tym też rozmowa dobiegła końca. Joachim pożegnał się, zszedł do wartowni, gdzie odebrał broń, i przez główną bramę wyszedł na Miodową. Przekroczył ulicę i szybkim krokiem skierował się ku Starej Warszawie. Chciał jak najprędzej przekazać najnowsze wieści Katarzynie.



Tym razem zastał ją w domu.

Katarzyna siedziała na krześle, pochylona nad biurkiem i zapisywała coś w księdze. Z przyjemnością dostrzegł, że miała na sobie jedynie ciekawą jedwabną sukienkę o śmiałym, obszytym francuską koronką dekolcie. Gdy wkroczył do alkowy, podniosła wzrok i spojrzała mu w oczy. Jej twarz pojaśniała.

Porucznik posłał kochance ciepły uśmiech. Zawiesił płaszcz we wnęce na ubrania i po chwili namysłu uczynił to samo z kaftanem, zostając w samej koszuli.

Tarska strząsnęła atrament z końcówki gęsiego pióra, odłożyła przybory piśmiennicze do posrebrzanego puzderka, następnie zamknęła wolumin.

Hirsz podszedł do kochanki i złożył na jej ustach niewinny pocałunek. Jednocześnie kątem oka zerknął na księgę, niestety, nie za wiele mógł wywnioskować z samej okładki. Wyprostował się i badawczo przyjrzał Katarzynie.

- Piszesz pamiętnik? - zapytał na wpół żartobliwym tonem.

W jej oczach pojawił się lekko tajemniczy wyraz.
- To moja polisa - odparła z wahaniem.
Wykrzywił usta.
- Papier może być równie zabójczy jak ostrze, pamiętaj o tym, Katarzyno - w głosie Hirsza zabrzmiało ostrzeżenie.
W szmaragdowych źrenicach błysnął gniew.
- Co za odkrywczyste spostrzeżenie, poruczniku - wycodziła cierpko.
„Cholera, znów źle zaczęliśmy”, jęknął w duchu. Kolejna kłótnia była ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował. Czuł się rozpaczliwie samotny i pragnął tej nocy zasnąć w jej objęciach. Wzruszył ramionami. Milczeli przez dłuższą chwilę.
- Należ mi wina - poprosiła ochryple.
Podszedł do stolika i rozlał trunek do dwóch bliźniaczych pucharków, podał jeden Katarzynie, która, wyraźnie rozdrażniona, zaczerpnęła kilka głębokich łyków.
Spojrzeli sobie w oczy i dopiero wówczas jej oblicze złagodniało.
- Wiem, że robisz to z troski o mnie, ale potrafię zadbać o siebie, Joachimie. Zawsze potrafiłam - rzekła twardo.
„Mogliby o tym zaświadczyć twój mąż i pasierb. Pod warunkiem, że potrafiliby wnieść oskarżenie ze swych grobów”.
- A jednak złapałem cię - przypomniał kochance.
Zacisnęła wargi.
- Ty jesteś wyjątkowy.
Hirsz zmrużył oczy.
„Czyżby kpiła ze mnie, a może, co gorsza, mówi to każdemu ze swych kochanków?”
Odepchnął od siebie zatrutą myśl. Osuszył puchar i odstawił na blat biurka.
- Co z Łomżą? - zapytał bezbarwnym tonem.
- Odprawił mnie - odparła równie obojętnie. - Oczywiście w bardzo szarmancki sposób, lecz nie zmienia to w niczym faktu.
Ten pozbawiony emocji ton zdecydowanie nie spodobał się Joachimowi. Katarzyna zwykle dostawała furii, gdy któryś z kochanków ośmielił się w ten sposób ją potraktować. Wedle jej mniemania tylko ona miała prawo rzucać mężczyzn. Rzecz jasna, ten słuszny gniew zwykle dawał się ukoić za pomocą hojnej odprawy. W końcu była profesjonalistką.
- Domyślił się? Jeśli tak, grozi ci niebezpieczeństwo.
- Ależ oczywiście, że nie, głuptasie - obdarzyła go słodkim uśmiechem - byłam ostrożna. Niemniej miło, że tak się o mnie zamartwiasz.
- Co się więc stało? - spytał z naciskiem.
Machnęła niedbale dłonią.
- Pan starosta znalazł sobie słodszy owoc.
- Słodszy niż ty?
Uśmiechnęła się blado, nim upiła łyk wina.
- Jesteś kochany, Joachimie.
- A ty za spokojna. Zwykle w takich sytuacjach... -przerwał, nie chcąc jej urazić.
- Wpadam w histerię, a ty, biedaku, musisz tego wysłuchiwać - dokończyła. - Wiem i doceniam to. Jesteś prawdziwym przyjacielem.
Porucznik spojrzął na kochankę z wyczekiwaniem.
- Podkupiłam służbę Radziejowskiego - wyjaśniła. -Dowiedziałam się ciekawej rzeczy. Łomża zamówił kolię u mistrza Grotko.
Hirsz nadstawił uszu, ciekaw dalszych rewelacji. Najlepszy z warszawskich złotników nie

brał się do roboty, która nie byłaby warta co najmniej kilku tysięcy złotych.

- Zgadnij, komu ją kupił? - zapytała z tajemniczym uśmiechem.

- Nie mam nastroju na zagadki, Katarzyno.

- Tej suce Kazanowskiej - w jej głosie rozbrzmiała smutna zazdrość.

Hirsz wpatrywał się z nieskrywanym zdumieniem w śmiertelnie poważną twarz Katarzyny.

- To nie może być! - wydusił w końcu. - Leszczyński, Opaliński owszem, ale nie Radziejowski, za wysokie progi!

- Ma dla swych amatorów poparcie króla, to wystarczy.

Pod czaszką Joachima rozbrzmiały tajemnicze słowa wypowiedziane przez Jana Gembickiego podczas ich niedawnej rozmowy.

„Sprawa znalazła naturalne rozwiązanie”.

- Ten układ zadowala wszystkie trzy strony - stwierdziła z ponurą miną Katarzyna. - Jan Kazimierz uzyska w ten sposób swobodny dostęp do łóżka tej dziwki. Radziejowski raczej nie będzie oponował, gdy król będzie ujeżdżał jego nową żonkę. Ten człowiek sprzedałby duszę diabłu za bogactwo i dostojęstwo.

- Nie różni się w tym od innych magnatów - stwierdził porucznik.

Odwróciła oczy.

- Och, tu się mylisz. Poznałam go nieco. To mężczyzna bez żadnych hamulców.

Zamilkła, odsunęła krzesło i wstała od biurka, a Hirsz, widząc, jak gładki, sięgający połowy ud materiał opływa posągowe kształty, wstrzymał oddech. Wyciągnął rękę, by objąć jej talię, lecz Tarska zasłoniła się pustym pucharem niczym tarczą.

- Nalej mi jeszcze wina - poprosiła.

Powrócił do stolika. Odrzucił pokusę, aby również się napić; tego dnia wlał w siebie już dość, a to mogło okazać się zgubne w obliczu czekających go wyzwania. Oddając puchar, musnęła palcami jej dłoń.

Tym razem nie wzbraniała się przed dotykiem. Wykorzystał tę przychylność, by ją pocałować. Metresa podniosła głowę i rozchyliła wargi, odwzajemniając pieśczętę. Całowali się bez natarczywego pośpiechu. Tę noc mieli tylko dla siebie.

Po kilkunastu przyspieszonych oddechach Katarzyna odkleiła się od kochanka, uśmiechnęła i upiwszy jeszcze kilka łyków, odstawiła puchar na biurko.

Uniosła dłonie i rozpięła spinkę, pozwalając falom rudozłoty włosów spłynąć swobodnie na ramiona.

Hirsz poczuł, że jego serce zabiło szybciej. Pochylił się i chwycił z dwóch stron rąbek podszytej koronką sukienki. Prostując się, pociągnął jednocześnie materiał w górę, odsłaniając łono, płaski brzuch i ciężkie, sterczące piersi. Tarska uniosła ramiona, pozwalając swobodnie uwolnić swe ciało ze zwiewnego okrycia.

Joachim cisnął jedwab na biurko i przyciągnął kochankę do siebie. W kilku ruchach pomogła mu pozbyć się koszuli i spodni. Przechyliła głowę, szukając jego warg, podczas gdy dłoń Hirsza przesunęła się wzdłuż wypukłości kręgosłupa, sięgając ku obłej linii pośladków. Przyciągnął ją do siebie. Przywarła podbrzuszem do wilgotnej, nabrzmiałej męskości. Wdychał jej zapach: słodki pot zmieszany z nutą francuskich pachnidła.

Oparła drobną dłoń o muskularną, pokrytą bliznami pierś i pchnięciem nakłoniła go do położenia się na plecach. Legł wygodnie na miękkim kobiercu, wspierając głowę na założonych ramionach. Spod zmrużonych powiek przypatrywał się, jak kochanka rozsuwa nogi i opiera się kolanami po obu stronach jego bioder. Przez chwilę zastygła w bezruchu, pozwalając podziwiać swą nagość.

Oderwał spojrzenie od złoto rudego runa między smukłymi udami i podniósł oczy ku pełnym piersiom. Katarzyna sięgnęła dłonią do członka, zaczęła delikatnie pocierać kciukiem w dół i w górę jego dolną krzywiznę. Następnie miękko wsunęła się na pulsujące ciało; cicho westchnęła. Pochyliła się lekko w przód, poruszając ko-liście biodrami.

Hirsz patrzył z przyjemnością, jak wprawione w ruch jędrne piersi kołyszą się z miłą dla oka miękkością. Jęknął z rozkoszy. Czując, że przyśpiesza, przywołał nieprzyjemne wspomnienie. To pomogło. Wyciągnął ręce spod karku, położył dłonie na ciemnych, twardniejących pod szorstkim dotykiem brodawkach. Oddechy stały się gwałtowniejsze, a ruchy złączonych lędźwi przybrały na gwałtowności. Joachim zsunął dłoń wzdłuż talii, ku napiętej krągłości pośladka, nadając ich tańcowi wspólny rytm. Na szczyt dotarli niemal jednocześnie.

Opadła na niego z głębokim, gardłowym westchnieniem, wciąż lekko poruszając biodrami.

Leżeli tak bez zbędnych słów, wtuleni w siebie, odprężeni. Wzajemne spełnienie, bliskość ciał oraz ciepło bijące od kominka sprawiły, że zapadli w krótki sen.



Pani Szeptycka zerknęła spod opuszczonych powiek na klęczącego przed nią chłopca.

Jego szorstkie dłonie o długich palcach masowały drobne stopy z żarliwą gorliwością. Niemal namacalnie czuła młodzieńcze pożądanie. Przeciągnęła się leniwie, z błogim uśmiechem. Chłopak uniósł głowę, odsłaniając oblicze. Całą lewą stronę twarzy miał oszpeconą przez straszliwe blizny po oparzeniach. Widok tym bardziej przerażający, że prawa część oblicza zachowała dawną, nieprzeciętną urodę. Spod szopy gęstych rudych włosów wpatrywały się w nią zielone oczy. Błyszczało w nich psie oddanie. Sonka potrafiła patrzeć na tę twarz bez wstrętu. Ich Pan cenił wszelką niedoskonałość i przygarniał w swe objęcia okaleczonych, tak na duszy, jak i na ciele.

Westchnęła cicho, gdy palce młodzieńca dotknęły szczególnie wrażliwego miejsca. Ośmielony, przesunął dłoń wyżej, na zgrabną łydkę, zgięcie kolana i dalej ku wnętrzu gładkich ud. Poczuela, jak wilgotnieje. Rozchyliła szerzej nogi, pozwalając, by smukłe palce wniknęły do jej ciepłego wnętrza.

Nagle poczuła dobrze znane: ucisk w skroni, drętwienie mięśni i mdłości; jasne włoski na jej karku zje-żyły się, gdy coś niewidzialnego otarło się o skórę. Pod czaszką rozbłysła pełna ulgi myśl, że tym razem to nie będzie ona.

Chłopak przymknął powieki, a jego szczupła sylwetka wyprężyła się gwałtownie, jakby ktoś pociągał za niewidzialne sznurki. Sonka usłyszała chrzęst wyginanych niebezpiecznie stawów.

Gdy otworzył oczy, wzdrygnęła się pod bezdusznym spojrzeniem. Właśnie tak musiał patrzeć wąż na biblijną Ewę. Delikatna nieśmiałość chłopca zniknęła bez śladu zastąpiona przez władczą gwałtowność.

Ciało Sonki zalały fale gorąca bijące od podbrzusza. Wygięła plecy w łuk, prężąc mięśnie brzucha, wysuwając biodra, by jak najgłębiej wchłonąć w siebie zwinne palce. Niestety, jej Władca szybko zaprzestał pieszczoty.

Z rwanym oddechem przyjrzała się baczniej opętanemu młodzieńcowi. Nawet wyglądał inaczej, zdawał się wyższy i masywniej szy. Wyciągnął ku niej rękę i przesunął wierzchem dłoni po policzku, pozwalając, by złożyła pocałunek na wilgotnej skórze.

- Później dam ci to, czego pragniesz - obiecał chrapliwym głosem; wąskie wargi wykrzywił okrutny uśmiech. - Teraz musimy przyjąć gości.



Noc była mroźna i bezksiężycowa. Po okrytych ciemnościami płaskich mazowieckich przestrzeniach hulał zimny wicher, wzbijając śnieżną kurzawę.

Gdzieś z oddali dobiegało ujadanie psów, zagłuszane przez jęk wiatru.

Zza zasy wprost na szeroki trakt wyskoczył lis. Zwierzę było duże i silne, choć mocno wychudzone, jakby od wielu dni cierpiało głód. Z pyska drapieżnika zwisała kura. Lis obrócił łeb w kierunku rwanego ujadania. W ciemnych guziczkach oczu błysnęła satysfakcja. Nora znajdowała się już niedaleko i stary chytrus wiedział, że tym razem zapadnie w sen z pełnym żołądkiem.

Zwierzę postawiło uszy, zastygło w bezruchu i odwróciło pysk na wschód. Nagle w mroku pojawiło się światełko, nikle i chybotliwe. Szybko się zbliżało. Wiatr przyniósł groźny odór dwunożnych i ich koni. Drapieżnik zamachał nerwowo puszystą kitą i bez zwłoki skoczył w ciemności.

Dwa pacierze później trzech jeźdźców wyłoniło się z mroku i wstrzymało wierzchowce dokładnie w miejscu, z którego umknął chytrus. Boki zwierząt unosiły się ciężko, a z chrap wytryskiwały pióropusze pary.

Jadący na przedzie mężczyzna uniósł wyżej metalową lampę i oświetlił pobocze, wyraźnie czegoś szukając. Po chwili odnalazł zjazd z traktu; wąską polną dróżkę pokrytą warstwą śniegu. Wyprostował się w siodle i uniósł światło, wskazując pozostałym kierunek.

Jeźdźcy przymusili wierzchowce do porzucenia wygodnej drogi i ruszyli stępą w stronę Rudawki. Do rzeczki dotarli po ujechaniu ćwierci mili. Jako że oba brzegi były strome i trudne do pokonania, nie zaryzykowali przeprawy, miast tego pognali wierzchowce na północny zachód, aż odnaleźli niewielki brzozywy zagajnik. Kilkadziesiąt kroków dalej, po lewej, nad zamarzną wodą wznosiła się kładka. Zbyt wąska dla wierzchowców. Musieli iść pieszo.

Jan Kos zsiadł z konia. Powiesił lampę na gałęzi najbliższego drzewa. Rzucił krótki rozkaz. Zyga i Bogusz zeskoczyli z siodła, zabrali się do pętania koni, potem wyjęli z juków długie narzuty i okryli zwierzęta.

Kos zdjął lampę. Wykonano ją wedle jego osobistych wskazówek. Przypominała metalowe pudełko, do którego przytwierdzono uchwyt. Niezwykłość pomysłu polegała na umieszczeniu na szklanych ściankach czterech ruchomych metalowych płytek. W ten sposób uzyskał możliwość kierowania światła w wybraną stronę.

Zerknął na swych kompanów - wysocy, o silnych ramionach i twardych sumieniach, należeli do konfraterii Ślebaka, lecz grosz, jaki Kos oferował za każde zlecenie, stanowił nie lada pokusę.

Szli gęsiego, trzymając się brzegu Rudawki. Kos prowadził pewnie, choć snop światła sięgał ledwie trzy kroki naprzód. Przez ostatnie dni systematycznie objeżdżał konno tę okolicę, by zapamiętać szczegóły terenu czy rozkład budynków. Poświęcił również kilka godzin na obserwację przez lunetę mieszkańców folwarku.

Dwór otaczały skromne zabudowania gospodarcze. Folwark od wsi oddzielało kilkaset metrów pola i rzadki świerkowy las. Sama wieś nie była duża - ledwie trzydzieści kilka dymów.

Z tamtej strony Kos nie spodziewał się zresztą żadnych kłopotów. Z doświadczenia wiedział, że pańszczyźniany chłop nie będzie nadstawiał łba w obronie szlachcica. Zwykle największe zagrożenie stanowiła czeladź pracująca w folwarku. Tej zaś było tu tyle co kot napłakał. Po obejściu krzatali się jedynie stara baba i rudawy wyrostek.

Robota zdawała się dziecinnie łatwa. Za łatwa, wzięwszy pod uwagę zaoferowaną cenę w

złocie. W sprawie było drugie dno. Niestety, Kos wciąż nie potrafił odgadnąć jego natury i nadal dręczyło go pytanie, co skłoniło wielebną, by wynająć kogoś takiego jak on. Na wąskich wargach zabójcy pojawił się słaby uśmiezek. Siostrzyczka była przekonana, że nic o niej nie wie, on zaś nie wyprowadzał jej z błędu. W jego profesji dyskrecja to podstawa, a klienci lubią mieć złudzenie, że są anonimowi.

Dotarli do kładki i przeszli na drugi brzeg. Znaleźli się na otwartej, smaganej wiatrem przestrzeni. Kos zasunął ściankę lampy, odcinając światło, przez chwilę stał nieruchomo, wpatrując się w ciemność, po czym dał znak i skierowali się w stronę folwarku. Ich krokom towarzyszyło skrzypienie śniegu zgniatanego przez podeszwy butów.

Lekko zdyszani zatrzymali się na skraju zabudowań. Kos przez dłuższą chwilę nasłuchiwał. Nienaturalna cisza panująca w obejściu niemal brzęczała w uszach. Już wcześniej spostrzegł brak psów. Coś tu nie grało. Poczul nagłą chęć, by wrócić do koni i odjechać z tego miejsca. Odrzucił pokusę. Uważał się za zawodowca, a tacy wykonują robotę, za którą przyjęli zapłatę.

Splunął pod nogi i na sygnał ruszyli.

Jak duchy przemknęli między szopami, minęli zawarte wrota stodoły i wkroczyli na plac studzienny. Nigdzie nie było żywej duszy. W kilkanaście oddechów znaleźli się pod ścianą dworu. Kos zajrzał przez okno, usiłując coś wypatrzeć. Bez skutku, okiennice były szczelnie zamknięte.

- Twoja kolej - zwrócił się do Bogusza.

Barczysty mężczyzna, odziany w czarny barani kozuch i wysoką czapę tego samego koloru, podszedł do drzwi. W lewej ręce trzymał łom. Przez chwilę obmacywał dłonią framugę, a gdy odnalazł odpowiednie miejsce, wsadził żelazo w szczelinę, sapnął przeciągle i naparł całym ciałem. Trzask wyłamywanych rygli rozdarł upiorną ciszę. Kos wzdrygnął się i odruchowo oparł lewą dłoń na rękojeści noża, a Zyga i Bogusz zastygli w bezruchu, łypiąc po sobie oczami i zaciskając łapska na broni.

Upłynęły dobre trzy zdrowaśki, nim Kos rozluźnił mięśnie ramion. Z wnętrza budynku nie dobiegały żadne niepokojące dźwięki. Ostrożnie otworzył drzwi. Wślizgnęli się do sieni. Wewnątrz było ciemno choć oko wykol. Kos powstrzymał się jednak przed pokusą odsłonięcia światła, zdając się całkiem na swój instynkt.

Stawiając ostrożnie kroki, podchodził do kolejnych drzwi, przystawał i nasłuchiwał.

Człowiek, który śpi, kręci się w łóżu, kaszle, chrapie czy pierdzi. Długoletnie doświadczenie nauczyło Kosa rozpoznawać bezbłędnie te odgłosy i na ich podstawie identyfikować ofiarę.

Za czwartymi drzwiami usłyszał skrzypienie drewna. Bezgłośnie postawił lampę na podłodze, ściągnął rękawice i sięgnął po sztylet zawieszony u pasa. Broń miała długie, smukłe, ząbkowane ostrze i kościaną, oplecioną rzemieniem rękojeść - dla uzyskania wyczucia w przemarzniętych palcach Kos obrócił kilka razy sztylet w dłoni. Przyłożył rękę do chropowatego drewna i pchnął. Drzwi ustąpiły tylko na pół kciuka, lecz to wystarczyło. Wsunął ostrze w powstałą szparę i podważył skobel. Metalowa blaszka opadła niemal bezgłośnie.

Jan Kos uśmiechał się zadowolony. Uchylił drzwi i zajrzał do izby. Pachniało tam słodkim potem i palonym drewnem. Podniósł lampę, otworzył drzwi na oścież i wsunął się do izby. Zyga i Bogusz skradali się tuż za jego plecami. Trzy kroki za progiem zatrzymał się. Po prawej, bliżej zamkniętych okiennic, dostrzegł zarys stołu. Z głębi pomieszczenia dobiegał miarowy oddech kogoś pogrążonego w głębokim śnie.

Sześć, siedem kroków - ocenił w myślach dzielący go od łóża dystans. Rozluźnił mięśnie. Robota okazała się rzeczywiście łatwa. Wyglądało na to, że niepotrzebnie ciągnął ze sobą Zygę i

Bogusza. Skrzywił się na myśl o złocie, które będzie musiał im zapłacić. Niech przynajmniej zarobią na swoją działkę.

Wsadził sztylet do pochwy. Podszedł do stołu, odstawił lampę na blat.

- Jest wasza - wyszeptał do kompanów.

Począł, aż go miną, i uniół metalową ściankę.

Ciemność przeszył wąski snop światła.

Tak jak założył, łoże stało kilka kroków po lewej, pod ścianą. Nie przewidział natomiast, że ujrzy na nim rudowłosego wyrostka celującego w nich z wielkiej dwu-lufowej rusznicy. Potwornie oszpecone oblicze chłopaka w mdłym, drżącym świetle przypominało demoniczną maskę. Kos, oszołomiony, znieruchomiał. Wiedział, że nie zdoła uskoczyć. Zamknął oczy, czekając na śmierć.

Dwa wystrzały zwały się w jeden ogłuszający huk. Spodziewany ból nie przeszył ciała bandyty. Miast tego uderzył go ostry zapach palonego prochu. Wciąż żył. Uniósł powieki zdumiony tym odkryciem. Rozejrzał się wokół siebie.

Izbę spowijał tuman gryzącego dymu; trupy jego kompanów leżały na podłodze w powiększających się szybko kałużach krwi.

Oddech później w głowie Kosa zrodziła się nowa myśl: tamten wystrzelił oba pociski. Płynnym ruchem dobył sztylet. Zbliżył się do łoża, nie spuszczać wzroku z rudzielca. Chłopak nie zareagował, sprawiał wrażenie, jakby zapadł w letarg. Oszpecona twarz przybrała dziwnie nieobecny wyraz. Rusznica wypuszczona z bezwładnych dłoni stoczyła się na kolana. Z bliźniaczych luf wydobywały się smużki dymu. Kos nie dostrzegł u niego żadnych obrażeń. Wątpił zresztą, by Zyga czy Bogusz zdążyli użyć broni. Wszystko wydarzyło się zbyt szybko.

„Co tu się, do diabła, dzieje?”

Zacisnął palce na rudej czuprynie i brutalnie szarpnął głowę w tył, odsłaniając krtań. Chłopak nawet nie jęknął. Skrytobójcę zmroziło spojrzenie otwartych, przerażająco pustych oczu. Stłumił rodzącą się w nim panikę i przyłożył klingę do odsłoniętego gardła.

Powstrzymało go skrzyknięcie podłogi.

- To mnie szukałeś - usłyszał za plecami kobiecy głos.

Wzdrygnął się. Obrócił się błyskawicznie ku nowemu zagrożeniu z gotowym do zadania ciosu sztyletem.

W progu stała młoda kobieta, niemal dziewczyna.

Ich spojrzenia spotkały się.

Kos cofnął się o pół kroku jak uderzony. W jej oczach nie było nic ludzkiego. Wyzierała z nich starość i okrucieństwo. Poczul w trzewiach lodowaty ucisk strachu.

- Strasznie się guzdrałeś - rzekła cierpkim tonem.

Skrytobójca zadrżał. W głowie czuł tępy, narastający ból. Napiął mięśnie, chcąc skoczyć ku dziewczynie, wbić sztylet w jej serce, lecz kończyny odmówiły mu posłuszeństwa. Warknął boleśnie, zaskoczony własną bezradnością, szarpnął się raz, drugi, bezskutecznie. Czul się tak, jakby unieruchomiły go od wewnątrz niewidzialne kajdany. Wykrzywił wściekle twarz. Była to jedyna część ciała, nad którą wciąż sprawował kontrolę.

Jego wysiłki wyraźnie rozbawiły straszliwą dziewczynę. Roześmiała się ochryple. Przez chwilę przypatrywała mu się jak wąż zamierzający pożreć kurczę, kąciki pełnych ust uniosły się w grymasie okrucieństwa.

Wykonała szybki gest.

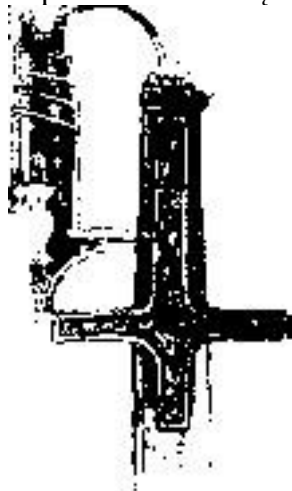
Kos z przerażeniem patrzył, jak jego prawa dłoń, trzymająca sztylet, unosi się do góry. Pot zalewał mu oczy, a z nosa buchnęła krew. Całkiem bezradny mógł tylko patrzeć, jak wąska klinga zbliża się do jego krtani.

- Wybacz, Najświętsza Panienko - jęknął, nim ostrze przebiło skórę i bardzo powoli poderżnęło gardło.

Rozdział XI

Hirsz przebił się przez tłum kłębiący się na placu mostowym i wkroczył w ciasne, kręte uliczki Rybaków.

Porucznik mijał nielicznych przechodniów, jako że większość miejscowych na czas sejmu szukała zarobku w mieście, i już po dwóch tuzinach zdrowasiek dotarł do tawerny Pod Bykiem. Nad dwuskrzydłowymi drzwiami kołysało się godło, z grubsza przywodzące na myśl wspomniane zwierzę. Wprost z dworu wszedł do obszernej sali. Rozejrzał się w poszukiwaniu Mrocza - wachmistrza nie było. Zresztą zimą handel na rzece zamierał, a i czasy były ciężkie, więc przy ławach siedziało niewiele klientów. Ci tutaj sprawiali wrażenie oprychów lub flisaków i zapewne trudnili się obiema tymi profesjami.



Kosin powitał go skinieniem głowy.

Hirsz odwzajemnił pozdrowienie i spojrzał w róg sali. Ich stolik był wolny. Kosin pozwalał używać go innym gościom tylko wówczas, gdy instygator i jego ludzie przebywali poza miastem. Joachim rozsiadł się wygodnie, opierając plecy o drewnianą ścianę, tak by mieć widok na drzwi wejściowe. Rzecz jasna, w tej tawernie takie środki ostrożności nie były konieczne - kilka miesięcy wcześniej sam był świadkiem, jak Kosin zabił gołymi rękami flisaka, który rzucił się na niego z nożem, idiotów wszak nigdy nie brakuje - jednak po pewnym czasie przezorność przeradza się w nawyk. Porucznik zdjął kapelusz i położył go na pokrytym sękami blacie, pomyślał też o ściągnięciu płaszcza, lecz po zastanowieniu zrezygnował z tego zamiaru. W sali panował ziąb.

Kosin wyszedł z szynkwasu i postawił przed Hir-szem dzban gorzałki i dwa kubki.

- Jest Mroczek? - zapytał porucznik.

- Był, ale wyszedł.

Hirsz domyślił się, że wachmistrz ubiegłą noc spędził w towarzystwie jednej z dziewek.

- Mówił, gdzie się wybiera?

Kosin wzruszył potężnymi barkami.

- Z samego rana wyszedł przez zaplecze, powiedział tylko, żeby pan porucznik zaczekał tu na niego.

Pan porucznik westchnął lekko poirytowany. Naraz uświadomił sobie, że tak po prawdzie to nigdzie mu się nie spieszy.

- Rozpaliłbyś w piecu, zimno tu jak diabli - poskarżył się.

- Oszczędzać trza, kryzys jest - burknął szynkarz. -Rozpalam tylko wieczorem, jak się ludzi najdzie, a na zimnicę najlepsza jest gorzałka.

Spojrzał znacząco na dzban stojący przed Joachimem. Jak na tajnego współpracownika, karczmarz był wyjątkowo nieuprzejmym i krnąbrnym typem, niemniej niezwykle użytecznym. Hirsz westchnął zrezygowany.

- Dobra, daj coś na ząb. Od wstania nic nie jadłem.

- Może być jajecznicą.

- Tylko nie żałuj boczku - zastrzegł przezornie Joachim.

Kosin mruknął coś niewyraźnie pod nosem i oddalił się do kuchni.

Hirsz nalał do kubka gorzałki i pociągnął tęgiego łyka. Poczul dreszcz, lecz po chwili pojawiło się przyjemne uderzenie ciepła, sapnął z ulgą i ponownie przywarł plecami do ściany; nieprzespana noc odcisnęła na nim piętno zmęczenia. Zamknął powieki i potarł palcami piekące oczy, jego myśli krążyły leniwie wokół Katarzyny, jej czułych dłoni, słodkich ust, okrągłości i wgłębień. Było im ze sobą dobrze, lecz czy potrafiliby wytrzymać dłużej niż te kilka upojnych nocy.

Z rozmyślań wyrwał go odgłos otwieranych drzwi. W progu stała wysoka, zakapturzona postać. Hirsz odruchowo przesunął dłoń ku kolbie króciocy, lecz zaraz rozluźnił mięśnie.

Tomasz Mroczek zsunął kaptur z podgolonej głowy i podszedł do porucznika. Wachmistrza okrywała sięgająca łydek wojskowa peleryna, zza której wystawała szabla o czernionej rękojeści. Mroczek zwałił się ze stęknieniem na ławę obok Joachima i wyprostował długie nogi. Spojrzenia mężczyzn spotkały się i nim podwładny otworzył usta, porucznik wiedział już, że zbliżają się kłopoty.

Napełnił drugi kubek. Mroczek osuszył naczynie jednym haustem i otrząsnął się jak mokry pies.

- Jesteś śledzony, Joachimie - oznajmił.

Hirsz zmrużył oczy z niedowierzaniem.

- Niemożliwe, zauważyłbym coś.

Mroczek wykrzywił usta.

- Zawsze w końcu znajduje się ktoś lepszy, a ten jest naprawdę dobry. Mały grubas o niezapadającej w pamięć twarzy. Z ubioru sprawia wrażenie niezamożnego kupca lub rzemieślnika, ale to oczywiście nic nie znaczy.

Hirsz poczuł lodowaty ucisk w żołądku na wspomnienie korpulentnego jegomościa poznanego podczas przeprawy, sprawa trupów w praskim zaułku stała się nagle mniej tajemnicza i o wiele bardziej złowieszcza.

- Gdzie jest?

- W uliczce przy składzie żelaznym. Odkryłem sukinsyna przez przypadek. - Wachmistrz podrapał się kciukiem po haczykowatym nosie i dodał: - To zaklinacz, pewnie dlatego go nie zauważyłeś. Stępił twoją uwagę.

Hirsz zmarszczył czoło.

- Jeśli tak, to musi być naprawdę dobry - mruknął.

- Co robimy? - zapytał Tomasz.

Joachim spojrzał na szynkarza, który zmierzał do ich stolika.

- Ja zjem, a tamten niech sobie pomarźnie.

Kosin postawił na blacie miskę z jajecznicą i pół bochenka chleba, następnie wytarł wielkie, sękatę łapska w brudny fartuch.

- Jesteś mi winien za wczorajszą noc - przypomniał z pretensją Mroczkowi. - Przez ciebie Marta nic dla mnie nie zarobiła.

- Cholerny dusigrosz - warknął Tomasz.

Karczmarz rzucił mu wrogie, pozbawione lęku spojrzenie. Tych dwóch się uwielbiało. Joachim postanowił interweniować, nim znów będzie musiał ich rozdzielać.

- Dopisz do mojego rachunku - przykazał Kosi-nowi.

- Jak pan sobie życzy, poruczniku - mruknął oberżysta i na odchodnym obrzucił wachmistrza jadowitym wzrokiem.

Hirsz chwycił za drewnianą łyżkę i spróbował jajecznicy. Była niezła, prócz boczków znalazł też nieco skwarek. Tomasz bez pytania oderwał kawałek chleba i wsadził sobie do ust. Porucznik obrzucił go złym spojrzeniem.

- Może sobie zamówisz? - zaproponował cierpko.

- Już jadłem - odparł wachmistrz niewyraźnie. Nagle poczerwieniał, zakrztusił się, po czym wypluł zawartość ust na blat.

Hirsz spojrział na wykrzywioną obrzydzeniem twarz przyjaciela.

- Tego się nie da jeść - rzekł ten oskarżycielskim tonem, wpatrując się w ledwie przeżutą papkę.

Joachim sięgnął po bochenek, powąchał pieczywo. Rzeczywiście, chleb śmierdzał zjełczalym tłuszczem i jeszcze czymś, nad czym porucznik wolał się nie zastanawiać. Tradycyjnie już jakość chleba wypiekanego przez piekarzy warszawskich nie była najlepsza, a w czasie sejmu, gdy brakło dobrej mąki, zazwyczaj sięgała dna. Joachim podejrzewał, że taka sytuacja będzie trwać, dopóty magistrat nie ograniczy monopolu cechowego, co jednak wydawało się niemożliwe, gdyż poparcie cechów miało zbyt wielkie znaczenie przy wyborach na urząd burmistrza i ławników.

Sądząc po grymasie na obliczu Mrocza, wachmistrz miał odmienną teorię dotyczącą złej jakości pieczywa. Mordercze spojrzenie ciemnych oczu wpiło się w Kosina, który z bezmyślną miną wycierał ładę szynkwasu.

- Zrobił to celowo - wysyczał wściekłym tonem.

Hirsz roześmiał się cicho.

- Gdyby chodziło o ciebie, może bym uwierzył, ale chleb był dla mnie - przypomniał.

Mroczek chrząknął, jakby dopiero co dotarł doń ten fakt. Dłonią zrzucił papkę na podłogę.

Joachim odłożył wątpliwe świadectwo piekarniczego kunsztu i zadowolony się samą jajecznicą; gdy skończył, odsunął pustą miskę na róg stołu, otarł usta i westchnął. Następnie spojrział na zamyślonego Tomasza. Kilka dni temu polecił mu śledzić Rytle i był ciekaw efektów.

- Dowiedziałeś się czegoś o księżulku?

Mroczek potrząsnął głową.

- Nic szczególnego. Jedyna ciekawa rzecz to to, że podnajmuje kilka izb w kamienicy na Krzywym Kole, zaraz przy zajeździe pocztowym. Wynajął je kilka tygodni temu. Opłaciłem uliczników, by nie spuszczały z oka kamienicy.

Hirsz skinął z aprobatą, choć w głębi ducha zmartwił się nowym wydatkiem. Zaległy żołd i premia od jego wielmożności ledwie starczyły na spłacenie długów zaciągniętych przez poprzednie miesiące.

- Sprowadza tam kobiety, mężczyzn?

- Nikogo.

Porucznik zagryzł wargę.

- Na coś, psiamać, przecież je wynajął?

- Może lubi samotność - odpowiedział wachmistrz.

- Może - mruknął Joachim bez przekonania. - Tak czy inaczej, trzeba go obserwować, i tak nie mamy nic innego do roboty.

- Mów za siebie - zaprotestował Mroczek. - Marta to prawdziwa diablica. Wycisnęła ze mnie wszystkie soki.

Hirsz gestem dłoni powstrzymał Tomasza od dalszego dzielenia się z nim intymnymi szczegółami.

- Czas poznać naszego tajemniczego przyjaciela - rzekł spokojnym głosem.

Wachmistrz uśmiechnął się lekko, a jego dłoń opadła na poczernioną rękojeść szabli.

- Tak, czas się trochę rozerwać, Joachimie.



Kosin spod zmrużonych powiek obserwował, jak dwóch siedzących w kącie mężczyzn zakończyło rozmowę i wstało od stołu. Szynek odprowadził ich pozornie leniwym spojrzeniem, a choć zachował obojętny wyraz twarzy, serce zabiło mu szybciej. Rozpoznawał ten krok, charakterystyczne napięcie mięśni.

Gdy opuścili lokal, Kosin wzniósł bezgłośnie modlitwę do Najświętszej Pani. Prosił, by tych dwóch zimnokrwistych sukinsynów napotkało w końcu godnego siebie przeciwnika. Dłoń ściskająca brudną szmatę na krótką chwilę zatrzymała się w pół ruchu, a sękaty palec zacisnął się w pięść.

Jeśli tak się stanie, będzie to naprawdę udany dzień.

Wyszedł głównymi drzwiami wprost w pochmurny poranek. Rozejrzył się od niechcenia po opustoszałym placu. Kątem oka zarejestrował ruch w uliczce po lewej. Ktoś usilnie starał się pozostać niezauważony.

Ruszył pozornie ospale, rozpięte poły płaszcza przy każdym kroku uderzały o wysokie cholewy butów. Nie spieszył się, dając czas Mroczkowi, by ten dotarł przez zaplecze na tyły zaułka. Doszedłszy na miejsce, wyciągnął z flintpasa parę króć i wkroczył w zimne cienie.

Uliczka biegła łukiem od placu w kierunku ogrodów klasztornych i dalej w stronę Nowego Miasta. Odchodziło od niej kilka mniejszych zaułków, ledwie godnych tej nazwy. W każdym z nich mógł się czaić morderca. Jeśli zaklinacz zamierzał go zabić, to właśnie otrzymał ku temu znakomitą okazję.

Hirsz podkradał się krok po kroku. Rozdeptywany śnieg skrzypiał pod grubymi podeszwami. Po przejściu trzydziestu metrów wciąż nie wypatrzył śladu zabójcy.

„Gdzie on, do cholery, jest?”

Przystanął, przesunął spojrzeniem po okrytych bielą dachach.

Na jednym z okapów, tuż u wylotu najbliższego zaułka, pojawił się rudy kocur. Zwierzę przechyliło łepkę, spojrzało w dół. Naraz naprężyło grzbiet, syknęło i wyszczerzyło kły na coś lub kogoś ukrytego przed wzrokiem Joachima.

Koty widzą więcej. Powie wam to każda wioskowa wiedźma.

Porucznik spojrzał w tamtą stronę. Sylwetka zaklinacza roztapiała się na granicy widzenia, jakby oczy Hir-sza nie potrafiły ogarnąć tego, co postrzegały. Zamrugał powiekami, poprawiając ostrość widzenia, dopiero teraz ujrzał go wyraźniej. Grubasek czaił się ledwie kilkanaście kroków od niego. W obu dłoniach trzymał sztylety.

Wycelował w mężczyznę z króć, lecz ten uskoczył w prześwit z zaskakującą szybkością. Porucznik zaklął i rzucił się biegiem w pogoń. W kilkunastu susach dopadł przejścia. Na czas, by ujrzeć, jak Mroczek z szabłą w dłoni ruszył na skrytobójcę. Zaklinacz bez wahania cisnął sztyletem w wachmistrza i błyskawicznie sięgnął do pasa po następny. Ostrze wbiło się w bark Mroczka.

Tomasz zachwiał się i przerzucił szabłą do lewej ręki. Przeciwnik wykorzystał okazję i doskoczył do rannego, skracając dystans. Jednocześnie ciął z obu rąk, celując w gardło i pod

żebra. Mroczek zbił dolne ostrze i uchylił się przed górnym, o włos unikając przecięcia krtani.

W odpowiedzi uderzył szablą od góry. Zaklinacz odskoczył - zakrzywiona klinga przecięła ze świstem powietrze - wymierzył kopniaka w przedramię wachmistrza, zbijając w bok uzbrojoną rękę, zrobił dojskie i pchnął ukośnie pod mostek. Mroczek przyjął cios na lewą rękę, blokując nadgarstek, nim ostrze sztyletu dosięgło celu, i barkiem zdzielił nożownika w twarz. Grubasek zachwiał się, cofnął o krok.

Wystarczająco, by Hirsz miał pewny strzał.

Wypalił z dwóch króćc naraz. Odrzucił pistolety i jednym skokiem przedarł się przez chmurę gryzącego dymu, by przekonać się, że skrytobójca zrejterował. Nienaturalnie przechylony biegł w stronę hałdy na krańcu zaułka. Po chwili skrył się za pokrytą śniegiem stertą odpadów.

Porucznik, upewniwszy się, że wachmistrz żyje, rzucił się w pościg. Biegając, dobył z olstra trzecią króćc, tę z poświęconą kulą w lufie. Jeśli trafi w głowę, srebro będzie równie zabójcze jak ołów.

Pięć kroków przed śnieżną hałdą zwolnił, odbezpieczył guz blokujący sprężynę zamka i stawiając drobne kroki, dotarł do miejsca, skąd mógł objąć wzrokiem cały teren za miniaturowym pagórkiem.

Zastygł zaskoczony. Nikogo tam nie było. Zmarszczył brwi, wpatrując się w plamy świeżej krwi. Krwawy trop urywał się przy dziurze w płocie.

Usłyszał za sobą przerywany oddech wachmistrza. Mroczek stanął u jego boku, wpatrując się w ślady.

- Kim on, kurwa, jest? - wyrzucił z siebie Hirsz.

- Kim by nie był, jest niezły - mruknął wachmistrz. Porucznik spojrzał na przyjaciela.

Ostrze noża wciąż tkwiło w jego barku.

- Trzeba będzie znaleźć ci cyrulika.

Mroczek dotknął kościanej rękojeści wystającej z ciała. Wąskie wargi wykrzywił blade uśmiech.

- Mało brakowało.

- Jak zawsze, Tomaszu, jak zawsze.



Joanna nasłuchiwała. Stłumionego przez podłogę odgłosu kroków, skrzypnięcia deski czy metalicznego trzasku odsuwanej skobla. Tylko tyle mogła zrobić, uwięziona w cuchnącej norze, zdana na brutalność oprawców.

Tym razem był to Rytel. W nabrzmiałej od napięcia ciszy słyszała jego koślawe kroki, podniecony oddech.

Rzemienie musnęły jej twarz, poruszając się niczym spragnione krwi wiję, a następnie niespiesznie zsunęły się po szyi na piersi i dalej, aż do samego podbrzusza.

Pomimo rozpierającego ją przerażenia nie zareagowała w żaden sposób. Nic by to nie dało. Ostatnie dni, spędzone w gęstej od smrodu ciemności, boleśnie uświadomiły jej, że wszelkie błagania tylko zwiększają podniecenie dręczycieli. Naprężyła mięśnie, nie wiedząc, gdzie uderzy.

Krótki świst. Wygięła ciało, gdy rzemienie trzasnęły w naprężony brzuch; wgryzły się w skórę, otwierając ledwie zaschnięte rany. Drugi raz był jeszcze gorszy. Ogień bólu objął mostek i piersi - szarpnęła kończynami, lecz więzy utrzymały ją w miejscu. Trzecie smagnięcie sięgnęło pachwiny, podbrzusza i wnętrza ud.

Z zatkanych ust wydobyło się stłumione skomlenie.

Czwartego razu nie było.

Jej skórę owiał lodowaty oddech, gdy szorstki język przesunął się po oczach i nosie, pozostawiając wilgotny jak szron ślad. Tuż przy uchu rozległ się zniekształcony głos Mieczysława Rytla, jakby to Coś, co tkwiło w jezuitcie, miało kłopot z wypowiedaniem ludzkich słów.

- Ofiarowałem mu ciebie, lecz on nawet teraz nie potrafi cię wykorzystać, choć leżysz naga i bezbronna, z rozłożonymi nogami. Odpowiedziałem na jego błagania, dałem mu upragnioną zemstę, lecz ten głupiec nie potrafi unieść tego daru. Schodzi tu, do tej nory, by trykać cię jak królik, a potem godzinami płacze, obwiniając samego siebie. Co za żaloszny widok. Dlatego pojawiam się osobiście, byś nie zapomniała.

Nagle drewniana rękojeść pejcza wbiła się brutalnie w jej srom, rozepchała poranione wnętrze. Joanna cofnęła biodra pod wpływem bólu. Jednak naprężone sznury ponownie utrzymały ją w miejscu.

- Przyznaj się, tęsknisz za mną - teraz szept zdawał się dochodzić z wielu miejsc naraz.

Gładka, szeroka rękojeść wdarła się głębiej, sięgając ścianek macicy. Podbrzusze paliło żywym ogniem.

- Tęskniłaś? - wysyczał chrapliwy głos.

- Tak - wyrzuciła przez ściśnięte gardło, wiedząc, że nie przestanie, póki jej nie upokorzy.

W mroku rozbrzmiał obłąkańczy chichot. Ucisk osłabł i rękojeść wysunęła się na zewnątrz.

Nagła ulga poluzowała naprężone mięśnie. Gorący strumień spłynął po jej udach. Joanna nie wiedziała, czy jest to uryna, czy krew.

Kusicielski szept znów rozbrzmiał tuż przy jej uchu.

- Rytel jest słaby, nie tak jak ty. Wciąż jeszcze nie jest za późno. Przyjmij mnie, a będziesz wolna. Oddam ci go. Tylko pomyśl, mogłabyś wykastrować psa za to, co ci uczynił. Czyż taka zemsta nie byłaby słodka?

Zalał ją zwierzęcy strach. Świadomość, że propozycja padła z ust samego Rytla, była nieporównywalnie bardziej porażająca niż sama treść. Serce w poranionej piersi zabiło szybciej. W otumanionym zmęczeniu i bólem umyśle zatliła się nadzieja, pokusa słodka jak miód. Mogła uratować życie, ocalić ciało, zemścić się... wystarczyło tylko ulec, powiedzieć: tak. Tylko co potem? Stanie się taką samą kukłą jak Rytel i ta nieszczęsna dziewczka. Naczyniem, z którego można wyzreć duszę i wyrzucić, gdy zostanie już tylko pusta skorupa.

A co z piekłem? Jeszcze kilka tygodni temu nie wierzyła w jego istnienie. A teraz wiła się jak robak nadziany na pazur diabła. Jeśli istniało zło, musiał istnieć też Bóg. Czy przebaczy jej winy, pychę i brak wiary? Nie miała pewności. Czyż jednak Chrystus nie przebaczył skruszonemu złoczyńcy? Czyż nie odkupił naszych win swą krwią?

- Więc jak będzie? - ponaglił ją zniecierpliwionym tonem.

- Idź do diabła - wyrzuciła z siebie, póki pokusa ocalenia życia nie stała się zbyt silna.

Rozległo się ciche westchnienie.

- Dopiero co stamtąd przybyłem. Ty jednak już wkrótce do niego dołączysz i zapewniam, nie spodoba ci się tam.

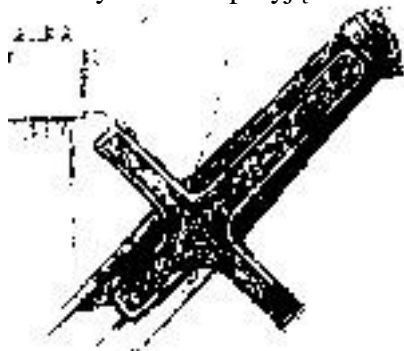
Poczuła lodowaty oddech na twarzy. Zadrżała, gdy suche, grobowo zimne wargi przyssały się do jej ust. Ból w piersi przygwoździł ją do podłoża, czuła, jak demon sięga po duszę, wysysa z niej życie.

Tym razem nie szarpała się, co więcej, poddała się śmierci z ulgą i nadzieją. Ostatecznie w ostatnich chwilach życia odzyskała to, co najcenniejsze. Wiarę.

Rozdział XII

Janusz Radziwiłł w żaden sposób nie dał po sobie poznać, że zauważył wejście sługi; stał nieruchomo, z dłońmi splecionymi na plecach i wpatrywał się w zasypany świeżym śniegiem ogród.

Pan Millke zerknął na szerokie, nieco przygarbione plecy księcia, a potem omiół wzrokiem poranny krajobraz za oknem ciekaw, co też przykuło uwagę magnata. Niestety, nie dostrzegł nic, co mogłoby tłumaczyć podobne skupienie, choć sam widok był nad wyraz urokliwy. Gintras przyjął to za wystarczające wyjaśnienie.



Musiały minąć dobre trzy pacierze, nim hetman obrócił się do swego zaufanego szpiega i skrytobójcy.

- Jak tam nasz instygator? - zapytał niemal od niechcienia.

- Wciąż oddycha, panie - odparł niechętnie Millke, świadom, że Janusz Radziwiłł nie zwykł tolerować niepowodzeń u swych sług.

- Ostrzegałem cię, że to niebezpieczny człowiek - przypomniał księżę z kwaśnym uśmiechem.

- To prawda, wasza miłość, ostrzegałeś - urażona ambicja odbiła się w głosie zabójcy. - Przysięgam waszej miłości, że Hirsz wkrótce umrze.

Przez wyrazistą twarz hetmana przebiegł dziwny grymas.

- Obawiam się, panie Millke, że nie będziesz mógł wypełnić tej przysięgi.

Gintras poczuł, jak zimny dreszcz przemyka mu po plecach. Pomyślał o szkockich gwardzistach czekających przed drzwiami.

„Czyżby postanowił się mnie pozbyć?”

- Zapewniam, księżę, że...

Magnat przerwał mu stanowczym gestem dłoni.

- Wracam na Litwę, a ty będziesz mi towarzyszył!

- Wybacz, panie, ale nigdy nie odstępuję od raz zleconego mi zadania - zapalczywie zaprotestował Millke.

- Tym razem złamiesz tę zasadę, bo ci tak przykazuję. Czy muszę ci przypominać, że przysięgałeś mi posłuszeństwo?

Gintras ugryzł się w język.

- Nie musisz, wasza miłość.

- Znakomicie - rzekł zgryźliwie hetman.

Millke przez kilka oddechów wahał się przed zadaniem samoistnie nasuwającego się pytania i w końcu zdecydował, że może sobie pozwolić na podobną śmiałość; księżę pan był dziś w wyjątkowo łaskawym nastroju.

- Czy mogę poznać przyczynę tak nagłego wyjazdu? Toć sejm trwać będzie jeszcze ze dwie niedziele.

- Albo i więcej - potwierdził Radziwiłł - ale będzie to już zwykłe bicie piany, by zamydlić oczy głupiej szlachcie. Prawdziwe decyzje zostały już podjęte.

Gintras nadstawił ucha.

- Decyzje?

- Właśnie tak, drogi Gintrasie - hetman łaskawie zmienił ton na familiarny. - Król i kanclerz dopięli swego. Pakty Zborowskie, ta hańbiąca Rzeczpospolitą kłęska, zostaną zatwierdzone.

Na puciołowate oblicze skrytobójcy wypłynęło szczere zdumienie.

- Co na to Wiśniowiecki, Opaliński czy inni panowie?

Książę wzruszył szerokimi ramionami.

- Nic, drogi Gintrasie, nic. Zostali kupieni niczym pierwsi lepsi szaraczkowie - ze słów hetmana biła niezmierna pogarda. - Rzecz jasna, cena była odpowiednia. Dla Wiśniowieckiego tymczasowa buława, z nadzieją na szybki zgon Potockiego w niewoli i starostwo przemyskie, a Opalińscy otrzymali podskarbiostwo nadworne i trochę ziemi. Co do innych panów, to każdy dostanie jakiś ochłap z królewskiego stołu.

- Zatem sprawa księcia Rakoczego przepadła - mruknął Gintras, nim zdążył pomyśleć, Janusz Radziwiłł nie lubił, gdy kto przypominał mu o jego własnych niepowodzeniach.

O dziwo, po obliczu hetmana przemknął znany panu Millkemu tajemniczy uśmiech.

- Nie całkiem, drogi Gintrasie, nie całkiem. Jan Kazimierz to pyszałkowaty głupiec, wkrótce zrazi do swych rządów szlachtę. Przyjdzie czas, wspomnisz moje słowa, że senatorowie wypowiedzą mu posłuszeństwo, oddając tron komuś godniejszemu.

„A któż jest godniejszy, w twych oczach, od ciebie”.

- Będą to szczęśliwe czasy dla Rzeczypospolitej, wasza miłość - rzekł grubasek konfidencyjnym tonem, na co książę skinął łaskawie głową.

- To wszystko, Gintrasie - oznajmił.

Pan Millke uklonił się niezbyt uniżenie i opuścił komnatę. Gdy podwoje dworu zamknęły się za nim, przemierzył dziedziniec, kierując się do głównej bramy, po czym wyszedł na Senatorską. Zerknął na wieżę kościoła Reformatów, ale tym razem nie wyczuł tam niczyjej obecności; widać obie strony uznały, że ta tura rozgrywki dobiegła końca.

Zatem do czasu opuszczenia Warszawy miał wolne i zamierzał ten czas dobrze wykorzystać. Wpierw musi zmienić opatrunek, bo rana od postrzału wciąż krwawiła, choć szczęśliwie kula nie wyrządziła większych szkód, a gdy już zadba o swoje zdrowie, będzie miał do załatwienia na Pradze jeszcze jedną sprawę.



Zbudził go niemiłosierny hałas dobiegający z rynku.

Hirsz zwlókł się z łoża, sycząc z bólu. Świeże blizny na plecach i pod pachą rwały po nocy. Wyjrzał przez okno. Tego dnia był targ bydłocy. Ryk bydła, rzenie koni, kwik wpychanych na wozy świń, wszystko to wywoływało harmider odbijający się bolesnym echem pod czaszką instygatora.

Joachim opłukał się zimną wodą nad miską, a następnie podszedł do kufra stojącego pod ścianą. Wielka, okuta żelazem skrzynia wyglądała na bardzo starą i niezbyt godną zaufania - nic bardziej mylnego. Uważny obserwator dostrzegłby, że pod obłazącą farbą dębowe drewno jest nienaruszone, a metalowe okucia i zamek są równie mocne jak w dniu, gdy zostały wykute.

Hirsz przekręcił klucz i podniósł ciężkie wieko. Wewnątrz prócz dwóch inkrustowanych srebrem króćc spoczywały manuskrypty, pergaminy i księgi: niemal wszystkie zakazane przez Kościół i prawo. Wzdłuż ścianek w specjalnych przegródkach tkwiły szklane flakoniki lub

metalowe i drewniane pudełka. Porucznik wybrał jeden z nietłukących się pojemniczków. Odchylił wieczko i palcami wygarnął brązową maść. Roztarł substancję na swędzącej, nie do końca zagojonej ranie, pamiętając po nożu. Ulga była niemal natychmiastowa. Odłożył maść na miejsce, zatrzasnął wieko i zamknął skrzynię na klucz. Po namyśle zrezygnował z ciepłego płaszcza na rzecz kaftana, a z broni wybrał sztylet, który schował w cholewie buta. Opuścił mieszkanie i przez główną bramę wyszedł na rynek. Już przy pierwszym kroku o mało co nie wdepnął w placek łajna. Zaklął pod nosem i już uważnie patrząc pod nogi, ruszył w stronę ratusza.

Przy straganach ulokowanych pod drewnianymi podcieniami magistratu kłębił się tłum kupujących i gapiów. Torując sobie drogę łokciami, instygator przedarł się na tyły gmachu, gdzie znajdowały się solidne drzwi do łaźni, na których czyjaś ręka wyrysowała dwie nagie rusałki pochylone w nader interesujących pozach.

Nacisnął klamkę i wszedł do słabo oświetlonej sieni.

Wzdłuż przeciwległej ściany biegł drewniany kontuar. Tkwił za nim niski, łysiejący mężczyzna o twarzy przywodzącej na myśl łasicę. Na widok porucznika skinął głową w sposób, w jaki wita się stałych bywalców.

- Jest Ślepek? - rzucił Hirsz.

Łazienki wskazał ruchem głowy niskie przejście wybite w ścianie za ladą, więc porucznik, nie zwlekając, skierował się tam, przemierzył wąski korytarz i trafił do małej poczekalni, gdzie były następne drzwiczki. Tuż przy nich na zydlu tkwił wielki drab.

Zza ścian dobiegały stłumione krzyki i śmiechy dobrze bawiących się razem kobiet i mężczyzn. W przeciwieństwie do łaźni staromiejskiej, gdzie dbano o moralność, tu nie przestrzegano rygorystycznie nakazów rozdziału płci.

Ochroniarz łypnął spode łba i bez słowa otworzył drzwi.

Hirsz pochylił głowę, by nie zawadzić o framugę. Wkroczył do izby, której ściany ginęły częściowo w gorącej parze. Herszt warszawskich zbirów siedział rozparty w wielkiej balii z parującą wodą, jedno z potężnie umięśnionych ramion obejmowało zielonooką kurew-kę - tę samą, która uratowała Hirszowi życie kilka dni wcześniej - druga ręka, oparta dla wygody o krawędź balii, trzymała dwulitrowy kufel. Ślepek obrócił głowę i spojrzał na przybysza zdrowym okiem. Lewy oczodół, teraz pozbawiony opaski, przybrał pod wpływem gorąca barwę purpury.

- Witaj, instygatorze.

Gestem dłoni dał znać ladacznicy, by znikła.

Dziewka wynurzyła się bezwstydnie z wody, prezentując Joachimowi wszelkie swoje zalety. Wyszła z balii i bez pośpiechu sięgnęła po wiszące na drążku prześcieradło kąpielowe. Okryła się. Wychodząc, posłała Hirszowi wdzięczny uśmiech, widać szybko odnalazła się w nowej pracy.

Herszt wskazał na dzban i kubek stojące na stoliku.

- Obsłuż się, poruczniku.

W środku był miód. Joachim nalał sobie i opadł na ławę stojącą pod ścianą. Upił dwa łyki.

- Dobrze - westchnął.

Ślepek uśmiechnął się szelmowsko.

- Nie dziwota, to miód z tykocińskich barci królewskich.

Hirsz uniósł brew, jednak nie drążył tematu. Już dawno przekonał się, że podejrzewać a wiedzieć to bardzo wygodna różnica.

- Masz coś dla mnie?

- Niewiele. Jeden z żebraków twierdzi, że widział mężczyznę, który wchodził tamtego

dnia do kamienicy Widawskich.

Hirsz drgnął.

- Jest pewien, że wszedł do środka?

Potężne ramiona uniosły się i opadły.

- Tak mu się zdaje. Tam jest zawsze mnóstwo ludzi, a on miał inne zajęcie niż doglądanie gości adwokata.

- Rozpoznał owego człowieka?

- Niestety nie.

- Zapamiętał, jak wyglądał? - Hirsz uczeplił się ostatniej nadziei.

- Był raczej niski, szczupły, choć ciężko stwierdzić na pewno, bo nosił czarną opończę i kaptur na głowie.

Joachim skrzywił się, wyrażając rozczarowanie.

- I to wszystko?

- A co chciałeś, portretu? On tam pracował. Cud, że coś zapamiętał!

Hirsz sapnął i pociągnął solidnie z kubka.

- Dobre i to - rzekł, jak tylko wytarł usta. - A co u ciebie?

Ślepek przybrał minę cierpiętka.

- Same kłopoty przez to powstanie Chmielą. Drożyzna straszliwa. Chleb kosztuje trzy razy tyle co przed rokiem, zresztą sam wiesz. Chłopstwo do miasta zbiega, a tu żadnej roboty ni masz. Więc na żebry idą czy kurewstwo i zabierają grosz moim ludziom. A na to zgody dać nie mogę.

Przerwał wywód, cmoknął i wygrzebał paluchem spomiędzy zębów jakiś dawno zapomniany kawałek jedzenia.

- Pewnie mi nie powiesz, co to za heca z tym Widawskim. Ponoć się obwiesił? Patrzcie, patrzcie, kto by pomyślał, miał zdrowie, władzę, bogactwo, a tu takie coś. - Pokręcił z niedowierzaniem głową, jednocześnie badawczo łypiąc zdrowym okiem na Hirsza.

Joachim uśmiechnął się półgębkiem.

- Dobrze gadasz, Ślepek, nic ci nie powiem.

Zbir otworzył usta, by coś odrzec, lecz przerwało mu skrzypnięcie otwieranych drzwi. Do środka wsunął się ochroniarz, podszedł do herszta, szepnął mu coś na ucho, ten skrzywił się ponuro i zerknął na porucznika, wyraźnie wstrzymując się z rozmową.

Hirsz wyczuł, że pora się zbierać.

- No to na mnie już czas - rzekł.

Podniósł się z ławy i podszedł do drzwi.

- Ach, jest jeszcze coś w sprawie Widawskiego - zatrzymał go w progu głos Ślepaka.

Hirsz znał ten ton. Obrócił się i spojrzał wyczekująco na jednookiego mężczyznę, który posłał mu fałszywie roztargniony uśmiech.

- Na śmierć zapomniałem. Człowiek, którego szukasz, kulał na lewą nogę.



Jak zwykle zło przyszło po nią po północy.

Wiedziała, że tak się właśnie stanie, i nic nie mogła z tym zrobić.

Leżała na pryczy, nasłuchując odgłosu ciężkich kroków na korytarzu i złowieszczonego trzasku przesuwanego rygla.

Czekała, aż w progu pojawi się zwalista zakonnica

o tłustej twarzy i małych, czujnych oczkach, aby zabrać ją do tamtych kobiet.

Nie protestowała, wiedziała, że wszelki opór narazi ją tylko na karę. Posłusznie opuściła

celę i ruszyła za siostrą Matyldą. Przemierzały w ciszy wąskie korytarze, mijając zamknięte drzwi, aż dotarły do południowego skrzydła klasztoru.

Zatrzymały się przed celą należącą do przeoryszy.

Matylda zapukała, nacisnęła klamkę, wepchnęła dziewczynę do środka, po czym zamknęła drzwi i stanęła za jej plecami.

Oblubienica siedziała na krześle, ubrana tylko w przezroczystą, rozpinaną z przodu koszulę.

Nieznoszącym sprzeciwu tonem rozkazała Sonce ściągnąć zgrzebną suknię.

Nowicjuszka drżącymi palcami rozplątała sznurki.

Szorstka tkanina zsunęła się ze szczupłego dziewczęcego ciała i opadła na wzorzysty dywan.

W ostatniej próbie oporu zakryła drobnymi dłońmi lono i dziewczęce piersi.

Oblubienica wykrzywiła kąciki ust. Dała znak Matyldzie.

Wielka zakonnica tylko na to czekała. Serdelkowate palce zacisnęły się na drobnych nadgarstkach i odciągnęły przedramiona od ciała.

Wielebna matka milczała, badając wzrokiem drobne piersi, płaski brzuch, sięgając kępki jasnych włosów.

Sonka zacisnęła powieki, chcąc uciec przed zimnym spojrzeniem.

- Otwórz oczy - usłyszała chrapliwy głos oblubienicy.

Wykonała polecenie; powieki ciążyły jak płatki ołowiu. Spod rzęs pociekły wstrzymywane długo łzy.

Zbudziła się zlaną potem, drżąc jak w gorączce. Zacisnęła pięści, wbijając z całej siły paznokcie w skórę z nadzieją, że ból przegoni obraz klasztornej celi; wspomnienie pięciu lat bólu, upokorzeń i udawania.

Jej wzrok spoczął na okutym kufrze stojącym pod ścianą. Spoczywała w nim wykradziona z klasztoru księga. Zdobycie tego woluminu wymagało wielu poświęceń. Naiwnie myślała, że w demonologicznych traktatach odnajdzie źródło mocy i drogę do wolności. Odnalazła tylko nową niewolę. Z tą różnicą, że tym razem nie miała już dokąd uciec. Zemsta dokonała się, lecz czy było warto?

Uciekła przed tą myślą.

Otarła łzy z policzków i spojrzała w okno. Przez lekko rozsunięte zasłony wpadały do izby plamy dziennego światła. Wstała z łóżka i podeszła do miednicy stojącej na szafce pod wielkim lustrem. Obmyła się chłodną wodą i wytarła ręcznikiem. Nieco uspokojona spojrzała na swe odbicie. Zmysłowa, okolona złotymi włosami twarz, jędrne piersi, szczupła talia przechodząca płynnie w kształtne, lecz nie za szerokie biodra.

Nie była już bezbronnym dzieckiem zdanym na łaskę okrutnych ludzi.

Powąchała skórę na ramieniu, wciąż czuła na sobie zapach Hirsza. Karminowe usta rozciągnął uśmiech na wspomnienie nieśmiałych pieszczot, jakimi obdarzał ją pod osłoną ciemności. Przeciągnęła się niczym kotka. „To udawanie było nawet przyjemne”, pomyślała.

Ze świeżych wspomnień wyrwały ją odgłosy dochodzące zza okiennic. Ktoś zajechał przed dwór.

Naraz podniosła głowę, niczym sarna nasłuchująca rysia w gęstwinie. W sieni rozległy się charakterystyczne kroki. Drzwi otworzyły się niemal bezgłośnie. Odbicie w lustrze ukazało jej niepozornego mężczyznę w czerni. Jego oczy wyrażały pustkę; знаła to spojrzenie, niema zapowiedź czekających ją rozkoszy i bólu. To wystarczyło, by jej oddech przyspieszył i po podbrzuszu rozlało się ciepło.

Pamiętała dokładnie ów wieczór, gdy pierwszy raz ukłękła przy konfesjonale w kościele

Jezuitów. Słowa wypowiedziane przez nią podczas tamtej spowiedzi stały się ziarnami zasianymi w gnijącej duszy tego człowieka. Plon wzeszedł szybko i okazał się niezwykle obfity.

Nienawiść dręcząca Rytla była niemal porównywalna z jej własną. Niemal!

Kukła usiadła na łóżku, pochyliła się nad pościelą i wciągnęła głęboko powietrze w nozdrza.

Ich spojrzenia spotkały się w lustrze.

Bezbrzeżnie stare oczy zdawały się sięgać najgłębszych zakamarków ciała i umysłu.

- Jak spisał się nasz porucznik?

- Doskonale, mój Panie.

Przez wąskie wargi przemknął uśmiech.

- Wpadł w sidła?

Skinęła głową, pozwalając sobie na lekki uśmiech. Kukła podniosła się z wymiętej pościeli i stanęła za jej plecami.

- Doskonale się spisałaś, zasłużyłaś na nagrodę. - Lodowaty oddech owiał skórę na karku, podnosząc włoski.

Ta ledwie nieśmiała zapowiedź rozkoszy i bólu wystarczyła, by mięśnie brzucha się napięły, a przez ciało przebiegły dreszcze. Sonka rozchyliła nogi, szukając jego dotyku. Czowała, jak po wnętrzu naprężonych ud spływa gorąca wilgoć.

Brutalnym szarpnięciem odchylił jej głowę w tył. Jęknęła i przygryzła wargę do krwi.

Wypięła tyłek, odnajdując twardą, zimną męskość. Gwałtownymi ruchami ocierała się o członek, otwierając się przed nim coraz szerzej.

Wtargnął w nią mocnym pchnięciem.

Krzyknęła z bólu i był to jedyny protest, na jaki się zdobyła. Potrzeba jego dotyku, pieśczoł czy nawet brutalnych razów była zbyt silna. Przez cały czas widziała w zwierciadle swego kochanka: wpatrujące się w nią bezduszne oczy i okrutny uśmiech rozciągający wąskie usta. Oblicze demona skryte pod ludzką powłoką.

Poczuła nadpływające od podbrzusza skurcze. Pierwszą falę rozkoszy, za którą przyjdą kolejne, silniejsze. Jej zmysły cofnęły się pod naciskiem obcej, nieznoszącej sprzeciwu woli, a spod długich rzęs pociekły strumyczki łez.



Hirsch wyszedł z łaźni z mętlikiem w głowie.

Wzmianka o kuternodze całkiem zbiła go z pantały-ku. Osoba Rytla jako podejrzanego nasunęła się samoistnie, choć przecież nie on jeden w mieście kulał. Również opis ubioru i sylwetki pasował do jezuitę. Z braku innych poważnych tropów Joachim postanowił odwiedzić spowiednika i zadać mu kilka pytań.

Wpierw jednak zaszedł do swej kwatery, uzbroił się w pałasz i dwie króćce. Zagarnął też ze spiżarni kawał suszonej kiełbasy i przegryzając naprędce, ruszył do Starej Warszawy.

Dotarłszy na Krzywe Koło, skorzystał z zamieszania wywołanego przez przybycie dylizansu z Wrocławia. Udając niecierpliwego klienta, zatrzymał się przy stajniach pocztowych. Zaraz też dostrzegł ciemnowłosego wyrostka, przyczajonego dwie bramy dalej. Chłopak stał w taki sposób, by mieć na oku trzypiętrową kamienicę. Joachim podszedł do ulicznika.

Chłopak, zziębnięty i znudzony, nie usłyszał jego kroków i gdy porucznik chwycił go za ramię, podskoczył, wytrzeszczając oczy. Na wychudzoną twarz wypłynął rumieniec.

Hirsch zignorował to niewielkie gapiostwo.

- Jest w domu? - zapytał, nim ulicznik zaczął się tłumaczyć.

Ten, czując, że ominie go reprimenda, natychmiast przyjął postawę profesjonalisty.

- Nie, panie, zjrzał tu wczoraj po zmierzchu, ale szybko wyszedł.
- Zostań tu, możesz mi być potrzebny - polecił Hirsz, spoglądając w zasłonięte okna.

Chłopak pokiwał gorliwie głową.

Porucznik szybkim krokiem przekroczył ulicę i wszedł do bramy. Jak w większości tego typu czynszówek również tu metalowe wierzeje zamykano tylko na noc.

Wejście do mieszkania Rytla znajdowało się po lewej stronie.

Nisko sklepione, mroczne i śmierdzące uryną przejście wiodące do oficyn na tyłach posesji było puste. Hirsz po pokonaniu kilku schodków dotarł do drzwi i wyciągnął z kieszeni płaszcz niewielki pakunek zawierający wytrychy. Obrzucił szybkim spojrzeniem budynki w głębi podwórza, skąd dochodziły krzyki bawiących się dzieci. Szczęśliwie nikt się nie pojawił.

Zamek był standardowy. Jeden rzut oka pozwolił porucznikowi wybrać odpowiednie narzędzie. Pokonanie przeszkody zajęło mu niecałe dwie zdrowaśki; ciche skrzypienie zawiasów oznajmiło, że droga wolna.

Przekroczył próg i zamknął za sobą zasuwę. Przez kilka oddechów przyzwyczajał oczy do ciemności, aż zorientował się, że z korytarza wychodziło dwoje drzwi. Wybrał te po lewej, pozbawione zamka.

Rozejrzał się z ciekawością po obszernej izbie. Wewnątrz panował półmrok i zaduch.

Umeblowanie, zważywszy na dochody jezuitów, było raczej skromne. Pośrodku stało łóżko z baldachimem, a w sąsiedztwie kominka stół i trzy krzesła. Ściany świeciły gołym tynkiem, nieozdobione przez makaty czy bibeloty. Hirsz nie sądził, by można było znaleźć tu coś interesującego. Cofnął się do sieni i przeszedł do drugiej komnaty. Była zamknięta na solidny zamek. Porucznik potrzebował kilku dobrych pacierzy, by się z nim uporać.

Tu również okno było zasłonięte, jednak kotara przepuszczała wystarczająco dużo światła, by Hirsz mógł widzieć szczegóły. Ta izba wyglądała na gabinet: naprzeciw wejścia stało wielkie biurko i dwa krzesła, a z boku kredens, szafa i kilka kufrów. Joachim przesunął spojrzeniem po ścianach, podobnie jak w pierwszym pokoju surowych i pozbawionych ozdób. Nagle jego uwagę przykuły dwie jaśniejsze, przecinające się smugi. Zmarszczył brwi tknięty złowrogim przecuciem i wbił wzrok w krzyżujące się linie.

Niegdyś w tamtym miejscu wisiał krucyfiks.

Nagle serce porucznika zabiło żywiej. Podeszedł do biurka, usiadł na krześle i zabrał się do patroszenia szuflad. W jednej z nich znalazł kopertę. Rozpoznał pieczęć kancelarii Widawskich widniejącą na przelamanym laku. Podeszedł do okna i odsunął nieznacznie zasłonę.

Podekscytowany rozłożył arkusz papieru. Jeden rzut oka na pochyłe pismo pozwolił Hirszowi stwierdzić, że trzyma w ręku zaginiony testament Zygmunta Szeptywskiego, schował więc dokument do koperty i umieścił w wewnętrznej kieszeni płaszcz.

Powrócił do biurka, przeszukał resztę szuflad, lecz nie znalazł już nic interesującego. Opuścił gabinet i przez sieni przeszedł do kuchni. Wąskie okno przysłonięte kotarą wychodziło na podwórze, z którego dobiegały stłumione odgłosy domowej awantury. Joachim ogarnął wzrokiem pomieszczenie. Po lewej stronie znajdował się piec, a na ścianach wisiały półki z żywnością. Na stole stały: lampa oliwna, krzesiwo i kilka gromnicznych świec, związanych czerwoną wstęgą. Pośrodku podłogi dostrzegł klapę, zapewne do spiżarni. Hirsz przykucnął, zacisnął palce na metalowym uchwycie i pociągnął klapę w górę.

Owiał go trupi odór.

Instygator wbił wzrok w nieprzeniknioną ciemność. Przez kilka chwil rozważał, czy powinien tam zejść. W razie powrotu Rytla znalazłby się w pułapce. Przywołał w myślach każdy swój ruch, odkąd przekroczył próg mieszkania. Uznał, że nie zostawił żadnych widocznych śladów obecności. Uspokojony tą myślą, podeszedł do stołu i po krótkim zastanowieniu wybrał

jedną z gromnic, jej brak nie powinien rzucać się w oczy.

Krzesiwem zapalił knot i powrócił do wjazdu. Prawą dłonią sięgnął po pałasz i stąpając ostrożnie po wąskich stopniach, zszedł na dół; gdy jego głowa znalazła się pod podłogą, zatrzasnął za sobą kłapę. Pokonał jeszcze dziewięć stopni, nim stanął na klepisku.

Wewnątrz panował chłód, lecz nawet on nie był w stanie stłumić panującego tu smrodu. Hirsz wziął głęboki oddech, by znieczulić zmysły. Dłuższą chwilę zastanawiał się, jak duża może być piwnica, gdyż wąty, chybotliwy płomień rozpraszał głęboką ciemność ledwie na krok.

Gdzieś z lewej wyczuł ciąg powietrza, ruszył więc w tamtą stronę i dotarł do ściany. Uniósł świecę i dojrzał w górze okienko zabite deskami; musiało znajdować się na poziomie ulicy. Nagle zdało mu się, że słyszy nad głową odgłos kroków. Zastygł w bezruchu. Przez kilka straszliwie długich chwil nasłuchiwał, jednak niepokojący dźwięk się nie powtórzył. Postanowił nie marnotrawić czasu i zdając się na instynkt, ruszył wzdłuż ściany.

Kątem oka wypatrzył na polepie coś jakby ludzki kształt. Zmrużył oczy i podszedł bliżej, by się upewnić; to była wielebna, naga i martwa. Leżała na plecach w kałuży zakrzepłej krwi i ekskrementach. Porucznik kucnął, odłożył pałasz na klepisko, po czym dłonią sprawdził stężenie pośmiertne. Przez chwilę błędził opuszkami palców po brzegach ran.

Zacisnął usta w wąską linię, podniósł broń i stanął na równe nogi.

Powrócił na górę, zatrzasnął za sobą kłapę, zdmuchnął płomień i odrzucił świecę w róg pomieszczenia.

Po tym, co widział, nie musiał już działać poza prawem.

Przeszedł do sieni.

Miał w perspektywie czekanie, i to zapewne długie. Nie był przecież pewien, że Rytel przyjdzie tu jeszcze tego wieczora. Hirsz skrzywił się wściekle na myśl o przechodzącym mu koło nosa spotkaniu z kochanką. Przez kilka uderzeń serca zastanawiał się, czy nie powiadomić jej przez posłańca. Wszelako poczucie obowiązku i wewnętrzna dyscyplina przeważały i szybko odrzucił tę pokusę.

Ściągnął płaszcz i usadowił się wygodnie na ławeczce stojącej pod ścianą. Broń ułożył obok, w zasięgu ręki. Przez chwilę jeszcze wpatrywał się w mrok, po czym zamknął oczy i pogрузił się w oczekiwaniu.



Za oknami nadchodził zmierzch. Głębokie kałuże cieni zbierały się w opustoszałych nawach świątyni i stamtąd rozlewały po posadzce, sięgając głównego ołtarza. Ukrzyżowany Zbawiciel patrzył z kamiennym spokojem na zbliżający się zalew ciemności.

Szczupłym ciałem brata Rytla targnął przesywający dreszcz.

„Czy wobec mnie wykaże równą obojętność?”

Jego niespokojne spojrzenie powędrowało ku obrazowi, pod którym siedział. Bezimienny artysta z niezwykłą pieczołowitością oddał na płótnie gehennę grzeszników skazanych na męki piekielne. Realność malującego się na twarzach potępieńców bólu i rozpaczyci ścisła pierś ojca Mieczysława żelazną obręczą. Od wielu dni przychodził do świątyni codziennie, by godzinami wpatrywać się w to malowidło.

Obraz przypominał mu, że on sam również skazał się na mrok gehenny.

Kiedy to się stało? W chwili, gdy po raz pierwszy ujrzał jej arystokratyczne oblicze i w jego sercu zagościła miłość? A może ów moment nastąpił później, gdy przepełniał go trujący gniew towarzyszący odrzuconemu uczuciu?

Ponownie zanurzył się w bagnie własnego żalu.

Czy choć przez moment kochała go szczerze? Czy pocałunki i szeptane w miłosnym

uniesieniu słowa miały służyć wyłącznie złamaniu jego woli, przecięciu krępujących go ślubów? Pytania te odbijały się pod czaszką werblem oszalałego dobosza.

Odpowiedź została na zawsze już pochowana w mrocznej głębi.

Spojrzał na swoje drobne dłonie. Przez uderzenie serca w słabym świetle lichtarzy ujrzał na nich krwawą rdzę. Odruchowo otarł palce o miękkie sukno sutanny - mara ustąpiła. W głowie pojawiła się słodka myśl o samobójstwie, lecz taki czyn wymagał odwagi. Po co przyspieszać czekające go potępienie?

Pomimo panującego w świątyni chłodu czuł na skroniach pot.

Kolejne szybko następujące po sobie oddechy rozpały w jego piersi gniew, tak jak wiatr roznieca żar w przygasłym ognisku. Podniósł się z klęczek i rzucił groźne spojrzenie Chrystusowi.

- Pozwoliłeś na to, choć byłem twym najwierniejszym żołnierzem - szept poniósł się w ciszy na drobinkach wyplutej przy tym oskarżeniu śliny.

Tak jak się spodziewał, nie usłyszał żadnej odpowiedzi.

Gniew przegnał poczucie winy. Ciężar opadł z duszy, odsłaniając szereg rozjątrzonych ran. Wąskie usta wykrzywił złowróźbny uśmiech.

On również stworzył własne miniaturowe piekło, tu, na ziemi. Kieszonkową, wilgotną, odciętą od świata czeluść, gdzie sprawował władzę nad życiem i śmiercią. Czekala na niego jego osobista otchłań, którą już wkrótce zapełni kolejnymi potępięciami.

Powiewając połami rozpiętego płaszcza, ruszył do wyjścia. Z krzyża śledziły go przepelnione cierpieniem oczy.



Zapadł już zmierzch, gdy Hirsz usłyszał wreszcie kroki na schodach. Sięgnął po króciwą, poderwał się na równe nogi i stanął tak, by wchodzący go nie widział. Przywarł plecami do ściany. W ciszy rozległ się zgrzyt klucza przekręcanego w zamku.

Drzwi uchyliły się i do sieni wkroczył Rytel.

Odwrócił się, by zatrzaskać za sobą drzwi, i wtedy ujrzał porucznika. Zdażył ledwie otworzyć usta, gdy okuta srebrem kolba spadła na jego czaszkę. Jęknął boleśnie i osunął się na deski.

Hirsz pochylił się, aby sprawdzić, czy nie uderzył zbyt mocno - sukinsyn wciąż dychał.

Umieścił pistolety we flintpasie, chwycił spowiednika pod pachy i zawłókł, ciągnąc po podłodze, do gabinetu. Tam posadził bezwładne ciało na krześle i skrępował sznurami od zasłon, po czym zadowolony z siebie zgarnął z półki kredensu napoczętą butelkę, odkorkował i powąchał zawartość. Pachniało zachęcająco. Pociągnął łyk cierpkiego wina, przyjemne ciepło rozlało się po przetyku i spłynęło do trzewi. Instygator przez chwilę przypatrywał się jezuitce, nabrał wina w usta i prysnął cieczą w twarz więźnia. Rytel parsknął, zakaszłał i otworzył powieki. Oszołomione spojrzenie spoczęło na poruczniku.

Hirsz z przyjemnością obserwował, jak szczupłe oblicze wykrzywił grymas przerażenia. Zakonnik szarpnął się niczym lis w potrzasku.

Porucznik dał mu chwilę na przemyślenie nowej sytuacji.

- Czemu to uczyniłeś? - zapytał pozornie spokojnym głosem.

Rytel zacisnął usta i posłał mu spojrzenie zeloty gotowego na śmierć.

Hirsz nie powtórzył pytania, właściwie czekał tylko na pretekst, by dać upust tkwiącemu w nim gniewowi. Pochylił się nad skrępowanym mężczyzną, uwolnił jego prawą dłoń z więzów i przyciągnął w kierunku szuflady. Jezuita, wyczuwając, co się święci, począł wierzgać niczym żrebak na widok rozżarzonego piętna. Nawet skrępowany był zaskakująco silny, zważywszy

mizerną posturę.

Porucznik zdzielił go łokciem w szczękę, szybkim ruchem otworzył najbliższą szufladę i wetknął do środka serdeczny palec kapłana. Drugą dłonią zatkał mu usta. Odczekał moment, by zwiększyć przerażenie ofiary, i pchnął szufladę nogą.

Trzask łamanej kości utonął w zduszonym skowycie bólu.

Hirsz przytrzymał knebel, dopóki nie ustały konwulsje. Dopiero po chwili usiadł sobie, że jezuita zwiotczał w jego uścisku. Zaklął w duchu, wytarł wilgotną dłoń o sutannę i ocucił Rytla dwoma siarczystymi policzkami.

Następnie pochylił się, patrząc mu w oczy.

- Czemu? - zapytał ponownie.

I tym razem nie doczekał się reakcji. Sapnął poirytowany i zabrał się do pracy.

Upór kosztował Rytla jeszcze dwa zmiażdżone palce i wybity przedni ząb.

Cały ten trud nie przybliżył Joachima do uzyskania nawet częściowej odpowiedzi. Co więcej, zaczął czuć się nieswojo w obliczu tego niezrozumiałego milczenia.

„Czyżby na coś liczył?”

Zwykle zbrodniarze, których już pochwycono, byli bardziej rozmowni. Jedni pysznili się dokonanymi potwornościami, a inni załamywali się i wylewali z siebie cały ból nagromadzony w złamanej duszy. Doświadczenie mówiło porucznikowi, że ludzie nie rodzą się źli z natury, takimi kształtują ich bliźni. Przyczyn, dla których człowiek wkraczał na ścieżkę zła, było bez liku, tak wiele jak rodzajów ludzkiej podłości.

W rzadkich przypadkach za zbrodnią stał zły duch.

Joachim nie dostrzegł u spowiednika oznak opętania, choć w owej materii brakło ustalonych reguł. Z braku innych pomysłów oparł podeszwę buta na krawędzi krzesła, sięgnął za cholewę i wyciągnął sztylet.

Rytel wytrzeszczył załzawione oczy na widok pokrytej tajemniczymi symbolami klingi i szarpnął się do tyłu, o mało co nie wywracając krzesła.

Hirsz szybko opanował zaskoczenie, zacisnął dłoń na czuprynie kapłana i przytknął płaz klingi do wilgotnego od łez policzka. Z okrwawionych ust spowiednika wyrwał się bolesny skowyt. Powietrze wypełnił mdły swąd palonej skóry. Joachim odjął sztylet od twarzy Ryt-la. W miejscu, gdzie przylegało ostrze, pozostało głębokie oparzenie.

Instygator poczuł, jak serce prawie rozsadza mu pierś.

Wyprostował grzbiet i cofnął się do biurka. Usiadł na krawędzi blatu, odłożył sztylet i sięgnął po butelkę; solidnie z niej pociągnął. Przez kilka chwil wpatrywał się w pojękującego kapłana.

Nawet jeśli dar go zawiódł, to święcone ostrze nigdy nie kłamało.

Hirsz obliznął nerwowo wargi. Ten człowiek musiał być opętany, choć demon opuścił już ciało. Zostawił jednak na nim swą pieczęć, tak by móc w każdej chwili powrócić.

Porucznik poczuł mrowienie na karku. Nagle zdało mu się, że jeszcze czyjeś oczy spoglądają na niego spoza judaszy wilgotnych źrenic. Strach ścisnął mu trzewia lodowymi obcęgami. Chwycił sztylet i poderwał się z biurka, sięgnął ostrzem w kierunku więźnia.

Wrażenie obcej obecności umknęło.

Rytel skulił się przerażony.

Hirsz bez słowa pochylił się i przeciął więzy. Owinął przedramię wokół chudej szyi kapłana i nie zważając na rozpaczliwe wierzganie mężczyzny, ściągnął go z krzesła, a potem zawlókł do kuchni, gdzie rzucił na podłogę.

Jezuita jęknął boleśnie, gdy jego chude ciało uderzyło o deski.

- Podnieś klapę! - zażądał Hirsz.

Spowiednik wyprostował się na kolanach i chwycił zdrową dłonią metalowe kółko, szarpnął. Kłapa uniosła się na łokieć, po czym opadła z trzaskiem, pociągając opętanego na podłogę. Ten spojrział na porucznika z lękiem i wznosił połamaną dłoń.

- Nie mogę. Potrzebuję pomocy.

Joachim dotknął rękojeści pałasza.

- Postaraj się bardziej - warknął przez zaciśnięte zęby.

Rytel skulił się jak skarcony pies i ponownie złapał za uchwyt.

Tym razem poszło mu lepiej.

„Nie ma to jak odpowiednia motywacja”.

Kłapa wzniosła się do pionu, po czym opadła z hukiem na deski, ukazując jamę piwnicy.

Hirsz podszedł do stołu, zgarnął z blatu lampę i krzesiwo; za trzecią próbą zdołał zapalić knot.

Wrócił do jezuity i wcisnął mu lampę w zdrową dłoń.

- Na dół - polecił.

Spowiednik spojrział niepewnie w mrok, po czym zerknął z lękiem na porucznika.

Wyraźnie się ociągał, więc instygator ponaglił go kopniakiem. Ruszyli w dół po stromych schodach. Gdy stanęli na klepisku, Rytel zatrzymał się, Hirsz pchnął go w stronę ściany i żółtawe światło przegnało ciemności, odsłaniając ciało siostry Joanny.

Joachim zrobił dwa kroki w przód, ciekaw reakcji jezuity. Pobladła twarz wykrzywił grymas przerażenia -niewielu ludzi gotowych jest unieść ciężar popełnionej przez siebie zbrodni, Rytel do nich nie należał.

- Mówiłeś o niej jak o świętej, a patrzyłeś tak, jak mężczyzna patrzy na kobietę - rzekł porucznik zimnym tonem.

Rytel pobladł, zgiął się w pół i zwymiotował na własne trzewiki.

Hirsz przezornie uczynił pół kroku w tył.

Spowiednik zdusił w krtani kaszel, wyprostował się, otarł wierzchem dłoni usta. Wbił w porucznika przepelnione cierpieniem oczy.

- Kochałem ją - powiedział zgaszonym tonem - kłamałem dla niej, sprzeniewierzyłem się złożonym ślubom. Usidliła mnie i wykorzystała, a gdy nie byłem jej już potrzebny, odpędziła od siebie jak chorego psa.

- Dlatego ją maltretowałeś? - głos Hirsza był ciężki jak grobowy kamień.

Poszarzałe oblicze jezuity przeszył ledwie dostrzegalny grymas. Umysł wypycha wspomnienia, lecz ciało zawsze pamięta.

Hirsz widział już podobne reakcje.

- Jakim imieniem posługuje się bydlę, któremu służysz? - zapytał.

Rytel wydawał się go nie słyszeć. Milcząc, wpatrywał się w trupa kochanki. Hirsz widział, jak rysy mężczyzny tężeją pod wpływem wspomnień, gdy fale przerażenia i wstrętu zalały jego umysł. Drobną sylwetką kapłana wstrząsnęły spazmy. Po pobladłej twarzy pociekły łzy.

- O Jezu Chryste, wybacz mi - jęknął z rozpaczą.

Joachim był świadkiem pęknięcia wszystkich okowów nałożonych na tego nieszczęsnego człowieka i nie zamierzał zaprzepaścić podobnej okazji. Chwycił spowiednika lewą dłonią za kark i rzucił go na kolana wprost w kałużę wymiocin. Drugą dłoń zacisnął na włosach mężczyzny i szarpnął brutalnie w tył. Poświęcona klinga błysnęła przed obłąkanymi oczami.

Rytel zerknął z paniką na sztylet. Na szczupłym obliczu zmagaly się dwa rodzaje lęku, co nadawało umazanej krwią twarzy groteskowy wyraz.

- Ukarze mnie okrutnie - odparł szeptem.

- Pomyśl lepiej, co ja mogę ci zrobić - rzekł Hirsz złowróźnie. - Kim on jest?

- Nie znam jego imienia - wychrypiał spowiednik. - Pamiętam tylko rwane, koszarne obrazy. Gdy to przychodzi, czuję... - zawahał się, szukając odpowiednich słów - jakbym tracił część siebie, wycofywał się gdzieś w głąb.

Hirsz poczuł, jak ciarki przechodzą mu po karku.

- A inni służący mu ludzie, tacy jak ty? Ilu was jest?

Zmarszczki na czole Rytla pogłębiły się. Nagle zaczął dygotać jeszcze bardziej.

- Jest kobieta: piękna i młoda, nie znam jej imienia - odpowiedział, szcękając zębami. -

W myślach nazywałem ją Ewą, moją kusicielką.

Oczy jezuita zalśniły niezdrowym blaskiem.

- Co wiesz o tej kobiecie?

- Nic.

Rytel skulił się, widząc zły błysk w oczach porucznika.

- Przysięgam.

Hirsz przez kilkanaście oddechów wpatrywał się w trzęsący się przed nim wrak człowieka. Czy odczuwał litość? Być może, sam nie był tego pewien, lecz ten fakt niczego nie zmieniał. Wyrzucił z siebie wiązkę przekleństw, obrócił się na pięcie i opuścił piwnicę, zostawiając spowiednika sam na sam z jego ofiarą.

Nie mógł widzieć, jak w zażawionych oczach kapłana błysnęła drwina, a krwawiące wargi rozciągnął złowieszczy, bynajmniej nie ludzki uśmiech.

Porucznik przeszedł do sieni, odstawił lampę na ławeczkę, otworzył drzwi i wyjrzał na zewnątrz.

Tym razem ulicznik zachował czujność, z miejsca dostrzegając instygatora.

Joachim przywołał go gestem dłoni. Chłopak podbiegł, wzbijając piętami grudki błota.

- Pobiegniesz do kolegium jezuitów - polecił. - Zapytasz o ojca Krzysztofa. Przekażesz mu, że przysłał cię instygator Joachim Hirsz i czeka tu na niego. Zapamiętasz?

- I przybędzie? - zapytał nieufnie wyrostek, przechylając głowę, by zerknąć w głąb sieni.

Instygator uśmiechnął się ponuro.

- Prędeż, niż myślisz - mruknął.

Przymknął drzwi i spojrzał ponaglająco na chłopaka.

Ulicznik wybiegł na ulicę, a Hirsz powrócił do sieni. Tym razem miał pewność, że nie przyjdzie mu długo czekać.

Rzeczywiście, ojciec Krzysztof pojawił się, nim upłynęły dwa różańce. *Professi* był wyraźnie podenerwowany. Spojrzenie niespokojnych błękitnych oczu spoczęło na Joachimie.

- Do kogo należą te izby? - zapytał zakonnik.

- Do Mieczysława Rytla. Wynajął je kilka tygodni temu.

Hirszowi zdało się, że twarz jezuity zbielała. Zapadła krótka cisza.

- Jestem gotów, synu.

Porucznik zaprowadził zakonnika wprost do kuchni. Odchylił klapę w podłodze.

Professi spojrzał nieufnie w otwór piwniczny. Jego szerokie nozdrza zadrżały.

- Uważaj, ojcze, schody są strome - ostrzegł Joachim i zszedł pierwszy w otchłań.

Rytlu odnaleźli skulonego pod ścianą. Wydawał się całkiem złamany.

Ojciec Krzysztof przez chwilę wpatrywał się w kobiece szczątki. Jeśli ów widok wstrząsnął zakonnikiem, to nie dał tego po sobie poznać. To przypomniało Joachimowi, z jak twardej gliny ulepiony jest ten jowialny starzec. *Professi* pochylił się nad swym bratem w zakonie i położył dłoń na szczupłym ramieniu, w geście znamionującym miłosierdzie.

- Cóż uczyniłeś, bracie Mieczysławie? Cóż uczyniłeś?

Rytel podniósł głowę i wbił w przełożonego martwe spojrzenie.

- Wybacz mi, ojcze, gdyż śmiertelnie zgrzeszyłem - wyszeptał przez zmiążdżone usta.
- Tylko nasz Pan w swym nieodgadzionym miłosierdziu może to uczynić, bracie. Ja jedynie mogę cię wysłuchać. Czy chcesz się wypowiadać, bracie Mieczysławie?

Zapada długa, głucha cisza.

- Chcę - odparł w końcu łamiącym się głosem więzień.

Ojciec Krzysztof obrócił głowę w stronę porucznika. Ich spojrzenia spotkały się.

- Daj nam pół godziny, Joachimie.

Hirsz wahał się tylko przez chwilę. W gruncie rzeczy oczekiwał tej prośby, skinął więc głową i wręczył staremu jezuitcie lampę.

- Ten człowiek został opętany. Uważaj, ojcze, zło może wrócić - ostrzegł, dotykając znaczącym gestem sztyletu.

- Wszystko w rękę Pana - odparł *professi* cichym, mocnym głosem.

Hirsz wdrapał się na schody i przystanął na trzecim stopniu. Zerknął jeszcze przez ramię na pochylonego nad potępieńcem zakonnika i wyszedł na górę. Zamknął za sobą kłapę.

Powrócił do gabinetu. Na dnie butelki wciąż chlupotało nieco trunku.

Chwycił smukłą szyjkę i zasiadł za biurkiem, na krześle Rytla. Miał nieco czasu, nim będzie zmuszony powrócić do cuchnącej śmiercią jamy, i zamierzał go dobrze wykorzystać.



Z lampy zawieszanej na wystającym ze ściany haku padała na twarz brata Mieczysława plama mdłego światła.

Stary zakonnik pochylał głowę nad klęczącym mężczyzną. Milcząc, wpatrywał się w pobladłe, szczupłe oblicze, szukając bezskutecznie śladu skruchy.

- Czemu to uczyniłeś, bracie Mieczysławie? - zapytał z rzeczowym zainteresowaniem.

Okrwawione usta brata Rytla rozciągnął lekko ironiczny uśmiešek.

- Czy jeśli powiem, że dla tej kurwy - wskazał głową leżące pod ścianą ciało - to czy to coś zmieni?

Ojciec Krzysztof przez chwilę wpatrywał się w potępieńca, następnie położył dłoń na jego głowie.

- Wyznaj swoje grzechy, synu - zachęcił łagodnym, lecz stanowczym głosem. -

Zbawiciel w swym nieskończonym miłosierdziu przebaczał nawet najgorszym grzesznikom.

Rytel rozejrzał się po cuchnącym grobowcu i ponownie wpił wzrok w oblicze pochylonego nad nim zakonnika.

- Nie tutaj. Wyciągnij mnie stąd, bracie Krzysztofie, nim ten człowiek wymusi na mnie słowa, które zaszkodzą naszemu zgromadzeniu.

Mięśnie na twarzy starca nawet nie drgnęły.

- Uwolnię cię, bracie - zapewnił, pochylając się jeszcze niżej nad więźniem. - Trafisz do naszego klasztoru, gdzie ulecymy twoją chorą duszę.

- Więzienie - prychnął Rytel wzgardliwie. - Cela nie lepsza niż ten grobowiec, do końca moich dni. Czy taką łaską zamierzasz mnie obdarzyć, starcze?

- Dzięki temu odzyskasz to, co utraciłeś.

Na obliczu Rytla odbiła się rozpacz.

- Tego, co utraciłem, nie możecie mi już przywrócić - zaskrzeczał. - Wypuście mnie na wolność, bo inaczej zeznam przed sądem biskupim, żeście wszyscy sługami diabła. Dominikanie tylko czekają na podobną okazję, by odplacić Towarzystwu za wszelkie doznane zniewagi.

Starzec zacisnął usta w wąską, twardą linię. Sięgnął wolną dłonią pod suknię, dotykając

zimnego metalu w kształcie krzyża. Palce spoczywające na głowie Rytla zacisnęły się w gęstwinie włosów i jedno mocne szarpnięcie odsłoniło krtań.

Klinga sztyletu błysnęła w mdłym blasku, gdy wąskie ostrze wbiło się tuż pod wystającą grdyką. Krwawa szrama rozeszła się przy pierwszym oddechu niczym obrzydliwy uśmiech, z rozdziawionych ust wypadł wściekły bulgot, a na szczupłą pierś chlusnął strumień gęstej, czarnej krwi.

Ojciec Krzysztof wzdrygnął się, rozwarł dłoń, pozwalając, by ciało padło bezwładnie na klepisko. Następnie wytarł ostrze o suknię nieboszczyka.

Zmęczonym ruchem schował sztylet do umocowanej pod sutanną pochwy.

Zerknął niespokojnie na schody.

Pozostała jeszcze jedna sprawa do załatwienia.

Ojciec Krzysztof złożył dłonie i począł się żarliwie modlić.



„Czemu nie jestem zaskoczony?”

Hirsz przez chwilę wpatrywał się w zwłoki leżące pod nogami zakonnika. Uniósł wzrok. Napotkał chłodne błękitne oczy.

- Jak sobie z tym radzisz, ojcze?

- Stoję na opoce Kościoła, a to jest twardy grunt, synu, tak twardy, że udźwignie ciężar grzechów tego świata.

Porucznik wskazał na trupa wielebnej.

- Muszę zgłosić to komu trzeba, ojcze.

Professi skinął głową.

- To zrozumiałe - rzekł spokojnym tonem.

- Co mam powiedzieć?

Między mężczyznami zapadła głęboka cisza, na obliczu zakonnika pojawił się wyraz zakłopotania, potem głębokiego namysłu, jednak Hirsz nie dał się zwieść fałszywemu wrażeniu. Ani przez chwilę nie wątpił, że jezuita zaplanował już każdy najdrobniejszy szczegół.

Spojrzenie błękitnych oczu przesunęło się po ścianach piwnicy, zatrzymując się dłużej przy szczątkach siostry Joanny, by ponownie powrócić do porucznika.

- Tych dwoje nieszczęśników zostało zamordowanych przez sługi szatana - powiedział zdecydowanym tonem. - Brat Rytel odkrył miejsce, gdzie przetrzymywano siostrę Joannę, i przybył tu, by ją uwolnić. Niestety, podczas tych działań poniósł męczeńską śmierć.

- Męczeńską?

Zakonnik potwierdził skinieniem głowy.

- Tak napiszę w moim raporcie dla biskupa i Rzymu, jak również zeznam pod przysięgą przed starostą i marszałkiem koronnym. Ufam, że potwierdzisz na piśmie moje słowa, Joachimie, pieczęcią instygatora.

„Czyżbyś właśnie przypomniał mi, że dostałem ją dzięki twojej protekcji?”

- Oczywiście, ojcze. Ktoś może jednak zapytać się, czemu Rytel przyszedł tu sam.

Popatrzyli sobie dłużej w oczy.

- Zapewniam cię, Joachimie, że nikt nie zada tego pytania, nawet jeśli takowe pojawi się w czyjejsz głowie. Towarzystwo Jezusowe cieszy się łaską króla, senatorów i biskupów. Tylko szaleniec, heretyk lub sługa Złego mógłby podważyć wiarygodność naszych zeznań.

„A ja nie jestem żadnym z nich”.

Instygator skinął głową na znak, że ta wersja wydarzeń mu odpowiada.

- Zatem postanowione - ojciec Krzysztof nie krył zadowolenia. Spojrzenie łagodnych

oczku spoczęło na dawnym uczniu. - Czy jest coś, co możemy zrobić dla ciebie, synu? Uważam, że człowiek o twych zdolnościach i cechach charakteru zasługuje na szybszy awans. Mogę porozmawiać w tej sprawie z kim trzeba. Pomyśl o gwardii królewskiej, taka służba daje olbrzymie możliwości na przyszłość.

„Wyższy żołd, a z czasem nadanie ziemskie. Być może za kilka lat niewielkie starostwo. Dla kogoś takiego jak ja to wielka pokusa”.

- Nie, dziękuję, ojczu. Lizanie tyłka dworakom jakoś do mnie nie przemawia. Jezuita zachichotał.

- No tak, mogłem się spodziewać.

Podkasał sutannę i zaczął wspinać się po wąskich stopniach.

Nagle w głowie porucznika rozbłysła kusząca myśl. Wahanie trwało tylko jedno uderzenie serca, druga taka okazja mogła się nie pojawić.

- Ojczu, jest coś, co możecie dla mnie zrobić - rzekł przez ściśnięte gardło.

Zakonnik zatrzymał się i spojrzał przez ramię na porucznika.

- Tak, synu?

- Uznajmy, że od dziś moje długi wobec was są spłacone - rzekł twardo Hirsz.

Jezuita przez dłuższą chwilę stał nieruchomo niczym posąg, po czym skinął nieznacznie głową i bez słowa wyszedł z piwnicy.



Hirsz opuścił kwaterę Rytla kilka pacierzy po ojcu Krzysztofie.

Pograżony w rozmyślaniach nie dostrzegł czekającego w ciemnościach bramy ulicznika.

- Coś jeszcze, panie? - z zamyślenia wyrwał go nieśmiały głos.

Spojrzał na chłopaka zdziwiony jego obecnością. Dzieciak wyglądał na przemarzniętego.

Hirsz uprzytomnił sobie, że nie zwolnił go z obowiązku.

- Pójdiesz do ratusza - zadysponował - zapytasz o starszego nad strażą. Powiedz mu, że ma się tu stawić bez zwłoki.

Ulicznik wybiegł z bramy, zostawiając go samego.

Porucznik nie miał ochoty wracać do grobowca za plecami. Postanowił poczekać na dworze.

Trzech strażników raczyło zjawić się po upływie półgodziny, choć do przejścia mieli niespełna tysiąc kroków. Chłopak szedł z przodu, przyciskając dłoń do lewego ucha. Miejskimi łapskami dowodził wielki, tłusty jegomość. Hirsz nie musiał się przedstawiać. Od całej trójki cuchnęło kwaśnym piwem. Chłopak pospiesznie odsunął się od grubasa. Zaczerwienione ucho świadczyło dobitnie, że przekonanie opojów, by podnieśli zadki znad kufli, nie obyło się bez ofiar. Hirsz docenił to. Sięgnął do sakiewki, rzucił ulicznikowi srebrną monetę. Chłopak chwycił łup w locie, podziękował i wymknął się w ciemność. Odprowadziły go zachłanne spojrzenia strażników.

Tłuścioch spojrzał na Joachima z góry.

- Mam nadzieję, że to coś ważnego, mości instygato-rze. Zajęty wielce jestem - rzekł z jawną pretensją.

Hirsz uśmiechnął się złośliwie.

- Udajcie się za mną, a sami zobaczycie.



„Podobno morderca zawsze wraca na miejsce zbrodni”.

Gintras Millke rozejrzał się obojętnym wzrokiem po zaułku. Kilkanaście dni wcześniej zabił w tym miejscu dwóch mężczyzn; po tamtym wydarzeniu nie pozostał najdrobniejszy ślad.

Unióśł skrytą w głębokim cieniu kaptura głowę i spojrzął na niepozornie wyglądającą tawernę. Spadzisty dach budynku pokrywała gruba warstwa śniegu, nadając spelunie tajemniczego uroku.

Zmrużył oczy. Podobnie jak za pierwszym razem wyczuwał bijącą z tego miejsca moc. Tym razem magia muskała jego szósty zmysł ledwie wyczuwalną wibracją. Był szczerze zaciekawiony. Ostatecznie nie było wielu takich jak on. Sam słyszał ledwie o kilkunastu, osobiście zaś znał dwóch. Wsunął dłonie pod delię, by sprawdzić, czy ostrza gładko wysuwają się z pochew, i szybkim, zdecydowanym krokiem ruszył w kierunku tawerny.

Wewnątrz naliczył ledwie kilku gości.

Zsunął z głowy kaptur i rozejrzał się z ciekawością po sali, w niczym nie odbiegała od setek podobnych mordowni. Za ladą stał potężny mężczyzna o fizjonomii zbira grasującego po gościńcach. Obrzucił nowo przybyłego gościa spojrzeniem, jakim zwykle obdarza się łajno przylepione do obcasa.

Millke zasiadł na ławie naprzeciw okna, tak by mieć widok na drzwi. Nie musiał długo czekać, by przy stoliku zjawił się oberżysta. Beczkowaty brzuch opięty przerażająco brudnym fartuchem zawisł przy twarzy zabójcy.

- Co podać? - burknął wielkolud.

Gintras pohamował irytację i przyoblekł twarz w maskę uprzejmości.

- Macie tu wareckie? - zapytał z nikłą nadzieją.

Na posępnym obliczu łamignata pojawiła się uraza.

- Oczywiście, to porządny wyszynk - wycedził.

„I jak tu przyjemnie”.

- Nikt nie twierdzi inaczej, dobry człowieku - zapewnił Millke pospiesznie.

Oberżysta uniósł jedną z brwi w wyrazie szczerzego rozbawienia, a potem obrócił się na pięcie i powrócił za kontuar. Powiedział coś do dziewczki służebnej i zniknął w otworze prowadzącym na zaplecze. Dziewka uwinęła się szybko i już po kilku pacierzach przed Gintrasem stał kufel pianistego trunku.

Pan Millke uniósł wzrok, by podziękować, i zamarł, coś w bladych oczach służebnej sprawiło, że włoski na karku stanęły mu dęba.

W mgnieniu oka wrażenie zagrożenia umknęło, a dziewczka z obojętną miną odeszła od stołu, kręcąc chudym tyłkiem.

„Nie, chyba mi się zwidziało”.

Skosztował ostrożnie, o dziwo, piwo było całkiem do rzeczy.

Ponownie spojrzął w kierunku wejścia na zaplecze, gdzie zniknął oberżysta. Pochłonięty obserwacją nie zauważył, jak podeszła do jego stołu, co samo w sobie było wystarczającym ostrzeżeniem. Powstrzymując się przed okazaniem zaskoczenia, uniósł wzrok znad kufła, chcąc przyjrzeć się czarnowłosej, korpulentnej kobiecie. Gdyby nie nadwaga i wiek, mógłby uznać ją nawet za atrakcyjną. Nietrudno było odgadnąć, z kim ma do czynienia. Niewiasta przysiadła się bez pytania. Oparła łokcie o blat i złożyła palce dłoni, jakby zamierzała pograć się w modłach.

- Czy my się znamy? - zapytał z udawanym zdziwieniem. - To niemożliwe, pamiętałbym taką piękność.

Jeśli zdołał połechtąć jej dumę, w żaden sposób nie pokazała tego po sobie.

- Jest pan niepoprawnym kłamcą, panie Millke - rzekła spokojnie.

Grubasek zeszywniał.

„Skąd wie, jak się nazywam?”

- Imponuje mi twoja wiedza - mruknął i pociągnął łyk.
- I słusznie - odparła, nie spuszczać z niego lśniących oczu. - Nim zapieje kur, wieszcząc koniec nocy, wy-jedziesz z miasta.

Millke zerknął na boki, jednocześnie jego dłoń opadła pod blat stołu, odnajdując rękojeść sztyletu. Wiedźma czy nie, ostre żelazo działa na wszystkich tak samo.

Rzecz jasna, dostrzegła ten ruch.

- Czemu miałbym to uczynić? - zapytał z pozorną obojętnością.

Pełne usta wiedźmy rozciągnął groźny półuśmiech.

- Rozejrzyj się jeszcze raz, panie Millke - odpowiedziała.

Gintras wyprostował plecy, obrzucił salę czujnym spojrzeniem i wytrzeszczył oczy.

Dopiero teraz dojrzał to, co powinien dostrzec zaraz po przekroczeniu progu tego przeklętego miejsca. Prawdę zakrytą przed oczami śmiertelników.

Wypuścił z sykiem powietrze z płuc. Odstawił nie-dopite piwo.

- Widzę, że nie mam wyboru - powiedział, siląc się na bezbarwny ton. O ile słyszał własny głos, bezskutecznie.

- To prawda. Nie masz - odparła zimno. - Liczę, że nie zobaczymy się więcej.

Pan Millke skinął głową i wstał od stołu. Na drżących nogach ruszył do wyjścia, czując na karku spojrzenia wyglodniałych oczu.

Gdy tylko zatrzasnęły się za nim drzwi, oparł plecy o oszronione drewno, czuł, że koszula lepi mu się do ciała, a serce wali jak oszalałe. Wciągnął do płuc głęboki haust zimnego powietrza, to pomogło rozluźnić obręcz zaciskającą się wokół piersi. Wciąż żył: przynajmniej na razie. Zgodnie z ostrzeżeniem wiedźmy miał wyjechać przed świtem. I, na Boga, zamierzał tak właśnie uczynić. Bez zwłoki ruszył w kierunku Wisły.

Życie ma się tylko jedno, a wiedźma sprawiała wrażenie takiej, która nie powtórzy ostrzeżenia po dwa-kroć.



Spóźniła się.

Hirsz spojrział na księżyc wędrujący po niemal bezchmurnym niebie wigilijnej nocy. Od kościoła Franciszkanów rozbrzmiewał śpiew wiernych zebranych na pasterce, nieświadomych, że gdzieś w mieście kryje się wcielone zło.

Wraz ze śmiercią Rytla sprawa zakonnic została oficjalnie zamknięta, przynajmniej dla niego. Reszta należała już do ojca Krzysztofa i podległych mu żołnierzy Chrystusa.

Stłumił niepokój i uśmiechnął się na wspomnienie strażników miejskich rzygających pod ścianami piwnicy Rytla. Zmarnowało się tam mnóstwo piwa.

Z zamyślenia wyrwał go odgłos nadjeżdżających sań. Ku zaskoczeniu porucznika powoził rudowłosy młodzieniec o oszpeconej twarzy. Obok młodzika leżała wielka dwulufowa rusznica. Chłopak zeskoczył na ubity śnieg, obdarzył porucznika krótkim wrogim spojrzeniem spode łba i nie podnosząc głowy, rozłożył schodki. Drobną figurę Szeptyckiej spowijała ciemna peleryna. Skryta pod głębokim kapturem twarz zwróciła się w stronę porucznika. Hirsz ściągnął brwi, usiłując przebić mrok spowijający oblicze.

Sonka oparła stopę na pierwszym schodku, nim wysunęła się z gracją na zewnątrz. Wyciągnął dłoń, by pomóc jej zejść; wtuliła się w jego pierś.

- Rozprzęgnij konie i zaprowadź do stajni - polecił wyrostkowi. - Potem idź do kuchni - wskazał drzwi dla służby - dadzą ci tam strawę i miejsce do spania.

Chłopak ponownie łyknął wrogo, pokłonił się i bez słowa zajął końmi, Joachim zaś objął kochankę ramieniem i zaprowadził na piętro, do swej kwatery. Dopiero gdy znaleźli się w izbie,

zsunęła kaptur. Złote włosy rozsypały się kaskadami wokół pięknej twarzy. Uśmiechnęła się jak dziewczynka, której udał się niewinny figiel.

Rozejrzała się ciekawie po izbie. Na przelotną chwilę jej spojrzenie spoczęło na kufrze stojącym pod ścianą, a Joachim uświadomił sobie, że bezwiednie zaciska usta. Gdy ich oczy spotkały się ponownie, w błękitnych źrenicach igrały psotne ogniki.

- Co się stało, już ci się nie podobam? - zapytała przekornie.

Nim zdążył odpowiedzieć, wspięła się na palce i złożyła na jego ustach delikatny pocałunek. Hirsz wpił się zachłannie w karminowe wargi, przełamując tę miękkość, wdzierając się językiem do wilgotnego, ciepłego wnętrza. Kochali się dwukrotnie, długo, bez zbędnych obietnic.

Już po spełnieniu leżeli wtuleni w siebie.

Potem zapadł w spokojny sen.

Otulała go mroźna, oleista ciemność.

„Śnię”.

Świadomość tego faktu wcale nie umniejszyła targającego nim niepokoju. Wręcz przeciwnie, tylko pogłębiła to uczucie. Zdecydowanie nie podobało mu się to miejsce.

Po omacku postawił ostrożny krok, wyczuwając dziwną miękkość pod stopami.

Ukucnął, sięgnął dłonią po sypką nawierzchnię i uniósł zawartość do twarzy. Popiół?

Przeszył go dreszcz.

Wizje towarzyszyły mu, od chwili gdy ukończył sześć lat, lecz jak dotychczas żadna nie przygotowała go na podobne doświadczenie.

„Do jakiej czeluści zawędrowałem?”

To była ostatnia myśl, nim do jego umysłu wdarły się zimne macki obcej woli.

Wroga, brutalna obecność rozepchnęła się w jego świadomości, by przejąć nad nim kontrolę. Każdy oddech, każde uderzenie walącego niczym dzwon serca stawały się męczarnią. Cały świat skurczył się do pulsującego źródła bólu pod czaszką. Cofając się w głąb własnego umysłu, stawiał opór rozrastającemu się pasożytowi, świadom, że przegrywa pojedynek na siłę woli. Gdzieś w zainfekowanej części jego umysłu rozległ się tryumfalny skrzek - jakby ktoś rysował pazurem po szybie; uświadomił sobie, że ów porażający okrucieństwem dźwięk wydobywa się z jego własnych ust.

Był stracony!

Nagle gdzieś blisko, bardzo blisko rozbrzmiał śmiech dziecka. Bezwiednie uchwycił się radosnego głosu niczym kotwicy. Potężne szarpnięcie wyrwało go z objęć oślizgłych macek.

Rozejrzał się zdumionym wzrokiem po pozbawionej roślinności skale; nie rozpoznawał tego miejsca, a jednak czuł się tu bezpieczny. Uświadomił sobie, że nagimi stopami dotyka szorstkiego kamienia. Zaskoczony tym odkryciem poruszył palcami. Serce biło z ociężałym spokojem. Uniósł głowę, sięgając spojrzeniem poza poszarpane krawędzie skały, zewsząd, jak okiem sięgnąć, otaczał go czarny bezkresny ocean i gdzieś w tej smolistej nieskończoności rozległ się groźny pomruk. Porucznik bezwiednie nadstawił ucha.

- Jest wściekły - usłyszał za plecami cienki głosik.

Drgnął trwożliwie i obrócił się ku kolejnemu mieszkańcowi własnych koszmarów.

Spod zmarszczonego czoła spojrział na stojącego przed sobą chłopca, na oko sześć-, siedmioletniego, drobnej budowy ciała.

Było w nim coś znajomego. Spod szopy jasnych, niesfornie opadających włosów spoglądały badawcze oczy. Joachimem wstrząsnął dreszcz.

„Znam to spojrzenie”.

- Gdzie jestem? - zapytał, by jakoś zacząć rozmowę.

- Myślałem, że będę bystrzejszy - mruknął głosik ze znajomą ironią.

Hirsz odchrząknął.

Chłopiec spojrział na horyzont, zza którego nadciągał wściekły pomruk.

- Tu jesteśmy poza jego zasięgiem. Och, jest zaskoczony, być może nawet zaniepokojony.

Gdy malec obrócił ku niemu głowę, Joachim dostrzegł błakający się po wargach, doskonale znany uśmieszek.

„Jego wielmożność musi dostawać szału, gdy ze mną rozmawia”.

Ta myśl przyniosła mu pewne pocieszenie.

Pomruk wściekłości rozległ się z przeciwległej strony skały. Na chłopcu złowrogi dźwięk zdawał się nie czynić wrażenia.

- Nigdy tu wcześniej nie trafiłem. Czemu?

Malec wzruszył ramionami.

- Nigdy nie było takiej potrzeby.

Hirsz ponownie rozejrzał się po skale.

- Cały czas tu przebywasz?

- Tak.

Hirsz czekał, aż malec powie coś więcej, lecz ten najwyraźniej nie miał nic do dodania.

„Irytujący smarkacz”.

- Dość tu ciasno - stwierdził złośliwie.

- Och, to tylko brama - chłopiec wskazał palcem gdzieś za siebie - dalej jest przejście i nasz dom.

Serce Joachima zabiło w piersi jak oszalałe.

- Nasz?

Jego własna miniaturowa wersja Hirsza posłała mu ciepły uśmiech.

- Tak, matki i mój.

- Daleko stąd? Czy mogę z nią porozmawiać? - zapytał, przełamując dławienie w krtani.

Malec zrobił mądrą minę.

- Niedaleko, ale nie możesz się z nią zobaczyć.

- Czemu? - wykrztusił.

Chłopczyk spojrział nań ze współczuciem.

- Nie nadszedł jeszcze twój czas - odparł i wskazał w kierunku, gdzie miało być niewidoczne dla Hirsza przejście. - Tam jest przeszłość, a do niej nie ma powrotu, chyba że... - cienki głos zawisł pomiędzy nimi.

- Śmierć - dopowiedział szeptem Joachim.

- Ale do tego chyba nie chcemy dopuścić, nieprawdaż? - w głosiku znów rozbrzmiał sarkazm.

Hirsz spojrział groźnie na malca. Ten jednak wpatrywał się weń z niewinną minką.

- Musisz już wracać - zwrócił się do Joachima. Hirsz rozejrzał się bezradnie po otaczającej ich mrocznej pustce.

- Niby jak mam to zrobić? - burknął pod nosem. Chłopczyk westchnął i wykrzywił usta w grymasie zupełnie niepasującym do miłej twarzyczki.

„Zwykle uśmiecham się tak, gdy przyjdzie mi rozmawiać z jakimś durniem”, skonstatował Hirsz.

- To proste - rzekł cierpko malec. - Przecież to sen, wystarczy się obudzić.



Przebudził się z poczuciem zagrożenia.

Spod przymkniętych powiek spojrział na pochyloną nad nim Sonkę. Choć w mroku widział jedynie zarys jej twarzy, czuł, że patrzy na niego ktoś jeszcze. Z trudem powstrzymał odruch natychmiastowego sięgnięcia po broń, zamiast tego otworzył oczy i uśmiechnął się.

Naturalnym gestem objął szczupłą talię i przyciągnął kochankę do siebie. Dwie miękkie półkule oparły się o jego pierś, sterczące sutki przyjemnie drażniły wilgotną skórę. Języki splotły się w słodkim pocałunku.

W pieśczośliwym geście przesunął lewą dłoń wzdłuż kręgosłupa, sięgając karku.

Jednocześnie wolną rękę wyciągnął po sztylet. Jego palce oparły się o cholewę buta i... nie odnalazły ostrza.

Sonka odkleiła się od jego ust i uniosła wargi w psim grymasie.

Bardziej wyczuł, niż dojrzał nadlatujący cios. Odruchowo uchylił głowę i pięść wbiła się w poduszkę.

Hirsz zacisnął palce na wątłym karku i szarpnął z całej siły, próbując zrzucić ją z siebie. Bezskutecznie, była niesamowicie silna, przydusiła go do łóżka z impetem, który wybił mu powietrze z płuc.

- Czym ty jesteś? - zapytała chrapliwym głosem.

- Chędoż się - wykrztusił Hirsz i chwycił za cholewę buta, z całej siły grzmotnął ją podkutym obcasem w skroń. Uderzenie ledwie nią zachwiało, w odpowiedzi wepchnęła dłoń między jego uda i zacisnęła palce na jądrach.

Przeciąwszy, nieprawdopodobny ból szarpnął Joachimem, sparaliżował go, odebrał siłę do walki, a słodkie wargi Sonki rozchyliły się w drapieźnym uśmiechu.

- To już było. Mam nadzieję, że dobrze się bawiłeś, bo teraz moja kolej.

Wystawiła język, zostawiając szeroki ślad wilgoci na policzku, nim zatkała mu usta lodowatym pocałunkiem.

Czuł, jak jego ciało wiotczeje, dostaje drgawek. Wewnętrzne cierpienie przytłumiło inne doznania; nie usłyszał odgłosu otwieranych z trzaskiem drzwi.

Dwa przepastne otwory rusznicy mierzyły w kochanków. Oszepeconą twarz rudego stangreta wykrzywił bolesny grymas, po bliznach ściekały wielkie jak grochy łzy.

- Kocham cię, czemu mi to robisz, czemu? - zapytał łamiącym się głosem.

Demon połuźnił ucisk i wyprostował tułów. Mrużąc oczy, spojrział w stronę intruza i syknął gniewnie. Sterczące piersi mierzyły w chłopaka w otwartym wyzwaniu.

Lufy uniosły się o cal i plunęły ogniem. Pociski uderzyły w Szeptycką, przebijając żebra, masakrując płuca i serce. Impet był tak silny, że wyrzucił kukłę na podłogę.

Hirsz poczuł, że wraca z dalekiej podróży: zacisnął zęby, przetoczył się na krawędź łóżka i spojrział na drżące w konwulsjach ciało. Zaraz obok leżał jego kaftan, rzucony tam w pośpiechu.

Ciszę rozdarł głuchy odgłos uderzającego o deski metalu. Joachim obrócił głowę.

Młodzieniec klęczał w obłoku prochowego dymu z dłońmi przytkniętymi do twarzy, szczupłą sylwetką wstrząsały gwałtowne drgawki, a bezużyteczna broń leżała na deskach.

Mawiają, że nic tak nie pomaga w koncentracji jak zbliżająca się śmierć.

Porucznik stoczył się z łóżka, lądując w kałuży gorącej krwi. Wyciągnął rękę do kaftana i wyłuskał z kieszeni ciężki klucz.

Ślizgając się, walcząc z bólem, dopełził do kufra, chwycił krawędź wieka i spróbował umieścić klucz w otworze zamka. Drzenie ręki oraz ciemności czyniły te próby nieudanymi. Powiodło się dopiero za czwartym razem. Z ulgą wsłuchał się w ciche szczyknięcie mechanizmu.

Uniósł pokrywę, wsadził rękę do wnętrza, dłoń odnalazła pistolet i Joachim zacisnął palce na posrebrzanej kolbie.

Kula tkwiąca w lufie została odlana ze srebra i pobłogosławiona na Jasnej Górze. Jak dotąd te pociski nigdy go nie zawiodły.

Zwolnił sprężynę zamka.

Jeszcze jeden okupiony cierpieniem wysiłek i stanął na nogach, obrócił się i wziął głęboki oddech. Wykonał pierwszy krok, opierając ciężar ciała na piętach.

Zęby zazgrzytały o siebie, jakby rozgryzał piaskowiec.

Drugi krok nie był łatwiejszy.

Po trzecim z kącików oczu pociekły łzy.

Czwarty przyniósł niewielką ulgę.

Przeszedł obok martwego ciała krokiem portowej ladacznicy opuszczającej pokład galeonu po całonocnej pracy.

Minął róg łóżka i zatrzymał się dwa metry od klęczącego młodzieńca. Drgawki targające szczupłym ciałem ustąpiły, przestał też zawodzić.

Joachim poczuł, że coś lub ktoś wpatruje się weń przez kratę palców.

Uniósł pistolet i wycelował w rudowłosą czuprynę. Opętany człowiek zdolny jest do nieprawdopodobnych rzeczy.

Dłonie opadły powoli, odsłaniając oszpecone oblicze.

Nienaturalnie rozszerzone źrenice wypełniało zło.

Nie na darmo filozofowie twierdzą, że oczy to okna duszy.

Ta była już stracona.

Hirsz miał tylko kilka chwil, nim demon dojdzie do sił. Mięśnie chłopaka zadrgały pod kaftanem, napinając materiał.

Porucznik oparł palec na spuście.

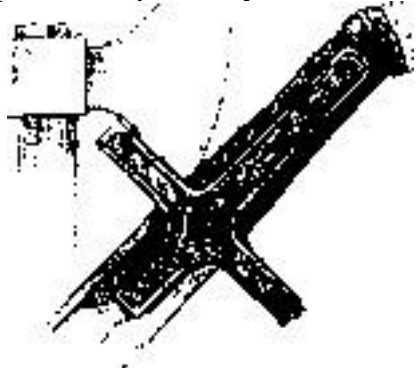
Demon obserwował go z hipnotyzującą zawziętością.

- Myślisz, że unicestwi mnie kula, śmiertelniku? - wycedził z pogardliwą ciekawością chrapliwy głos.

Hirsz wykrzywił wargi w bladym uśmiechu i nacisnął spust.

Epilog

Nienaoliwiona ośka skrzybiała usypiająco. Hirsz otulił się szczelniej płaszczem i wbił wzrok w szerokie plecy powożącego zaprzęgiem wachmistrza. Mroczek, zaspany, niedopity, a przez to w paskudnym humorze, nie odezwał się, odkąd opuścili miasto.



Hirszowi to pasowało. Uwielbiał tę godzinę przedświt, gdy sen i jawa na kilka chwil splatały się w miłosnym uścisku.

Wzrok Joachima opadł na pakunek leżący u jego nóg, brudną parcianą tkaninę okręconą wokół dwóch niewielkich ciał. Rudzielec musiał kochać Sonkę miłością szczerą i bezgraniczną - miłością, o jakiej się słyszy, lecz nigdy się jej samemu nie doznaje - tylko w ten sposób porucznik potrafił wytłumaczyć sobie, w jaki sposób chłopak złamał choć na krótko nałożone nań pieczęcie.

Sanie podskoczyły na jakimś wyboju i Hirsz stęk-nął z bólu. Umościł się wygodniej na brzegu ławeczki, oszczędzając obolałe krocze. Wciągnął do piersi mroźne, pachnące świeżością i nieskalanym przez brud śniegiem powietrze.

Joachim nie był do końca pewien, czemu towarzyszy im w tej ostatniej podróży. Mógł to przecież zlecić Bir-kutowi czy Hańczy. Być może powodował nim fakt, że chłopak ocalił go mimowolnie, a może kierowało nim wspomnienie tamtej pierwszej nocy spędzonej w ramionach Sonki.

Tak czy inaczej, był tutaj, obolały, zaspany i przemarznięty.

Za linią drzew ścieżka skręcała do Wisły. Zatrzymali się nad samym brzegiem, w niewielkiej zatoczce, anonimowym cmentarzysku zaginionych dusz.

Mroczek zeskoczył z ławki woźnicy, przeszedł na tył wozu i chwycił za pakunek z trupami. Ciała uderzyły o ziemię z głuchym odgłosem.

Hirsz ruszył mu z pomocą, krzywiąc twarz z bólu.

- Sam poradzę - rzekł Mroczek.

Przez chwilę przyglądał się rysującym się pod cienką tkaniną ciałom, po czym sięgnął po leżącą na deskach siekiere.

Porucznik, nie ruszając się z miejsca, obserwował, jak wachmistrz, posługując się jedną ręką, przeciąga worek do brzegu.

Lód zawsze był w tym miejscu cieńszy niż gdzie indziej. Hirsz nie wiedział, czemu tak się działo, po prostu tak było, odkąd pamiętał. I dobrze. Unikali w ten sposób kopania dołów w zamrzniętej na kość ziemi. Wyrąbanie przerębla i wrzucenie ładunku do lodowego grobowca wymagało dużo mniejszego wysiłku.

A kto by chciał wysilać się o tak wczesnej porze.

Przytłaczającą ciszę poranka zakłócał jedynie ostry dźwięk rozłupywanego lodu. Robota szła szybko i nie minęło kilkanaście pacierzy, jak pokazała się szara toń.

Wachmistrz kopniakiem strącił zwłoki do wody.

O tej porze roku nigdy nie zaprzęтали sobie głowy obciążaniem zwłok czy przebijaniem brzucha, by gazy nie wyniosły trupów na powierzchnię. Gruby lód skutecznie przykrywał wszelkie ponure tajemnice. Nawet jeśli ciała dotrwają do wiosennych roztopów, i tak będą nie do rozpoznania.

Mroczek przeżegnał się niedbale i wrócił do wozu.

- Zrobione - rzekł, patrząc na praską stronę. Z dóbr biskupich dochodziło dalekie bicie dzwonów na jutrznię, roznosząc się słabnącym echem wzdłuż brzegów.

Hirsz sięgnął pod płachtę, gdzie leżał gąsior z gorzałką. Wyciągnął korek i wręczył trunek Tomaszowi. Ten upił trzy głębokie łyki, nawet się nie krzywiąc, porucznik przejął z jego rąk gąsior, przytknął otwór do ust i tęgo pociągnął.

Gorzałka rozlała się ognistą strugą aż po trzewia, paląc przełyk i odbierając oddech. Joachim parsknął, rozrzucając w mroźne powietrze drobiny śliny.

Wachmistrz wyszczerzył zęby.

- Mocne, co?

- Jak diabli - potwierdził porucznik, otarł wilgotne usta wierzchem dłoni i wbił wzrok w przerębel. - Kiedyś i nas spotka podobny los, Tomaszu.

- Ale wciąż żyjemy, nieprawdaż?

- Tak, żyjemy - mruknął Hirsz.

- Zatem kończmy z tym i zapomnijmy o nich na zawsze.

- Tak, zapomnijmy - odparł Joachim bez przekonania.

Spojrzał w stronę Warszawy. Czekają tam na nich przygody, zacne karczmy oraz dawne i nowe kochanki. Całe wspaniałe życie.

